

Śląska Biblioteka Publiczna

39836



E.

LP XX 1001

MISSYONARZE ŚWIĘTEJ ROSYI.

Publ. ob. r. 93040

JOSEF BRONOWICZ

N. ŁANSKAJA.

MISSYONARZE ŚWIĘTEJ ROSYI.

Powieść ze społecznego życia w „Zachodnim kraju“

tłumaczona przez * * *



W KRAKOWIE,

NAKŁADEM KSIĘGARNI SPÓŁKI WYDAWNICZEJ POLSKIEJ.

1893.

WYDZIAŁ KRAJOWY

39836

II

Dar „Assolincum”



W DRUKARNI »CZASU« FR. KLUCZYCKIEGO I SPÓŁKI
pod zarządem Józefa Łakocińskiego.

CZEŚĆ PIERWSZA.

I.

Niedaleko od historycznego jeziora Switezi, wśród niedostępnej puszczy, leżała ze swojemi miasteczkami, wioskami, osadami, jedna z największych gmin Polesia, nazwana Wilczą gminą. Gminie tej poszczęściło się; po uwolnieniu włościan od poddaństwa, dostała się pod troistą opiekę: komisarza do spraw włościańskich, wójta gminy, i dzierżawcy dóbr książęcych, żyda — składających tryumwirat, którego zgodności mógłby pozazdrościć starożytny rzymski tryumwirat Cezara, Pompejusza i Krassusa.

Wilcza gmina stanowiła oddzielny światek, ograniczony niby murem chińskim od reszty świata poleskimi błotami, niedostępnymi w wielu miejscach lasami, rzeką, zalewającą na wiosnę kilkuwiorstowe przestrzenie i na koniec znaczną odległością od wszelkich ognisk administracyjnych.

Według pojęć miejscowych włościan, komisarz był taką władzą, ponad którą stał bezpośrednio już car tylko, a wiadomo przecie, że »Bóg wysoko a car daleko!« Komisarz rządził i sądził, zbierał podatki i oddawał w rekruty; nie zdając nikomu sprawy, jak własnością rozporządzał mieniem i własnością włościanina; i jeżeli nie rujnował wszystkich z kretesem — to już tylko jego łaska.

System administracyjny doprowadzony był do zadziwiającej prostoty: na wszelki nieprzewidziany wypadek pieczęcie niepiśmiennych wiejskich starostów przechowywano w zarządzie gminnym, potwierdzając częstokroć takie postanowienia niby zgromadzeń wiejskich, które wbrew sprzeciwiały się interesom ludności, lub sankcjonowały krzyczącą przemoc i niesprawiedliwość. Było to po prostu i pewnie.

Najwyższym władcą tych wszystkich wiosek i miasteczek był Jaśnie Oświecony Książę Falkenstein. Oko chłopskie, naturalnie, nigdy go nie oglądało, był to myt, którego zresztą rzeczywiste istnienie nie było koniecznem do odbierania w jego imieniu czynszów, wymagania powinności, stosowania kar i rozporządzeń. Włościanin wiedział, że dla porządku ma nad sobą komisarza, który dla niego uosabiał prawo drukowane, pracował więc i płacił, nie pytając nawet dla kogo pracuje? za co płaci? Tak od czasu uwolnienia stały rzeczy na całym Polesiu, tak stały i w Wilezej gminie; włościanin z każdym rokiem ubożał, nie mogąc zrozumieć, dlaczego ubożeje. Wprawdzie w tymże stosunku wzbogacał się rok rocznie żyd, dzierżawca mitycznego księcia pana, wyciskając, co tylko było można; — wprawdzie Sydor Tarasowicz Kulak, wójt gminy, pobudował już dwa domy, kupił młyn, doszedł do posiadania całego stada wołów; wprawdzie pan komisarz, Piotr Iwanowicz Łupinski, traktował o kupno dużego majątku z wybornymi łąkami i innymi przynależnościami. Wszystko to mogłoby naprowadzić na rozmaite myśli, ale dobroduszny ojciec Leksander zalecał włościanom cnotę cierpliwości, ukazując w oddaleniu królestwo niebieskie, jako nagrodę za ciężki żywot na ziemi; pisarz gminy straszył prawem... i w zapadłej gminie było cicho i spokojnie. Cisza to jednak była niepewna, owa cisza zdradziecka przed burzą, gdy nagromadzona elektryczność czeka tylko pierwszego starcia, by wybuchnąć błyskawicą i grzmotem i oczyścić, choć na czas jakiś, powietrze.

Na pagórku, wśród zielonych błot Wilezej gminy, jak oaza wśród pustyni, leży wieś Sosnówka, otoczona kilkunastu

sosnami, które jakimś przypadkiem oparły się wpływowi czasu i nielitościwszej jeszcze siekierze dzierżawcy. Jest to zakątek powiatu, do którego niedojeżdżały nigdy żadne władze, gdzie kultura zatrzymała się na stopniu pierwotnej prostoty, gdzie niema ani mostów, ani dróg, ani przewozów, gdzie na całe miesiące w jesieni i na wiosnę, przerywają się stosunki nawet z najbliższemi sąsiednimi wioskami, jeżeli blizkiemi, sąsiedniemi można nazwać wioski, oddalone nawet w sprzyjającej porze roku o całą dobę drogi i to na dobrym koniu.

Zmrok zapada nad Sosnowką. Późna jesień. Gęsta mgła zawieszona w powietrzu kłębi się jak dym nad stawem i tłumy jeszcze blade światło szarego, krótkiego dnia. Wzdłuż ulicy ciągnie się szereg niskich jednostajnych budynków, z drobnemi, zaledwie przepuszczającemi światło okienkami. Mój Boże, cóż to? mieszkania ludzkie czy bydłecze? Czyż tu możliwe jest życie, praca, jakakolwiek rozrywka? A przecież rozrywka jest dla każdego zdrowego organizmu takąż koniecznością, jak praca i pokarm, sen i czuwanie! Jakże tu człowiek wytrwać potrafi?

Ściemniało już zupełnie. W niektórych chatach zapłonęło łuczywo i jaskrawo czerwony płomień, oświecający okopcone ściany, stanowi uderzącą sprzeczność ze smutnem ubogiem urządzeniem wewnętrznem. Wszędzie to samo, we wszystkim nędza, bijąca w oczy: w stroju, w pokarmach, w samych twarzach mieszkańców, we wszystkim co tu otacza człowieka od kolebki do grobu. A jednak ta straszna, naga nędza, to niezmiernie silna, która całe wieki karmiła, poila, odziewała wielkie tłumy próżniaków, pozostając zawsze ciemną, pokorną, na wpół odziana, prawie głodną. Ta siła zawsze tylko umiała dawać, nie nigdy nie odbierając nawzajem; ta kapota i łapcie na to tylko istniały, aby wiecznie pracując, nigdy z pracy rąk swych nie korzystać w tej wyższej, wyrafinowanej formie dostępnej tylko dla wybranych, umięających pięknie dowodzić, że chłop jest ubogi dlatego, że głupi, i głupi dlatego, że jest ubogi. Tak, rzeczywiście, dlatego głupi, że ubogi. Chłopu jako chłopu służyło jedno tylko prawo: prawo płacenia każdemu, bez pytania

nawet za co płaci, bo i za to, że nie nie umiał, i za to, że inni umieli więcej od niego, i za to, gdy się przypadkiem czegoś nauczył... płacił więc, a w dodatku kłaniał się i dziękował! A jednak zostawał dłużny i nie mógł się nigdy pokwitować od czasów Ruryka, Sineusa i Truwora...

Przed oswobodzeniem płacił swojemu panu, który mając go za bydłę tresował o tyle, aby broń Boże nie wyszedł z roli roboczego bydłęcia; zaraz po uwolnieniu od poddaństwa zaczął płacić urzędnikowi, żydowi i nowej pijawce, własnemu niedawno bratu, świeżo wzbogaconemu eksploatatorowi chłopu. I doprawdy wypadło, że zamieniał kukulkę na jastrzębia! Słyszał on wprawdzie, że powstało »prawo«, obowiązane go bronić; ale, na nieszczęście, ilekroć uciekał się do niego, zawsze ono było przeciw niemu; każda sprawa kończyła się albo własnoręczną rozprawą pana komisarza, albo prawną liczbą razów na zasadzie takiego a takiego rozdziału i paragrafu ustawy karnej. Słowem, jeżeli dostały mu się niezupełnie pocieszające pojęcia o prawie, to zupełnie dotykalne.

Ale wróćmy do Sosnówki.

Sosnówka była odległą od swego powiatu o 150 wiorst, inne miasta leżały jeszcze dalej, a centrum administracyi, gubernialne miasto Bołotinsk o 400 wiorst przeszło. Ludność składała się z katolików, żydów i prawosławnych; było też trochę unitów. Długa, rozciągnięta na dwie wiorsty wioska, nie stanowiła wyjątku; jak wszystkie inne tego kraju wioski, miewała częste pożary i gradobicia, księgosusz i posuchę; piła mętną wodę z jakiegoś stawu, który latem zarastał trzcina, a w jesieni przed zamarznięciem napelniał się płynnem błotem. Ale też jak każda dobrze urządzona wieś, miała po środku szynk, a na wyjeździe kapliczkę, w której z pod daszka, z pod wstążek, muszlinu i galonów, św. Jan wyciągał w powietrze błogosławiącą prawicę. To dla katolików. Prawosławni mieli cerkiew, przerobioną z kościoła staraniem komisarza, wójta i żyda-dzierżawcy, z których każdy, bez różnicy wiary i wyznania, pożywił się w miarę możności i uzdolnienia z ołtarza

Pańskiego. Cerkiew zresztą leżała tak daleko, że Sosnowianie odwiedzali ją tylko w solenne święta, by ryczałtem dopełnić wszystkich przepisanych obrzędów, to jest zapalić przed obrazami najbardziej zasłużonych świętych żółte, cieniutkie woskowe świeczki, odprawić żałobne i nieżałobne nabożeństwo, żenić się, chrzczyć dzieci; tu także zwalali oni na kark swego cierpliwego parocha całoroczne grzechy, kupując niezmiernie tanio prawo grzeszenia znowu przez rok cały. Czasem, dość zresztą rzadko, słuchali, nie zgola nie rozumiejąc, kazań i z ulgą w sercu wracali do domów — czasem, jeszcze rzadziej, w dzień odpustu i jarmarku i z ulgą w kieszeni. I tak kapliczka ze św. Janem służyła dla katolików, cerkiew dla prawosławnych, szynk dla wszystkich.

Nad drzwiami szynku zawieszony był szyld z wabiącym wyobrażeniem butelki z bijącą z niej fontanną. Szynk przedstawiał rozrywkę, a bez rozrywki pod żadnym stopniem szerekości wyżyć nie można. Odbierzcie włościaninowi szynk — cóż mu zostanie? Wszak to okropne miejsce jest jedynem, gdzie czasem w miarę, a czasem nad miarę, zamroczone głowy miejscowych włościan zapominały o księgosuszu, podatkach, pożarach i innych klęskach... Zapewne, było to zagłuszanie rozumu — lecz tem lepiej, tem lepiej!

Dla dopełnienia topograficznej fizyonomii Sosnowki dodajmy, że na końcu wsi, niedaleko od św. Jana i zarządu gminy, stał wspólny magazyn, dlatego zapewne wspólny, że nie należał do nikogo — i żydowska z zajazdem karczma, niewątpliwie należąca do wszystkich.

Tak więc podczas wypadków, które chcemy opowiedzieć, losami Wilczej gminy zarządzali: komisarz Piotr Iwanowicz Lupinskij, wójt Sydor Tarasowicz Kulak, i dzierżawca księcia, starozakonny Mowsza Caplik.

II.

Komisarz Łupinskij zjawił się na Litwie w samą porę. Kilkanaście lat temu napłynęło tam nagle mnóstwo ludzi prze-ważnie rosyjskiego pochodzenia i bezwarunkowo wschodniego wyznania. Kraj przedstawiał arenę, na której nie narażając się na żadne niebezpieczeństwo, można było odznaczyć się, wyjść jak mówią na człowieka, i spoczawszy na laurach, powiedzieć sobie ze spokojnem sumieniem: »zrusyfikowaliśmy!« Tu dążył każdy niezadowolony z czegokolwiek u siebie w domu; każdy, kogo ominęła ranga, posada, nagroda; czyjego projektu nie przyjęto; czyj majątek, skutkiem nowych urządzeń, podupadł, a wzięść się racjonalnie do poprawy, brakło siły, woli i umie-jętności. Biegli tu ludzie rozmaitej profesyi, wieku, położenia: młodzi, starzy, spragnieni wrażeń i przeżyci, zawiedzeni i za-wodzący; — wszyscy, nie mający nic do stracenia a wszystko do zyskania, lecieli tu z gorączkowym pośpiechem. Wielu było powołanych, ale też wielu i wybranych. Wabik był tego rodzaju, że mógł rozruszać najbardziej nawet obojęt-nych i nieruchliwych — i rzeczywiście obojętni i nieru-chliwi, tu przeistaczali się, z małemi wyjątkami, w najczyn-niejszych zdobywców. Nietylko zdobyć, ale zdobyć jak naj- prędzej, stało się ogólną dążnością. Niektórzy zapalali się do takiego stopnia, że każdą przeszkodę na tej drodze uważali za zbrodniczy zamach na ich osobiste prawa. Oprócz tego, człowiek udający się na służbę do skompromitowanego kraju, uważał to sobie za czyn tak bohaterski, iż żadna nagroda nie była zań dostateczną, — za poświęcenie nieocenione. I chociaż najczęściej na tę ofiarę składano jakąś półwiedzę, lub zupełną ciemnotę, wolny czas, z którym nie wiedziano co zrobić, pustą kieszeń, którą chciano prędko napelnić, a czasem i przeszłość nie bez zarzutu, — jednak wszyscy mieli się *quand même* za dobroczyńców i wynagradzali się wszelkimi sposobami, jak kto mógł i umiał. Niektórych wprowadzie władze wynagradzały

sowiecie, — ale większość, nie czekając łask z góry, bez ceremonii sama się wynagradzała z dołu. Piękneż bo to było pole dla ludzi przemysłnych i śmiałych. Wszystko było możliwe: kupić majątek, niemając grosza przy duszy; nie zapłaciwszy lasu, sprzedać go za gotówkę; wejść w jaki się podobą interes; nazwać się jakiem się podobą nazwiskiem; wzbogacić się, puszczając łatwowiernych ludzi z torbami, i w końcu wyjść ze wszystkiego czystym i niewinnym, jak nowo narodzone dziecko.

Świadectw żadnych nie wymagano; dość było przyjechać z Rosyi i przyznać się do religii prawosławnej, ażeby natychmiast otrzymać takie przywileje, które się zmieniały w prawdziwy róg obfitości. Ztąd można sobie wyobrazić, jaka masa rozmaitego plugastwa zalala ten kraj nieszczęśliwy. Jaki kontyngens łgarstwa, podłości, podkupów, fałszerstw i moralnej zguilizny przyniosła z sobą ta prawosławna armia pragnących i łaknących. Jak szarańcza rzuciła się ta zgraja na kraj, spiesząc zająć całą przestrzeń opróżnioną dla niej przez przemoc; robić ceremonii nie mieli potrzeby i pod pretekstem rusyfikacji i religijnej propagandy, ci zdobywcy zabrali się do takiej roboty, która nietylko z religią i słusnością, lecz i z polityką jednności państwowej nie miała nic wspólnego. Czas był gorący, należało kuć żelazo, póki nie wystygło; to też młot spadał i spadał na kowadło, aż do zupełnego wyczerpania materiału. Wówczas wszystko dawało zarobek, ze wszystkiego wyciągano intratę; każde nawet rozporządzenie rządowe, każde nowe ograniczenie praw krajowej ludności, wyzyskiwały zręczne łapy przybyszów, bo w końcu i to, czego prawo broniło, można było za dobrą opłatę pozwolić.

Był to czas, kiedy burza tylko co ucichła i w powietrzu zaczęły się ukazywać symptomata czegoś nowego, jakieś pierwiastki przyszłości. Od wschodu powiał nowy duch. Najpierwej zjawili się nowi urzędnicy w uniformowych czapkach i chociaż nie byli to jeszcze ludzie ostatniej formacji, przynieśli jednak z sobą nasiona nowej flory. Dawniej, bywało,

gdy przyjeżdżał taki pan w zielonym wicemundurze, wiadomo było po co przyjechał i co z nim robić; żadnych wątpliwości, nie takiego coby wprowadzało ludzi w fałszywe względem siebie położenie: dawali — brał — i tym prostym aktem wszystko się kończyło. Zielony wicemundur objeżdżał takim sposobem powierzone swojej opiece miasta, odbierał spokojnie, co mu się należało, nie zaglądając nawet nigdzie. Nagle wszystko się zmieniło: urzędowa czapka zaczęła niespodzianie wpadać do sklepów naprzykład, opatrywać, mierzyć, ważyć, cytować rozdziały i paragrafy prawa. A chociaż systemat miar i wag fałszywych pomimo tego nie zmieniał się i nadal, łapowe jednak podwajało się. Był to już stanowczy postęp. Potem zaczęli napływać geometrzy, komisarze do spraw włościańskich (wszelkich odcieni: od najczerwieńszych burzycieli, do białych nawet konserwatystów), urzędnicy od akeyzy, koronni marszałkowie szlachty (często wcale nie szlachta) i tak dalej, i tak dalej. Prokuratorowie i adwokaci byli ostatnim wyrazem tego przeistoczenia, ostatniem ogniwem tego łańcucha. Głównem zadaniem było zmienić to, co uznano za złe, zasadzić nowe nasiona i czekać plodów rusyfikacyi. Tymczasem Panowie dąsali się w swoich zamkach; obalamucani chłopci przebywali rozmaite «kierunki», idące z generał-gubernatorskich kancelaryj, a domyślni żydzi, zwietrzywszy nieomylnym węchem po czyjej stronie będzie prawo, uczyli się na gwałt rosyjskiego języka. Zrodziła się nowa kultura!

W takim to czasie zjawił się w granicach ziemi obiecanej Piotr Iwanowicz Łupinskij i przyjechał w samą porę: tacy ludzie byli tu bardzo potrzebni i natychmiast dostawali posady. Mała miejscina, stolica ogromnego powiatu, zdaje się, czekała go. Piotr Iwanowicz przyjechał starą żydowską budą, ciągnioną przez parę zamorzonych szkap, z żydem w krymce, z pejsami, w podartym nankinowym łapserdaku na koźle. Droga była daleka, jechali nie spiesząc się; żyd popasał we wszystkich brudnych, niezdolnie cuchnących karczmach, modlił się odziany w swój biblijny żałobny strój i w ogóle podróżował

według swej fantazyi, sądząc, że może sobie pozwolić trochę swobody, przy taniej zapłacie, wytargowanej przez skromnego podróżnego. Piotr Iwanowicz był cierpliwy, jak człowiek dążący świadomie do pewnego celu i patrząc na plecy swego automedona, upstrzone łatami najrozmaitszych kolorów i wielkości, podziwiając jego starozakonne pukle, marzył o przyszłości i budował zadziwiające plany. Przy rzadkich spotkaniach z przejeżdżającymi, chował się głęboko w swój namiot z rogoży, wstydząc się swego ubóstwa, jakby młodość, zdrowie, siły — nie były bogactwem! Jechał on w celu zrobienia kariery, — słyszał, że »kraj zachodni« jest kopalnią złota dla ludzi przemysłnych, — a on, Piotr Iwanowicz, był bezwątpienia przemysłnym. Czemuż nie popróbować szczęścia. Niedawno ożenił się z Polką, która, aby nie psuć przyszłości mężowi, taila swe wyznanie i narodowość. Była gdzieś damą do towarzystwa, czy boną, a rozповідаła o pokrewieństwie z jakimiś baronami. Z boku wydawało się to bardzo śmiesznem, ale Piotr Iwanowicz był szczęśliwym. Rodzą się już tacy ludzie z guzem familijnego życia i zapobiegliwości. Piotr Iwanowicz miał wrodzoną skłonność do rodzinnego szczęścia; była to jedna z jego zalet: przechadzał się z żoną pod rękę, sam kupował jej okrywki i kapelusze, wchodził w najdrobniejsze szczegóły domowego gospodarstwa, w kuchni zaglądał do wszystkich garnków. Pomimo tak skromnych upodobań, Piotr Iwanowicz tworzył rozległe plany na przyszłość i zaraz po przyjeździe przystąpił do ich wykonania.

III.

Wśród przybyszów Piotr Iwanowicz wybitnie się odznaczał; — nie dlatego, by go otaczała jakaś aureola poprzedniej sławy, ale dlatego, że większa część jego współtowarzyszy albo nie chciała robić, albo odrazu zdradzała niepohamowane instynkta i dążności drapieżne. Przypuśćmy, że Piotr

Iwanowicz miał nie mniejszą od innych chętkę oblowienia się, ale był ostrożniejszy — i jak prawdziwy myśliwiec, umiał cierpliwie wyczekać stosownego czasu i sposobności. Wyglądał on na człowieka innego obozu, na sumiennego pracownika, gdy inni — na szczerych próżniaków i nieponiów. Podczas gdy jego koledzy trawili czas przy kartach i butelce wódki, — on jeździł, mówił, podnosił kwestye, żądał wyjaśnień, sam tłumaczył, — słowem zawsze i wszędzie występował jak człowiek czynu. Można go było dwadzieścia razy na dzień spotkać w mieście, dążącego gdzieś spiesźnie, z zamyśloną i urzędową miną; miał on zawsze pracy po uszy i najcięższy wróg nie mógłby go pomówić o lenistwo i niedbalstwo w pełnieniu obowiązków: tam oglądał szpital, ówdzie zajrzał do więzienia, tu zatrzymał się przy żołnierskiej gimnastyce, kłaniał się na prawo i na lewo, zasiadał w komitetach, spieszył na licytację — a zawsze i wszędzie umiał dać dobrą radę, zrobić słuszną uwagę. Nosił on szlachecką czapkę z czerwoną obwódką, a wszyscy wiedzieli, że cieszy się uznaniem samego nawet Michała Dymitrowicza, a ze Stefanem Piotrowiczem jest za pan brat. Z niczego wyszedłszy na człowieka, syn nieznanymi nawet rodziców, Piotr Iwanowicz postanowił dojść do najwyższej jak można pozycyi w hierarchii służbowej. Był to człowiek jeszcze młody — przynajmniej takim się wydawał — ze stołecznem, jak mawiano u nas wówczas, wykształceniem, z wielką pewnością siebie w manierach. Typ twarzy Piotra Iwanowicza był wprawdzie południowy, z kądem jednak pochodził, z południa czy z północy, powiedzieć nie możemy; zresztą niema to żadnego wpływu na tok naszej powieści. Pochodzenie jego było nieznanem nawet jego najbliższemu; na horyzoncie naszego powiatu zjawia się on już w czapce z gwiazdką i zdobywa odrazu opinią dobrego człowieka. Zresztą wówczas złych ludzi tu nie było; nazwać prawosławnego człowieka złym, poczytywano po prostu za niełojalność. Piotr Iwanowicz był umiarkowanym, szczególnie w początkach, gdy zdzierstwo, straciwszy przywoitszą formę dobrowolnej umowy, zmieniło

się tu w bezwstydną grabież. Piotr Iwanowicz był o tyle skromnym, że zadawała się tenutą z jakiegoś skonfiskowanego majątku, co na owe czasy było prawdziwie spartańską wstrzeźmiewością. Piotr Iwanowicz był ostrożny i czuwał nad sobą pilnie, — jednakże pod wpływem jakiegoś silnego wrażenia, tracił to panowanie nad sobą i był w stanie dopuszczać się takich czynów, które tłumaczyć można tylko rozdrażnieniem nerwowem. Pełen miłości własnej, pielegnował swą godność osobistą i swe dobre imię, czując, że to jedynie stanowi jego wyższość nad kolegami. Takim był komisarz do spraw włościańskich Wileczy gminy, dokąd zapraszam czytelnika.

IV.

Cicho i głucho wlokło się życie w Wileczy gminie, gdy powrócił z wojska dymisyonowany żołnierz, Gabryel Szczolkun. Wuj Gabryk, jak go nazywano, pochodził z Sosnowki; miał tam żonę i troje dzieci, z których dwoje przyszło na świat w czasie jego nieobecności, ale żołnierz filozoficznie zniósł to naturalne powiększenie swojej rodziny i był tak wspaniałomyślnym, że nawet nie robił żonie wymówek. Tatiana była zresztą kobietą cichą i spokojną, gospodynią dobrą, we włościańskim znaczeniu tego wyrazu i za młodu bardzo przystojną. Wuj Gabryk nie napróżno wałęsał się po świecie: powrócił z zapasem rozmaitych wiadomości i z pewnym krytycznym poglądem na rzeczywistość, która go otoczyła po powrocie do domu; umiał oprócz tego jako tako przeczytać drukowane i nawet sam stawiał cudaczne zygzyki, które śmiało nazywał literami; z matematyki liczył do tysiąca i za pomocą palców wykonywał działania arytmetyczne; w chronologii zaś był tak mocnym, że zawsze bez omyłki mógł zdecydować, w którym roku od Narodzenia Chrystusa Pana żyjemy. Ulubionem jego zajęciem było czytanie książek religijnych. Typ twarzy miał żołdacki, lubił się upijać, a pijany — zaraz płakał. Zwiedziwszy

całą niemal Rosyą, najdłużej przebywał wśród energicznych włościan Orłowskiej i Tulskiej gubernii, a przypatrzwszy się ich obyczajom i stosunkom, prędko po powrocie do domu zdecydował, że stosunki w jego własnej gminie nie są warte. Szczególnie go oburzało zuchwałe postępowanie dzierżawcy Caplika, który, dzięki tajemniczym porozumieniom z głównym zarządem dóbr i z miejscową administracją, nie chciał wiedzieć o żadnych prawach i poniewierał włościan, jakby własnych poddanych. Wuj Gabryk tym nowym gminnym porządkom milcząc przypatrywał się rok cały, a zrozumiawszy nakoniec o co rzecz chodzi, zaczął powoli wpływać na tych z włościan, których miał za roztrośniejszych. Z początku cała rzecz ograniczała się na pytaniach z jednej strony i niechętnych odpowiedziach z drugiej; powoli jednak chłopci zaczęli się zgadzać z tem, że w ich gminie coś nie tak się dzieje jak należy; zrodziły się powątpiewania. I chociaż Szczółkun tłumaczył »Ustawę« zupełnie po swojemu, przekręcał wyrażenia i często mówił niezrozumiale, udało mu się przecież przekonać słuchaczy, że »Ustawa« tyle jest napisana dla panów, ile dla włościan i że wyraz »prawo« nie tak straszny, jak go przedstawia pisarz gminy.

— Wy, chłopcy, jeżeli nie wierzycie, mawiał w szynku przy butelce, to spytajcie choćby popa. Ojciec Aleksander nie skłamię... A mnie to wszystko jedno — odsłużyłem swoje — z torbami nie pójdę...

Włościanie Stefan Czerkas, Filip Tyliput, stary Piotr Podgórny, parobek Jan Chmielewski, dwaj bracia Byczkowie, Sydor i Antyp, siedzieli na ławach wokoło stołu, pilnie słuchając wykładu żołnierza. Żyd szynkarz drzemał w kącie — ale nie wiele więcej obchodził on włościan, jak lewar wiszący na ścianie, oprócz bowiem ciągłej drzemki, był to żyd wypróbowanej wierności. W tem co mówił Szczółkun, wiele było nie tylko nowego, ale zdumiewającego dla włościan; trudno im było uwierzyć, że w tej dalekiej Rosyi, z kąd wracał żołnierz, bywają komisarze nie przekonywający pięścią i włościanie

dyskutujący wspólnie, na zgromadzeniach, interesa gminy i nawet wybierający dowolnie wójtów.

— Ale gdzież tam! czyż on tylko nie żartuje z nas? myśleli i mówili chłopci. A wuj Gabryk zaklina się na wszystkie świętości, gniewa się, bo mu wcale nie do żartów; laje ciemnych chłopów i z całej siły broni ich interesów. Niewyczerpany jest w opowiadaniach i argumentach.

Szczególniej niemożliwemi wydawały się Sosnowianom stosunki innych włościan do ich komisarzy; było w tem dla nich coś już zbyt niepodobnego do prawdy i do ich własnych stosunków względem Piotra Iwanowicza. Według ich wyobrażeń, Piotr Iwanowicz dla tego jedynie istniał, by ustanawiał kosztorysy robót (powinności), i rozkłady wypłat, odbierał podatki i niedobory, oddawał w rekruty, a szczególnie, aby rozdzielał tę pewną ilość różg, która rocznie przypadała na gminę, jak wydzielają z kasy pensye lub obiady z garkuchni. Słowa »komisarz« i »prawo« jakimś dziwnym sposobem zlewały się u nich w jednoznacznik, a te niejasne pojęcia gmatwały się jeszcze bardziej od wyjaśnień wójta i pisarza. Dla miejscowego włościanina nie masz nic straszniejszego nad prawo wyrazu, i naturalnie, im mniej rozumie, czego to prawo żądać od niego może, tem więcej go się boi. Wie on dobrze, że ilekroć musiał płacić grzbieciem lub kieszenia, ilekroć go sadzali do aresztu lub bili w skórę — zawsze w imię prawa. Nie więc dziwnego, że go się obawia. Dziki człowiek i dziecię razem — łatwo go byle czem nastraszyć. Doskonale to pojmowali jego zręczni eksploatatorowie i na jego ciemnocie i naiwności budowali całe systemata finansowe.

Prezydując w swoim maleńkiem zgromadzeniu, starał się wuj Gabryk wprowadzić trochę światła w tę gmatwaninę pojęć. Ze znajomością natury ludzkiej, Bóg wie gdzie nabyta, kładł szczególny nacisk na prawo własności.

— Ot gdybyście dobrze znali swoją własność i pilnowali tego, co wam daje »Ustawa«, nauczał z poczuciem swej prawniczej wyższości, to niktby was nie krzywdził; widzicie: wam,

nadane są prawa, a wy zupełnie jak barany, kto chce, to was strzyże...

— No, bracia, niby to tak, niby wuj Gabryk prawdę mówi — zauważył starszy Byczek, patrząc z powatpiewaniem na włościan.

— Jakież to są te prawa, Stefaniczu? — zapytał młody Chmielowski, starając się zrozumieć znaczenie mowy żołnierza.

— Takie, widzicie, prawą, że kiedy ten kaftan twój, to ci go nikt zdjąć nie może, — a wam nietylko kaftany, ale i głowy zdjąć można! Barany i basta!

— Nie, poczekaj — rzecze Piotr Podgórny, sześćdziesięcioletni starzec, z długą siwą brodą i poważnemi ruchami, mówił powoli, wyraziście i miał pewną przewagę wśród włościan. — Poczekaj, ty mówisz kaftan... kaftana ze mnie nie zdejmą, bo mój, i ja go nie dam, bo wiem że mój; ale jak przyjdzie rozkaz, na jaką potrzebę pieniędzy dać, to jakże ja mogę prawu się sprzeciwiać?

— Ej, nastraszyli was tem prawem! jak zwierza dzikiego, boicie się... Ależ dziaduniu, zrozumiej: jest prawo i prawo; jest takie, co od Boga postanowione; t. j. nie zabijaj, nie kradnij, nie mów fałszywego świadectwa... Chociaż czasem nie podobna nie skłamać... — dodał jakby w nawiasie.

— To pewna! — potwierdził Stefan Czerkas, chłop poważny i w dodatku starosta wiejski.

— Bez tego nie obejdzie się — zgodzili się bracia Byczkowie.

— Nie ustrzeżesz się — dorzucił Chmielewski.

— Co się tyczy kobiet także — mówił dalej Szczółkun — to jest prawo: »nie pożądaj żony bliźniego twego«, broń Boże... Wszystko to są prawa Boskie i w cerkwi o nich czytają. A są znowu prawa carskie, — ciągnął dalej tymże dydaktycznym tonem — »służ wiernie i uczciwie, szanuj swój stan żołnierski«, na to przysięgałem, jest to prawo drukowane, temu wszyscy powinni być posłuszni. Ale u was wójt z dzierżawcą

takich praw nawytwarzali, których w żadnej księdze nie znajdziesz, które tylko w waszej gminie obowiązują.

No, ty tego, wuju, nie mów — odparł Czerkas — we wszystkich gminach to samo. Był tu onegdaj wuj Borowik z Małkowskiej gminy; powiada, że u nich okropność co się robi; komisarz, powiada, to jak zwierzę! Wziął, powiada, wielki majątek w dzierżawę i chce mu się zarobić na gwałt. Naznaczył, powiada, pańszczyznę, odetchnąć nie daje; a byle co, zaraz do siebie na stajnię... sam chodzi, fajeczkę pyka, a chłopą biją i biją... A pijak, powiada, straszny: wódkę z hrabiowskiej gorzelni wiadrami dostarczają... »Oto, mówi, wam hultaje prawo!« i pięść pokazuje.

— A z kąd się on taki wziął? — pytają razem Byczkowie.

— A z Rosyi...

— Tam widocznie takich nie potrzeba — zadowcipkował Chmielewski i wszyscy zaśmiali się.

— Jakże się on nazywa? — zapytał stary Podgórny.

— Nazywa się Gwoźdźnik, Michał Iwanowicz Gwoźdźnik, a siłacz taki, powiada wuj Borowik, że byka powali...

— To gdyby go do nas, to popróbowaliby się z wójtem, zawołał żartobliwie Chmielewski.

— Bodajes pypcia dostał, — odparł tymże tonem Czerkas i zaprosił wszystkich na wódkę.

Długo jeszcze włościanie pili i rozprawiali, ale zdecydować się na nic nie mogli. Po piątej butelce wujowi Gabrykowi kręciły się łzy w oczach, zapatrzonych ponuro w piec żydowski. Podgórny znalazł, że czas do domu i wszyscy powstali razem, z hałasem odsuwając ciężki stół.

— Hej ty! Icku! co się należy?

Żyd, co spał, czy udawał śpiącego, na dźwięk miedzianej monety nagle się obudził i wstrząsnawszy pejsami, podszedł do włościan. Zapłaciwszy, wszyscy razem wyszli z szynku.

— Oto dębowe łby, dalibóg, mówił na ulicy Gabryk, płacząc językiem i ocierając rękawem łzy, wyciśnięte nadużyciem

kieliszka. Tylko, co mi tam! Mnie wszystko jedno! Ale wy — popatrzcie jak w Rosyi... przecież car i prawo — dla wszystkich jednakowe...

— Ono to niby tak jest, ale zawsze... niby przeciwko władzy... nie wypada, — powiedział Czerkas.

— To pal was djabli! kiedy wam nie wypada... A mnie co do tego? — dodał. — Mnie wszystko jedno! Jak sobie chcecie; mnie wszystko jedno!

I wuj Gabryk zapłakał.

Ale Gabrykowi nie było wszystko jedno; pod jego szarą siermięgą biło pocziwe serce; chciał on zmienić stosunki, które sprzeciwiały się jego wyobrażeniom o sprawiedliwości i dlatego, nie długo namysławiając się, wziął się do roboty. Widząc, jak dzierżawca uciska włościan; jak wójt dla zysków zasłania żyda, jak pod opieką komisarza obydwaj cieszą się bezkarnością, — postanowił pobudzić włościan do trzymania się prawa. »Posłuchają — dobrze; nie posłuchają — tem gorzej dla nich« myślał sobie, robiąc w czasie długich jesiennych wieczorów sieć na ryby. »Zrobię, co należy, a będzie co Bóg da.« I stanąć potrafił na właściwej ku temu drodze, poruszając strunę zarówno czułą u ludzi na każdym stopniu rozwoju — strunę własności. Jako chłop rozumiał, że siermięga należy do niego niezaprzeczenie, że wół i pole są jego niewątpliwą własnością, tak musiał przecie pojąć i to, że ci, co wymagają jego pracy i grosza nad miarę oznaczoną prawem, targają się równie na jego własność. Prawdopodobnie włościanie rozumieli to i dawniej, ale przez wrodzone niedbalstwo, zahukanie; zdziwienie prawie na odludziu; doświadczywszy zresztą, że silniejszy zawsze ma rację — milczeli. Teraz ferment, rzucony ręką Szczółkuna, burzył się powoli w głowach; i bracia Byczkowie, i Czerkas z Tiliputem, i Chmielewski, a nakoniec i ostrożny Piotr Podgórnny, który przetrwał więcej niż pół wieku pod jarzmem, zaczęli się zamyślać. Od myśli do czynu jeden tylko krok i po całym szeregu nauczających rozpraw, Szczółkun dokazał tego, że włościanie ułożyli skargę na »bezbożne« po-

stępowanie żyda-dzierżawcy Caplika, pod redakcyą samego Szczołkuna i cichaczem, ostrożnie wyprawili ją do głównego zarządu książęcych majątków. Odpowiedzi nie było. Napisali drugą skargę, potem trzecią, a nawet czwartą. Na czwartą otrzymano taką odpowiedź, która włościanom odjęła ochotę do wszelkich dyplomatycznych wystąpień. Sosnowianie zamilkli i może zamilkliby na bardzo długo, gdyby nie zaszedł nie spodziewany wypadek, który chcemy właśnie opowiedzieć czytelnikowi.

V.

W Sosnowce urodził się, żył i pracował chłopiek, imieniem Makar Dubotówka. Makar posiadał starą, tak przekrzywioną chatę, że można było dziwić się, jakim sposobem wiatr nie rozniesie jej kiedy, a deszcz nie rozmyje tych spróchniałych, rozpełzniętych na wszystkie strony bierwion, które trzymały się razem chyba z przyzwyczajenia. Makar z natury był spokojny, powolny, zawsze niby zamyślony; na głowie miał kołtun, przykryty zimą i latem ciężką czapką; we święta i niedziele bywał w szynku, gdzie zachęcany przez żyda, wypijał kwaterkę po kwaterce. Pod wpływem wódki, często zaprawionej dla mocy i smaku durmanem, spokojny i powolny Dubotówka stawał się energicznym i śmiałym. Jako siła ekonomiczna, był to chłop porządny; podatki płacił punktualnie; pracował, nie rozumując; wójta obawiał się, jak djabła; a komisarza poczytywał za taką władzę, nad którą wyższej nie masz w całym kraju, a może i dalej. Takim był Makar trzeźwy; ale upiwszy się, nie chciał znać nikogo i gotów był zajrzeć w oczy każdemu. Był żonatym — i uważał żonę za coś pośredniego pomiędzy człowiekiem i każdym innem stworzeniem domowem... wymagał od niej pracy, czasem łajał, szczególnie w święta, po owych kwaterkach; ale w ogóle był niezłym mężem, a jeżeli mu się czasem wymykało jakie

słowo obelżywe, to wiadomo, że bez tego nie można się obejść w życiu włościańskim. Czasem ani żona zrozumieć, ani on wytłumaczyć nie mógł, czego mu potrzeba. Zresztą na te dydaktyczne występy Natalia się nie skarżyła, kochała swego gospodarza, jak mogła i wyjąwszy kilka dni burzliwych w roku, małżonkowie żyli zgodnie, wspólnie dźwigali ciężar swego pracowitego życia i w ciągu ośmiu lat mieli troje dzieci, które sobie rosły, jak grzyby w lesie pod deszczem i słońcem.

Takby przeżył i umarł spokojnie nieznany nikomu Makar Dubotówka, gdyby go moc szatańska, pod postacią jednej zbytniej kwaterki usłużnego szynkarza, nie powiodła na pokuszenie.

Razu jednego, po obiedzie, zjadłszy barszczu z przyprawą suszonych wjunów, Makar siedział pod oknem głęboko zamyślony. Miał zmartwienie — i patrząc przez drobne tafelki na płot i dach sąsiedniej chaty, pokryte harbuzami, w myśli posyłał wójta z całą jego rodziną do wszystkich djabłów.

— Że też go szatan, tego bazyliszka nie zadławi, — rzekł nagle głośno, odwracając się od harbuzów.

— Cóż tam znowu między wami zaszło? — zapytała Natalia, odstępując od koryta, w którym coś rozdrabiała i mieszała dla rochającego w przyjemnem oczekiwaniu prosięcia.

— Nie cierpi mnie zbój za coś... Albo mnie, albo jemu musi być koniec!

— Pan Bóg z tobą, Makarze! Cóż takiego się stało? Wszakże resztę podatków kilka dni temu zapłaciliśmy, — dodała ze smutkiem, przypominając sobie cielieczkę, za bezcen na ten cel sprzedaną.

— Albo mnie, albo jemu, — powtórzył ponuro Makar, nie odpowiadając na pytanie.

— Dlaczegożby nie miał żyć? — westchnęła Natalia, wypędzając z izby nakarmionego wychowańca.

— Teraz, tylko wyobraź sobie — ciągnął dalej Makar — taką mi działkę drogi wyznaczyle, że chyba powiesić się... Tam sto wiorst i w drugą stronę sto wiorst — siedm dni straconych, oprócz roboty.

— Cóż robić? — westchnęła znowu Natalia, usypiając kolysanką krzyczące w kolebce dziecko.

— I siwy żróbek, którego myślałem sprzedać na Jura, musi pójść do żyda, jak już poszła cielica; a my choć z torbami w świat.

Siwy trzyletni żróbek stanowił cały majątek Makara; wychował, wykarmił go on, często sobie od ust odejmując, i nadzieja sprzedania go z zarobkiem na jarmarku, była jedyną jego nadzieją.

— A gdybyś się wyprosił? — powiedziała Natalia, uspokoiwszy dziecko i siadając na ławce przy mężu — ino żeby odłożyli przynajmniej?

— Nie można — surowo odpowiedział Makar — pismo z miasta przysłali: piszą, że sam gubernator jedzie, żeby drogę koniecznie poprawić.

— Oto dopiero! Niby to ty sam ją poprawisz? Przecie i Byczkowie, i Żukowie, i Podgórnzy, wszyscy się wykupili...

— Oni się wykupili, a ja nie mam czem... Przeklęty antychryst okropnie drogo chce...

— A wieleżby mu? — zapytała ciekawie Natalia. — A precz, urwisy! — zastukała w okno, widząc, że jej chłopcy, zupełnie podobni do siebie, z bosem nogami i białymi głowami, upędzają się za pisarskim gąsiorem, syczącym na nich złośliwie. Chłopcy uciekli, a gąsior z właściwą sobie powagą, z nogi na nogę, poszedł na pisarskie podwórze. — A wieleżby mu? — powtórzyła Natalia.

— Dawaj, powiada dwadzieścia pięć; bez tego pokwitowania nie dadzą. A zkąd mu wezmę?

— To prawda, soli nie ma za co kupić...

Makar ogląda się w około, jakby szukając coby można sprzedać. Ale w około tak ubogo, że nawet żyd, nie gardzący niczem, nie znalazłby, czem tu się skusić.

— Gdyby cieliczka jeszcze była... pomyślała Natalia, ale nie powiedziała. Małżonkowie milczeli przez chwilę.

— A gdybyś poszedł do wójta — nieśmiało doradzała żona, rozważywszy pierwiej w myśli wszystkie możebne środki. Makar milczał. — Doprawdy, ojezulku, szkoda przecie żróbaka!

Makar jakby się ocknął.

— Ej, życie, życie! Niema szczęścia do niczego, rób, co chcesz.

Schylił głowę — wyraz zniechęcenia przebiegł po jego jeszcze młodej, ale już zwiędłej twarzy.

— Doprawdy, Makarku, pójdź! może też wyprosisz się.

— Ale bo, jak tam prosić takiego bydlaka?! Wnętrznosci ci przewróci, a nic nie zrobi...

— Jednakże warto popробować, — nastawała Natalia.

Makar widocznie wahał się, walczył z sobą; to wstawał, to napowrót siadał na ławie pod oknem. Nakoniec wziął czapkę i ruszył ku drzwiom.

— Ale jak można, najgrzeczniej Makarze. Sam wiesz — władza.

Makar wyszedł z chaty.

— A wy, ciągle urwisujecie się, hultaje! — gniewnie krzyknął na Fedka i Stepka, siedzących konno na płocie z marchwią w ręku. — Precz, do izby!

Ale »hultaje«, zwaliwszy się jak worki z wysokiego płotu, polecieli wzdłuż ulicy, wybuchając wesołym śmiechem swojego wieku.

— Co za łotry! — powiedział Makar z nieopisanym wyrazem pieśzczoty w głosie — a przeziębło to...

Słyszając głos gospodarza, siwy żreback zarżał pod dachem i zwrócił rozumną głowę, jakby oczekując należytnej mu pieśzczoty. I Makar, ulegając przyzwyczajeniu, podszedł, pogłaskał go po szyi i jakby cień smutku mignął w szarych oczach włościanina. Stał chwilę na dziedzińcu i znowu wrócił do chaty.

— Słuchaj, Natałko, gdyby tam co... to ty tego... No, ale to tam się pokaże... I nie domówiwszy wyszedł. Młoda

kobieta spojrzała za nim smutnemi oczyma i skończywszy gospodarskie zajęcia, powróciła do kołyski.

Dla zrozumienia rzeczy, pozwolę sobie maleńkiego wyjaśnienia. W tym zapadłym kraju, gdzie mieszkał Dubotówka, wypadało często poddawać się takim rozporządzeniom, które sprzeciwiały się nie tylko zdrowemu rozsądkowi, lecz i potrzebom miejscowym, a przynosząc widoczną szkodę gospodarstwu krajowemu, wypełniane były tylko dlatego, że nie spotykały protestu ze strony tych, na których ciążyły. Naprawa dróg, na przykład, stanowiąca tu naturalną powinność włościan, stawała się zupełnie nienaturalną przy wykonaniu. Podziałki drogowe były rozdawane w taki zadziwiający sposób, że włościanom często wypadało iść do nich siedmdziesiąt, ośmdziesiąt, a nawet sto wiorst, tak, że aby się tam dostać i napowrót, rzeczywiście potrzeba było całego tygodnia, jak słusznie uskarżał się Dubotówka. Rozumie się, że chcąc uniknąć takiego nienaturalnego odbywania tej naturalnej powinności, chłop szukał jakiejś rady. I rada zjawiała się pod postacią przedsiębiorczego i na wszystko gotowego żyda: chłop prosi — żyd targuje się, chłop kłania się — żyd trochę ustępuje z ceny i na koniec zawierają formalną umowę, mocą której żyd przyjmuje na siebie za pewną opłatą obowiązek poprawy wyznaczonego chłopu kawałka drogi i otrzymawszy pokwitowanie (podług ustanowionej taksy), świadczące, że droga w pożądanym dobrym stanie, zostawia ją, jak dotąd była, na łaskę i niełaskę wszystkich żywiołów i pór roku. Czasem zdarza się, że włościanin nie ma czem zapłacić, i w takim razie, przeklinając gorzki los, wlecze się naprawiać swoją działkę na koniec świata. Takim sposobem, niemożliwy stan dróg opisywanej miejscowości, jest źródłem znacznych dochodów dla kogoś, znacznych strat dla ubogiego chłopca.

Makar Dubotówka był właśnie w położeniu włościanina, nie mogącego zapłacić: interes z żydem, żądającym zbyt wysokiej ceny, nie udał się i wypadało mu ruszyć na tę wędrówkę w czasie słotnej jesieni, porzuciwszy żonę i dzieci.

Rozumie się, ta wyprawa nie była dla Makara pierwszą, ale na ten raz jakieś nieokreślone uczucie tęsknoty, wraz z żalem za siwym żrebakiem, ścisnęło mu serce na myśl o konieczności oddalenia się.

Wyszedłszy za wrota, Makar przystanął; mrok zapadał i chłodny wiatr przenikał pod polatany kożuszek włościanina. Na prawo leżał szynk, na lewo wielki gościniec. Makar postął, pomyślał i zawrócił na prawo. Nad szynkiem zapraszająco błyszczała okopcona latarnia. — »Cóż, chyba napiję się,« przemknęło mu po głowie. — »Ej, nie! lepiej obejdę w około...« A po chwili już stał przed szynkwasem i usługowy żyd nalewał mu kwaterkę po kwaterce. Wyszedłszy z szynku z ciężką głową i energicznem usposobieniem, Makar nacisnął baranią czapkę i prędko ruszył ku zarządowi gminy. Było już zupełnie ciemno, chłód coraz większy, wiatr wznagał się co chwila, ale Makar tego nie wiedział i nie czuł. »Oto, jeżeli nie puszcza!« powtarzał tylko sobie w myśli, ściskając pięście i wpatrując się w ciemną przestrzeń. Duża wieś ze swojemi niskimi, jakby przyduszonymi chatami, wyciągniętymi w jedną prostą linię, tonęła w ciemności; i tylko w Zarządzie, przez zakopcone szkła podwójnych okien, jak dwoje oczu, świeciły dwie zapalone świece. Ten budynek Zarządu gminy kosztował włościan sześć tysięcy rubli, nie licząc pracy bezpłatnej i taniego w tej okolicy drewnianego materiału; a oprócz tego, poprawiano go co roku za włościańskie pieniądze. Wójt, Sydor Tarasowicz, siedział przy samowarze, popijając kolejno wódkę i herbatę, kiedy Makar Dubotówka wstąpił na wysoki, mokry ganek Zarządu.

VI.

Wójt Wilczej gminy, Sydor Tarasowicz Kułak, nosił swoją godność umiejętnie i tak w nią wrósł, że nie tylko uważał ją za umyślnie dla niego stworzoną, ale był pewny, że żadne

siły nie mogą go zruszyć z tego wilczego tronu. I miał słuszość; pod opieką Piotra Iwanowicza, utywszy z włościańskiej pracy na niezapracowanym chlebie, rozporządzał on, jak nieograniczony władca mieniem, pracą, honorem i nawet można powiedzieć życiem kilku tysięcy ludzi. Była to najstraszniejsza forma niewoli. Powstała tu pewnego rodzaju pańszczyzna, tylko panami na pierwszym planie byli wójt i żyd, a na dalszym komisarz, — którzy panując i bogacąc się do czasu, nie mieli dobrej racji oszczędzać włościanina.

Wójt znał swoją potęgę: leżała ona w jego mocno naładowanej kalecie. Uderzał się w razach trudnych po kieszeni, mówiąc: »da radę temu!« i dawała zawsze. Rosnąc z roku na rok, przeistaczając się z kopiejek w ruble, sta i tysiące, włościańskie grosze zabezpieczały mu bezkarność takich postępków, które innego i w innej miejscowości, zaprowadziłyby do więzienia lub jeszcze dalej. Ale tu pieniądze były niezawodnym puklerzem i w miarę tego jak rosły, rosła i siła wójta. Chłop kłaniał mu się do stóp, wypraszał się od jakiejś powinności, całował go w rękę, pracował na niego i słuchał go bezwarunkowo. Na wójta sprawy nie było nigdzie; komisarz sadzał go z sobą na kanapie, własnoręcznie częstował wódką, a nawet tak daleko posuwał przyjaźń, że pożyczal u niego pieniądze i zapominał oddawać. Oprócz tego miewali i inne wspólne interesa. Na wójta nie tylko nie było sprawy, ale nawet skarżyć się na niego nie wolno było; w jego arsenale poprawczych i karnych środków, oprócz dowolnych kar pieniężnych, aresztu, różg — była jeszcze jego własna silna pięść, której używał nie oszczędzając i uważając ją na równi z medalem za jeden z atrybutów swej władzy i za najlepszy środek na uśmierzenie zuchwałych. Zaraz w pierwszym trzyleciu swoich nieodpowiedzialnych rządów gminą, wójt odznaczył się gorliwością: okaleczył kilku ludzi za sprzeciwianie się prawu, to jest jego własnej woli; kilku też doprowadził do nędzy ostatecznej. Nie liczę wcale tych, którzy odsiadali na chlebie i wodzie, opłacali kary pieniężne, lub otrzymywali prawną liczbę różg — bo takich

dawno przestano liczyć. Za to niewątpliwie powiększył wójt produkcyjną działalność każdego włościanina, gdzie bowiem dawniej płacił chłop rubla, teraz tam otrzymywano trzy, cztery i więcej. Kiedyś przyszło na myśl chłopom poskarżyć się komisarzowi, — ale komisarz ich wypchnął i słuchać nie chciał; — zjazd komisarzy wysłuchał, ale nie nie zrobił, komitet gubernialny do spraw włościańskich, postępując zapewne podług prawa, odesłał skargę temuż komisarzowi, na którego skarżyli się. Był to najłatwiejszy sposób załatwienia sprawy.

W owym właśnie czasie powrócił do domu Szczolkun. Sydor Tarasowicz nalewał sobie szósty kieliszek, kiedy wszedł Makar Dubotówka. Naprzeciwko wójta siedział pisarz Kureczka. W obszernym pokoju było gorąco; para z kipiącego samowara i dym z papierosów pisarza nieruchomą chmurą wisiały w powietrzu. Łojowe świece z zapalonymi knotami oświecały tylko przestrzeń przy stole, zostawiając w zupełnym mroku kąty i drzwi wchodowe. Wchodząc Makar chrząknął, dając znać o swoim przybyciu.

— Kto tam? — krzyknął zachrypłym głosem wójt, obcierając palcami napalony knot świecy i wpatrując się w głąb pokoju.

— To ja, z interesem, panie wójcie. — odrzekł ze swego kąta Makar.

— A coś ty za jeden, żebyś z interesami nie w porę przychodził? Mało dnia na wasze interesa? Przekłête plemię! Odetchnąć spokojnie nie dadzą, — burczał wójt. — Bodaj was... ziewnął, przeżegnał się i zdjawszy knot z drugiej świecy, roztarł go na podłodze nogą.

Taki początek nie zapowiadał powodzenia, ale Makar, rozgrzany wódką, nie chciał ustąpić. Na chwilę zapanowało milczenie. Tylko jesienne muchy, zbudzone wysoką temperaturą pokoju, brzęczały i uderzały się o belki sufitu.

— Czego chcesz? — zapytał wójt, — zapewne znowu o niedobór podatku?

— Niedoboru nie mam, Sydorze Tarasowiczu. Za niedobór sprzedano mi ostatnią cielicę.

— Ostatnią cielicę, przedrzeźnił wójt. A po cóż dopuszczasz do tego? Płać w porę, dodał trochę zmięczonym i przekonywającym głosem.

— Ja znowu, tego... przyszedłem z powodu działki...

— Czego, z powodu działki? — zapytał wójt, patrząc mu w oczy.

— Daleko strasznie i niewygodnie... A tu św. Jerzy za pasem. Uwolnijcie mnie, panie wójcie, a ja wam kiedyś odślužę, — prosił Makar, pamiętając lekcję żony o grzeczności względem władzy, a myśląc jednocześnie »żeby cię d..... porwali! szatanie ty jakiś...

Wójt nalał kieliszek, pomyślał i nalał drugi pisarzowi; ten z niezrównaną zręcznością przechylił go do ust. Pod sufitem brzęczały muchy. »Widzisz, przekłęci... piją!...« pomyślał z zazdrością Makar i zdecydował się raz jeszcze spróbować.

— Uwolnijcie, Sydorze Tarasowiczu, zmiłujcie się nademną, mówił z trudnością, dławiąc wezbrany gniew i gniotąc w rękę czapkę. — Przytem jarmark w piątek...

Wójt wypił swój kieliszek i groźnie spojrział.

— Kazano iść, to iść! I niema gadania, rozumiesz! Jeszcze czego? Gdyby tak dziś ciebie posłuchać, jutro Iwana, pojutrze bałwana, potem jakiegoś djabła, toby i sił nam nie wystarczyło. Ruszać! nie masz po co napróżno stać. Akulina! zawołał, zwracając się do przegródki i dając tym sposobem znać, że audyencya skończona, — zabierajcie samowar i dajcie nam co przekąsić. A ty, ruszaj sobie! powiedziałem ci raz, ruszaj sobie!

Ale Makar nietylko nie ruszył sobie, ale przeciwnie postąpił kilka kroków i zatrzymał się w kole światła.

— Sydorze Tarasowiczu, siły nie mam, a przytem jarmark... Wola twoja...

— Nie wola moja ale prawo! — krzyknął wójt. — Pismo przyszło... rozumiesz?

— Od pana stanowego... pismo... tak... belkotal niewyraźnie pijanym językiem pisarz.

— Jego ekscelencya, pan gubernator jedzie, mówił wójt. Ruszaj precz!

I wójt zwrócił się znowu do butelki.

— Ot co, Sydorze Tarasowiczu... Co tam będzie — a nie pójdę; siły nie mam! — nagle gniewnie i stanowczo powiedział Makar, wyczerpawszy cały zapas panowania nad sobą pod wpływem grubijańskich słów wójta i wyziewów wódczanych, które mu w gorącej izbie uderzyły do głowy. — Wola wasza, a nie pójdę!

— Toś ty taki, przeciw prawu buntownik! — krzyknął wójt prostując się. — To znaczy sprzeciwiać się śmiesz!

I przystąpił do chłopca, patrząc biegającymi ze złości oczyma. Makar pomimo woli cofnął się.

— Co tam za prawo, kiedyście z komisarzem zaprzędali nas żydom...

— Cyganom sprzedam! — wrzasnął wójt, wpadając w wściekłość. — Słyszysz, cyganom... ty jakiś!... — I silna pięść wójta powaliła z nóg Makara.

— Stróż! Jarema! — wołał wójt, otwierając nogą drzwi do sieni. — Bierz go, ciągnij! do kozy z nim! Na chleb i wodę! W kajdany buntownika!

Akt obrzydliwej sprawiedliwości pięściowej dokonany został. Słabszy, naturalnie, był winnym.

VII.

Wyglądając co chwila z podwórza w nieprzejrzaną, ciemną przestrzeń jesiennej nocy, oczekiwała Natalia męża. Na wsi zegarów niema, ale dla oczekujących czas wlecze się równie powoli jak tam, gdzie go mierzą wskazówki cyferblatu. Natalia widziała jak u sąsiadki, starej żołnierki Jaryny zapalono łu-czywo, jak ono dopaliło się i zgasło; jak gasły z kolei wszystkie

ognie w ich ulicy — co oznacza, podług włościańskich obliczeń bliskość północy — i serce jej ścisnęło się przecuciem nieszczęścia. Smutek ogarniał ją coraz bardziej i instynktownie, szukając nań lekarstwa, coraz częściej podchodziła do kołyski swojej siedmiomiesięcznej chorej dziewczynki. Dziecko rzucało się w gorączce, a biedna matka, nie rozumiejąc, ze strachem patrzyła na drobną, zarumienioną twarzyczkę, owiniętą w stare brudne strzępki. Wyjmowała dziecię z kołyski, podnosiła do swej piersi, znowu kładła i nie wiedząc co robić, jak poradzić, nagle zapłakała...

A noc powoli przeciągała nad spiącą wioską. Była to cicha, ciemna noc, bez gwiazd i księżyca. Zdawało się, że się nigdy nie skończy ta ciemność bez żadnego promyka. Nad rankiem dziecko zasnęło, zasnęła też ciężkim snem i matka, co chwila rzucając się i budząc. Nagle na sąsiednim podwórzu zapiał kogut, potem drugi, trzeci, jakby podając sobie głos, witając poranek jednostajnym swym krzykiem. Na wsi wstają ludzie wcześnie, i gdy u ciotki Jaryny zapłonęło znowu łuczywo, walcząc swym jaskrawym płomieniem z nadchodzącym szarym dniem, ktoś zapukał do Natalii. Z bijącym mocno sercem rzuciła się ku drzwiom.

— To ty, Makarze? — zapytała odsuwając drżącą ręką zasuwkę.

— Poczekasz Makara. Nie ma go jeszcze — odezwał się za drzwiami drżący głos i zgarbiona staruszka, pokryta rozmaitemi szmatami i lachmanami, zjawiła się na progu chaty. Natalia zatrzymała się i patrzyła na nią zaczerwienionemi jeszcze od łez oczyma.

— Nie przestraszaj się, Natalko; twojego spotkała bieda.

— Gdzież on! — szepnęła Natalia, zgadując prawie odpowiedź.

— Ależ drzwi choć przymknąć, wyziebi się... Nie bój się, on w bezpiecznem miejscu...

— U wójta? — szepnęła Natalia i ostry ból ścisnął jej serce na wspomnienie swojej wczorajszej rady.

— U wójta przekłętogo, w areszcie... Twój był zuchwały... Jarema rozповідаł babom u studni: taki, powiada, zły...

— Boże! — krzyknęła Natalia — toż ja sama do wójta go posłałam. Ach, ciotko!

I gorące łzy popłynęły po jej wychudłej twarzy. Natalia była sobie prosta kobiecina, nie wyszła nigdy za granicę swojej wioski — ale odczuwała nieszczęście, jak każda inna kobieta i nagle zamknięcie Makara pod klucz u złego wójta dotknęło ją do głębi serca, tem boleśniej, że za wszystko sama siebie obwiniała. Napłakawszy się dowoli i wyrozumiawszy, co można było z niedokładnych opowiadań starej żołnierki, Natalia narzuciła na głowę chustkę i przeżegnawszy się, wyszła z chaty. Poszła prosto do zarządu. Cała wieś była już na nogach, ludzie przy spotkaniu zamieniali z nią pozdrowienia, kobiety z wiadrami na ramionach patrzyły za nią czas jakiś. Wieść o Makarze przez gadatliwego stróża rozeszła się już, wszyscy wiedzieli, że Makar siedzi za zuchwalstwo.

— Ten wójt to zwierz istny — mówiono w chacie Podgórnego — toż go on teraz zadusi...

Żal chłopca — powiedział ze współczuciem Czerkas, który tam zaszedł, by udzielić nowiny staremu, niedomagającemu od kilku dni i niewychodzącemu z chaty.

— Dopókiż tego, Panie odpuść, szatana znosić będziecie? — zawołała jego synowa, wielka przyjaciółka Natalii, wstawiając starannie garnek do pieca.

Wójta nie było w domu, kiedy Natalia nieśmiało zapukała do drzwi kancelaryi. Serce jej żał ścisnęło i łzy co chwila napływały do oczu. Zawsze zaspany Jarema, wysunawszy nosa przez trochę odchylone drzwi i poznawszy żonę Makara, natychmiast zamknął je gwałtownie.

— Niewolno puszczać! niewolno nikogo puszczać! — krzyczał z po za drzwi, machając gwałtownie rękami.

— Jaremo, zmiłuj się...

— I, nie prosz napróżno! — mówił przez szparę.

— Na chwilkę tylko, niech popatrzę...

— Nie mogę żadnym sposobem. Samemu pokłoń się. Zbiję, mówił, jeżeli co... wiesz dobrze jaki on...

— Jaremo! mój kochany.

— Ruszaj, ruszaj sobie z Bogiem!

— Powiedz mi tylko jedno: czy on żyje moje biedactwo!

— Czemu nie ma żyć? Zły taki. Ja mu powiadam: chcesz chleba a on mi pięść pokazuje. No, ruszaj, ruszaj Natalko; żeby cię jeszcze tu nie zastał.. nieszczęście będzie! Idź, powiadam ci, z Bogiem!

Ale Natalia nie ruszała się z miejsca, jakby przyrosła do drzwi, za którymi, jak dziki zwierz w klatce, zamknięty był Makar Dubotówka. Rozgniewany jej uporem Jarema ostatecznie zamknął drzwi, i umyślnie stukając butami, powrócił na swoje zwyczajne legowisko w kącie za piecem, gdzie przepędzał dnie i noce, w stanie pośredniczącym między snem i czuwaniem.

— Biedaku mój — płakała Natalia — wszak tu bliźniutko a nie puszczają ci zboje! Litości nie mają... Chyba znowu zapukam...

Poruszyła nieśmiało klamkę.

Jarema udawał, że nie słyszy, a może w rzeczy samej nie słyszał. Po dwugodzinnem oczekiwaniu, sama nie wiedząc, ile czasu przeszło, cierpiąc za męża i za chore dziecko, powlekła się Natalia do domu. Tak przeszło trzy męczące doby. Po kilka razy na dzień biegała do kancelaryi, padała do nóg wójtowi, proponowała dziesiątkę Jaremie — ale cerber gminny niewzruszony i Natalia powracała z rozdartem sercem.

— Nie kazano puszcząć! poczekaj do piątku, na św. Jerzy wypuścimy! — powtarzał Jarema. — Poproś samego... Zbiję, powiedział, jeżeli co... — szeptał dla spokoju sumienia i Natalia, postawszy u drzwi, płacząc wracała do domu, nie zważając na wiatr, ani na deszcz, chłoszczący jej zaczerwienione i zabrzękle oczy. Nigdy dotąd tak nie kochała i nie żałowała swego Makara! Kochała go tem bardziej i żałowała, iż czuła się pierwszą i główną przyczyną nieszczęścia, które na niego spadło. Tak przeszło pięć ciężkich dni. Nastąpił piątek, dzień

uwolnienia Makara. Natalia nie spała prawie noc całą; gdy niespokojnie zadrzemała na chwilę, zaraz budziła się i przypominając sobie, że to piątek, z radością żegnała się. Zaczęło świtać, na wschodzie pokazał się różowy pas zorzy, pogoda zapowiadała się pięknie i promienie wschodzącego słońca oświeciły białe, jakby zamrożone obłoki. Ale niestety! nie na radość ozłociło jesienne słońce ubogą chatę Makara; w chwili, kiedy ogarnawszy się Natalia rozpałała w piecu, chcąc się wziaść do do obiadu, którego nie gotowała przez cztery dni, karmiąc dzieci czemkolwiek z pomocą żołnierki Jaryny — na ulicy pod samemi oknami chaty, usłyszała jakiś hałas, niewyraźne dźwięki kilku głosów, a po chwili stąpanie ciężkich chłopskich butów w ciemnej, zarzuconej różnym sprzętem sieni. Przeczuwając jakąś przerażającą niespodziankę, przejęta strachem nowego nieszczęścia, Natalia rzuciła się do drzwi, za którymi okropny obraz przedstawił się jej oczom: kilku włościan, podtrzymując okrwawionego i ledwo stąpającego Makara, wprowadzili go do izby.

— Jedyńy mój! — zawołała, obejmując męża rękami. Makar jęknął słabym i cierpiącym głosem.

— Zabił go, zabił, rozbójnik! — szepnęła i bez czucia, jakby podkoszona, upadła na ziemię wśród płaczu dzieci, jęków Makara i głosów włościan, na których surowych i zwykle mało wrażliwych twarzach, wyrażało się teraz głębokie współczucie.

A wieczorem stróż Jarema, wybrawszy wolną chwilę, rozpowiadał u studni, że »jak go wypuścili, a on spotkał wójta, to zamiast podziękowania, jak zacznie go łąać różnemi słowami... a wójt jak rzuci go na ziemię, jak zacznie go tłuc...«

— Dzięki Byczkom — dodaje Chmielewski — że odebrali, byłby na śmierć zatłukł.

— Oj, oj! — wzdychała ciotka Jaryna. — Co się z nim takiego stało? chłopiec przecie spokojny... niech sąsiedzi... Chyba pijany był?

— Cały czas pił, sam mu kożuszek zastawiać nosiłem — tłumaczy sumiennie Jarema.

Na drugi dzień Makar miał gorączkę, Natalia nie odstępowała go na chwilę; starszych chłopców zabrała pod swoją opiekę synowa Podgórnego Stefania, a stara żołnierka Jaryna porała się u kołyski. Siwy żreback poszedł do żyda, u którego był już kożuszek Makara.

VIII.

Historya z Makarem dała nowy argument Gabrykowi. Był on prawie zadowolony, że stało się to, co się stało i ubolewając na Makarem, rozumiał odrazu, że takie zajście poprze jego sprawę lepiej, niż ciągły, drobiazgowy ucisk, który wszedł już prawie w normę życia miejscowych włościan i był pojmany przez nich, jak coś zwyczajnego, jak dopust Boży, jak grad, posucha, zalew lub pożar.

Na trzeci dzień po wypadku w szynku u żyda zasiedli znowu znajomi nasi włościanie; byli tu i bracia Byczkowie, i Tyliput, daleki krewny Makara, Piotr Podgórny, Chmielewski, Czerkas i nowy członek zgromadzenia Bazyli Kruk. Stefan Czerkas, jakśmy mówili, był starostą wiejskim i dlatego poczytany był za prawnika i mądrą. Szczolkun przyszedł ostatni i zaraz przystąpił do głównego tematu.

— No, widzicie co się dzieje? Przecie człowieka prawie życia pozbawiono! cóż wy na to, chłopcy?

— A cóż, wuju Gabryku, rozumie się, że źle!

— Najgorzej — dodał Tiliput, — że żona rozpacza... okropność!

— Cóż, wuju Gabryku, co ty myślisz? — zapytał stary Podgórny, chcąc pomówić o jakimś planie działania.

— Rzecz prosta! — odpowiedział stanowczo Gabryk — precz wójta rozbójnika i basta! Przecie wyście go wybrali, to wy go możecie zrzucić.

— Jak myśmy go tanr wybierali!...

— Czyż nas pytają? — rzekli Byczkowie.

— Patrz, czego mu się zachciewa?! — zaśmiał się Kruk.

— No, to niema po co z nim ceremonii robić! Zdjąć z niego medal; co on za wójt, kiedy jest wrogiem własnej gminy! — zawołał Gabryk.

Ale właśnie dla tego, że Gabryk był tak stanowczy, włościanie zaczęli się cofać.

— Gdyby tak cała gmina razem... a tak... strach jakoś... — przemówił prawnik i mądrala Czerkas. — Ciężko własną skórę nastawiać, wiedząc napewno, że obedrą, a poskarżysz się, to jeszcze poprawią. Potrzeba wszystko robić legalnie, a nie tak na chybi, trafi. Zdjąć medal, nie sztuka, ale ty nam, wuju Gabryku, podstawę prawną pokaż.

— Ma on słuszność — odezwał się Podgórny.

— Niema co mówić — pokręcali głowami inni.

Szczolkun zaczynał się gniewać.

— No, dębowe łby! Toż macie właśnie podstawę prawną, że podług carskiej ustawy wam, to jest samym włościanom zostawiono prawo wyboru wójta. Nie chcecie jednego, to wybierzcie innego... Nie chcecie Tarasa, dawajcie Fedora, czy Borysa na jego miejsce. Powiedzcie tylko, za co Makar cierpi? Czy tak można? Wszak to rozbój, jakież to prawo?

— No, niema co mówić — westchnęli chłopci.

— Pokaleczył go ciężko, może i żyć nie będzie — dodał Tiliput.

— Otóż to, precz z nim, szatanem, i basta! Dla kogóż ja tego chcę? Dla was! Bo mnie wszystko jedno!

Chłopci milczeli.

— Cóż, my tak jak wszyscy... — bąkali.

— Od gromady nie odstępimy — dodał Kruk patrząc na innych,

— Rozumie się — dorzucili Tyliput i Chmielewski.

— A ja tak myślę, chłopcy — rzekł Podgórny — poczekać do terminu; jemu termin kończy się przed św. Mikołajem; Jarema mówił, że i komisarz będzie; wówczas na zgro-

madzeniu powiemy: innego życzymy sobie! A tymczasem upatrzymy sobie kogoś... Bo tak, odrazu niebezpiecznie...

— Rozumie się, że niebezpiecznie — powtórzyli chłopci.

— Jak poczekać, to poczekać, i to można — zgodził się Szczółkun, widząc choć w przyszłości dopięcie celu. — Cóż, zgoda chłopcy, co?

— Zgoda, zgoda! poczekajmy do terminu — zawołali włościanie hałaśliwie wstając od stołu, bardzo zadowoleni z tej decyzji, która oprócz kompletnej prawności, miała za sobą jeszcze jedną zaletę... odłożenie.

— No, pamiętajcie, chłopcy, nie chybić! — powiedział Gabryk wychodząc.

— Nie głupiśmy! do terminu, to do terminu; chwała Bogu czekać nie tak długo...

I sprawa została odłożoną. Chłopi wyszli ze Szczółkunem na czele. Szynk się opróżnił.

— Patrzenie, co zamyślają — przemówił zaspany żyd, licząc pieniądze. — A niech sobie robią, jak wiedzą — dodał obojętnie i zaryglował drzwi.

IX.

»Poczekajmy do terminu, niedaleko!« powiedzieli Sosnowianie i zaczęli czekać terminu. O przyjętem postanowieniu dali znać sąsiadnim wioskom. Świat włościański z cicha poruszał się, przygotowując się do wyrażenia swego niezadowolenia, a nawet, w razie konieczności, do postawienia się odpornie.

Przyszwał na koniec dzień wyborów.

Na ganek Zarządu, w towarzystwie pisarza, wyszedł wójt. Miał na sobie długą granatową kapotę i medal na szerokiej piersi. O południu oczekiwano komisarza, po którego usłudzy dzierżawca Caplik, jeszcze w wigilią posłał konie »na podstawkę.«

Pisarz, człowiek 25-letni, z ładną nawet, ale wzbudzającą wstręt ciągłym, jakimś zuchwałym uśmiechem, twarzą, był niegdyś pocztylionem i został wypędzony ze służby za jakąś kradzież — i zatem, jako człowiek umiejący czytać i pisać, a nieposzlakowanej uczciwości, przysłany został na pisarza do gminy, w której czytać nie umiał nawet sam wójt. Jeden uczony na całą gminę, czyż to nie obszerne pole działalności? Pisarz Kureczka miał jeszcze jedną zaletę: umiał pić, to jest będąc pijanym zawsze trzymał się na nogach i zawsze był w stanie znaleźć odrazu potrzebny paragraf. Stojąc obok wójta z papierosem w ustach i zakrywając się ręką od słońca, patrzył on z wyteżeniem na gościniec, pokryty pierwszym śniegiem, z pod którego w wielu miejscach przebijały się błotniste potoki. W oddali, między wspólnym magazynem a studnią stała kupa włościan.

Pewno wkrótce przyjedzie, powiedział Kureczka, zwracając się do wójta.

— Czasby już — odrzekł z niezadowoleniem wójt. Od rana w ruchu, należałoby już wypić i przekąsić. Ależ kraczą! — zauważył pogardliwie, wskazując z lekceważeniem w stronę chłopów. — A żadnego sensu nie ma!

— Pewny sens jest, Sydorze Tarasowiczu. A co myślisz o wyborach? Nie bardzo ciebie pragną, szczególnie po historii z Dubotówką. Trochę nie w czas wybrałeś się, uniosłeś się odrobinę, żartował pisarz.

Wójt odwrócił się i poprawił medal na piersi.

— Ktoby tam jeszcze pytał o ich chęci! — rzekł sucho.

— No, zawsze; bez pytania niemożna; choćby dla samej formy — mówił dalej tym samym tonem pisarz — bo jeżeli my zaczniemy deptać prawo, to im tę drogę wskażemy. Dziś, Sydorze Tarasowiczu, lud chętnie naśladuje.

Wójt ziewnął, dając do zrozumienia, że ta rozmowa mało go interesuje, ale pisarz nie chciał tego zrozumieć i dobrodusznie ciągnął dalej.

— Potrzeba miarę zachowywać, Sydorze Tarasowiczu; a wyście już tak się rozpędzili, jakby nad wami prawa nie było.

— Co ty tam gadasz — przerwał mu wójt. — Po co chłopu prawo? Weźmy ciebie naprzykład: naznaczył cię na pisarza pan komisarz dla tego, że twoja żona jego żonie z czegoś się podobała i basta! Cóż tu robi prawo? — odgryzł się z kolei wójt.

— Zapewne, zapewne — potwierdził zmieszany pisarz — ale, wicie, zawsze trzymając się litery prawa, bezpieczniej... Ale oto zdaje się i sam Piotr Iwanowicz jedzie — dodał, z pośpiechem przydeptując nogą papieros.

— Tak, tak, to on, — rzekł wójt obciągając i poprawiając medal.

Pod ganek kancelaryi raźnie podbiegła trójka karych koni. Włościanie pozdejmowali czapki; wójt i pisarz pospieszyli z ganku i wyprostowali się z uszanowaniem. Pan komisarz, owinięty w skunksowe futro, wylazł z sani i podtrzymywany z obydwóch stron przez wójta i pisarza, z powagą wstępował na schodki.

— Wszystko gotowe? — zapytał idąc wójta.

— Według rozkazu! — odpowiedział wójt, kłaniając się plecocom komisarza.

Weszli do kancelaryi. Pisarz gdzieś nagle znikł, a wójt zdjawszy z komisarza futro, zatrzymał się u drzwi.

— A na ciebie, przyjacielu, znowu skarga, — rzekł komisarz, przypatrując się sobie w lustrze, które miało własność zabarwiania wszystkiego na błękitno.

Wójt postąpił parę kroków i patrzył pytająco.

— I sędzę, że skarga słuszna — ciągnął dalej, przyczysnąjąc się p. komisarz.

— Zapewne z powodu Makara? — zapytał ostrożnie wójt, uprzedzając komisarza.

— Tak, z powodu Makara Dubotówki, — potwierdził komisarz odwracając się od lustra i spoglądając na wójta.

— Zmiłujcie się, jaśnie wielmożny komisarzu, to najbardziej rozpuszczony chłop; jego by...

— Ależ tyś go okaleczył! — przerwał komisarz.

— Ja? ani palcem nie tknąłem, jak przed Bogiem powiadam — zaklinał się Kulak, zrywając zuchwale Pana Boga na fałszywego świadka. — On pierwszy natarł z pięściami. To taki chłop, co całą gminę buntował, na całą wieś wrzeszczał: wy, powiada, chłopcy, patrzcie, co robi Zarząd gminy, nasze pieniądze, powiada, po cudzych kieszeniach poszły. Nawet ośmielił się jaśnie wielmożnego pana wspominać, tylko tych nieprzystojnych słów głupiego chłopca powtarzać nie chcę... Wy, powiada, z komisarzem nas żydowi zaprzędaliście... Pisarz może zaświadczyć... jak przed Bogiem...

— Więc? — zapytał komisarz, obracając się i patrząc na wójta.

— Zamknąłem go do ciupy, trzymałem pięć dni na chlebie i wodzie, myślałem, że opamięta się. A on, niktzemny, wyszedł i tu zaraz na placu znowu zaczął. I znowu jaśnie wielmożnego pana wspominał. Tu już nie mogłem wytrzymać i przyznaję się, że go trochę poturbowałem.

— Tak poturbował, że nie może przyjść do siebie.

— Leniwy chłop, jaśnie panie; chociaż z drugiej strony, ja rzeczywiście z całej duszy... I jakże można — mówił wójt ze wzrastającym oburzeniem, — żeby on ośmielił się o takiej, można powiedzieć, osobie...

Piotr Iwanowicz namarszczył się, na chwilę jakby wyraz zniecierpliwienia przemknął po jego nerwowo-żółciowej twarzy. Ale zaraz opanował się.

— Kogo chcą? nie słyszałeś? — zmienił rozmowę.

— Andrzeja Kaczalę — odszepnął Kulak, podchodząc do stołu i nachylając się.

— Nie można, pod sądem był.

Wójt wymienił nazwiska kilku włościan.

— Więc kogokolwiek, byle nie ciebie — uśmiechnął się komisarz, wycierając chustką łańcuch od medalu.

— Cała moja nadzieja w łasce waszej jaśnie wielmożności — przemówił Kułak, patrząc na komisarza nabożnie i składając ręce, jak przed ołtarzem.

Ale Piotr Iwanowicz i bez tego już postanowił, że nikt inny, tylko Kułak będzie wójtem.

Zawołaj pisarza — rzekł krótko i włożywszy na szyję łańcuch, przybrał jeszcze poważniejszą, jeszcze nieprzystępniejszą minę.

W towarzystwie dwóch asystentów, pokazał się Piotr Iwanowicz na ganku w swojej urzędowej czapce i nowem skunksowem futrze. Tłum włościan zbliżył się. Wszyscy byli bez czapek, wszyscy stali ze spuszczonemi pod spojrzeniem Kułaka głowami, ale z mocnem postanowieniem bronienia swego wyboru. Uciszyło się wszystko. Pisarz wystąpił i coś przeczytał, komisarz coś powiedział, nawet dość długo mówił; — ale z jego przemowy włościanie zrozumieli tylko to, że Sydor Tarasowicz Kułak, nie tylko najpierwszy wójt w gubernii, ale najlepszy w świecie człowiek. W końcu komisarz wspomniął o prawie; wyraz »prawo« był akordem, bez którego nie mogła się obejść żadna muzyka. W imię tego niby prawa wozili włościanie komisarzowi drwa, budowali Zarząd, składali ofiary na historyczne pomniki... i czy to tylko tyle?! Jak dzieci straszą jakimś dziadem, tak ich straszono prawem, które dla nich równie niezrozumianem i strasznem było, jak dziad dla dzieci.

Komisarz skończył przemowę. Chłopi milczeli, niektórzy postępowali z nogi na nogę. Piotr Iwanowicz rozumiał, że czas przystąpić do rzeczy.

— No, cóż, chłopey? — zaczął znowu monolog, biorąc chętnie milczenie za znak zgody. Pokłońcież się Sydorowi Tarasowiczowi i poproście, by chciał nadal służyć gminie.

I spojrzał na wójta.

— Cóż, gotowym z całej duszy służyć gminie, póki starczą siły — rzekł występując naprzód Kułak.

W tłumie jakiś nieokreślony ruch: włościanie tupią na miejscu, szturchają się; potem słychać niepewne głosy, które wzmagając się, przechodzą na koniec w wyraźne słowa:

— Dziękujemy ci, Sydorze Tarasowiczu; dosyć już nasłużyłeś się gminie; dosyć już i z ciebie, i z nas!

— Niechby już ktoś inny posłużył, — mówi stanowczy jakiś głos i Piotr Podgórny występuje z tłumem.

— Dzięki ci, Sydorze Tarasowiczu; niechże i inny posłuży! — powtarzają za nim bracia Byczkowie, Stefan Czerkas, Bazyli Kruk, Filip Tiliput i najgłośniejszy Jan Chmielewski. W ostatnich rzędach podchwytyją, i cały tłum jednogłośnie powtarza słowa starego Podgórnego.

Komisarz, który się nie spodziewał takiego oporu, zaczyna tracić panowanie nad sobą. Żywo obraca się i mówi coś do pisarza; bezwstydną twarz pisarza wyraża wszelką gotowość; — Piotr Iwanowicz namyśla się, potem energicznie schodzi z ganku, kierując się w sam środek tłumem. Włościanie rozstępują się przed nim.

— No, chłopcy — mówi łagodnym głosem — zdania dzielą się; więc żeby nie było żadnej wątpliwości, zrobimy tak: wszyscy, którzy chcą Sydora Tarasowicza na wójta, niech przejdą na prawo, a ci, którzy chcą kogoś innego, na lewo. Rozumiecie?

— Rozumiemy, wasza wielmożność — odpowiadają chłopcy, nie rozumiejąc wcale, do czego to wszystko dąży.

— A więc, chłopcy, kto na prawo? kto na lewo?

Prawie cały tłum, z wyjątkiem przyjaciół i krewnych Kulaka, przechodzi na lewo. Sydor Tarasowicz patrzy z przerażeniem, z za pleców jego złośliwie uśmiecha się pisarz, a Piotr Iwanowicz potakuje, kiwając głową. Zachodzące jesienne słońce zalewa jaskrawym światłem całą wieś, wysoki ganek z daszkiem i sztyldem, i przełamuje promienie w zielonych taflach Zarządu. Nie zważając na taki tłum — w około cisza; wszyscy czekają, co powie komisarz. Komisarz nie mówi ani słowa, tylko wykręciwszy się na korkach, jak w piątej figurze

kadryła, przechodzi pomiędzy szeregami podzielonych włościan do końca i lewa grupa staje się naturalnie prawą! Sydor Tarasowicz Kulak zostaje wybrany wójtem ogromną większością głosów, o czym natychmiast spisuje się protokół. Tak prosto i jasno, bez żadnej wątpliwości, rozciął dowcipny komisarz ten węzeł gordyjski!

Za godzinę wypoczęta trójka stała przed gankiem, po-brzękując dzwoneczkami, a Piotr Iwanowicz wstępując do sani, szepnął podsadzającemu go wójtowi:

— We wtorek sprawa Makara; pamiętaj, nie zaśpij!

— Jakże można! — kłaniając się nisko, z jasną, tryum-fującą twarzą odpowiada wójt — mam i świadków, i wszystko...

— Ruszaj! — krzyknął komisarz, osłaniając się futrem i winszując sobie w duszy tak zręcznego obrotu.

Konie dobrym klusem wybiegły za wrota i wkrótce znikły z oczu włościan. Tłum rozchodził się powoli w różne strony, dziwiąc się, po co tu było rozchodzić się na prawo i na lewo, kiedy na prawo i na lewo wypada Kulak!

Tak skończyła się dla włościan próba oswobodzenia się na prawnej drodze z pod władzy despotycznego wójta; ale sprawa się na tem nie skończyła. Dla Kulaka nie dosyć było tryumfu dzisiejszego, chciał on jeszcze zabezpieczyć się i na przyszłość od wszelkich nieprzyjaznych wystąpień. Poszukawszy za pomocą pisarza źródeł i podkupiwszy jakąś obietnicą szynkarza,abrał się prędko wszechmocny wójt do Gabryka Szczolkuna, który musiał zapłacić własną skórą, za niewczesną próbę wprowadzenia »swojej ustawy do cudzego klasztoru.« Z upoważnienia komisarza poddał go wójt sądowi gminnemu, który skazał go »za fałszywe tłumaczenie Ustawy na różgi i wysiedlenie z Wilczej gminy na zawsze.« Bardzo zdziwieni własnym werdyktem włościanie, z żalem dowiedzieli się, że ów werdykt jest zupełnie prawomocny, bo stwierdzony przyłożeniem tych właśnie pieczęci starostów wiejskich, które, na wszelki wypadek, chowały się pod kluczem u Kulaka. Z pozostałymi »podżegaczami« postąpiono trochę łaskawiej: oćwieczywszy z lekka

dla przykładu, przetrzymano ich siedm dni w ciupie na chlebie i wodzie i wypuszczono na swobodę. Takim sposobem burzliwy zaczyn został wydzielony i wszystko poszło starym torem w tem ciemnem państwie głupoty i przemocy. Skrzywdzony i zawzięty Gabryk, uciekając ze swojemi manatkami, zapowiedział, że dojdzie do samego cara; wylał wszystkich od durniów, plunął — i nakoniec posłał wszystkich do djabłów... Co się tyczy Makara, to biedak nie doczekał się wątpliwej sprawiedliwości komisarskiej, albowiem — jak mówił raport wójta i pisarza: »dziś przeniósł się do wieczności.«

X.

Piotrowi Iwanowiczowi Łupińskiemu poszcęściło się, nagle poszedł do góry w hierarchii urzędniczej. Wkrótce po historyi wyborczej w Wilczej gminie, gdy marszałków szlachty obieralnych kazano zastąpić koronnymi, Piotr Iwanowicz mianowany został powiatowym marszałkiem i razem prezesem zgromadzenia komisarzy. Te dwa jednoczesne awanse bardzo go podniosły w jego własnem przekonaniu. Dawniej pracował bez przerwy, — teraz zniikał czasem na kilka dni: jeździł, jak chodziły wieści, do »gubernii« i grał w jerałasza z samym Stefanem Piotrowiczem. Stefan Piotrowicz słynął jako zarozumialec; byli tacy, co wyrażali się o nim jeszcze gorzej; ale znał wszystkie przyzwyczajenia i słabe strony jego ekscelencyi Michała Dymitrowicza i dlatego grać ze Stefanem Piotrowiczem w jerałasza znaczyło tyle, co odebrać jakąś nagrodę — przegrać do niego było manewrem jeszcze zyskowniejszym.

Po taki guberskim jerałaszem awansowany na marszałka, Piotr Iwanowicz zaraz zmienił zupełnie sposób życia; zamiast kucharki przyjął kucharza, w bawialni zawiesił nowe draperye, sprowadził dla żony fortepian a dla dzieci bonę. Miał nawet sprowadzić bilard, znajdując, że gra na bilardzie jest bardzo pożyteczną w higienicznem znaczeniu; ale nie wiadomo dla

czego odłożył ten projekt, poruczając pieczę o swoim zdrowiu pod tym względem miejscowemu klubowi. Była to najszcześniejsza pora w życiu Piotra Iwanowicza; ambitny tylko w pewnych granicach, w owej chwili nie pragnął nic więcej. Zostawszy pierwszą osobą w powiecie, razem z prawem tytułowania się panem marszałkiem, osiągnął i przywilej noszenia szlacheckiego munduru; to, dla człowieka nieznanego pochodzenia, bez oczywistych przodków — było rzeczą bardzo pochlebną. To też z zapalem zajął się swoim domem, pozycyą, otoczeniem — miał się za środek ciężkości tego małego światka, w którym przeżywał. Kiedy brał frak i robił wizyty, znajomi obowiązani byli cieszyć się i uważać się za szczęśliwych; — jeżeli w przystępie bólu głowy owijał się w szlafrok i biegł z kąta w kąt z głową obwiązaną żoniną chustką, — wszyscy, nawet nie widzący go w tym stroju, obowiązani byli smucić się i okazywać mu współczucie. W galowe dni ubierał się w mundur, przywieszał szpadę, ozdabiał pierś orderami i stojąc z poważnem obliczem przed lustrem, kazał zajeżdżać swemu czernichowskiemu powozowi (który dwa dni przedtem myto i nacierano tłuszcami, jakby reumatyka), aby z paradą podjechać do cerkwi, odległej o parę kroków. Żona brała najparadniejszą suknię, rozpuszczała tak długi ogon, że wzbudzał zazdrość pani sędziny, pani sekretarzowej i bardzo wielu innych dam. Pani marszałkowa była przekonana, że gdyby ogon jej był krótszy, suknia mniej paradną, gdyby przyszła do cerkwi piechotą, lub wcale nie przyszła, — to gala nie byłaby galą a święto straciłoby dla miasta swój uroczysty charakter. Ogon i kokardy stanowiły takie regalia u pani, jak szpada i ordery u pana.

Wszelka parada i wystawa tak odpowiadała wewnętrznym usposobieniom Piotra Iwanowicza i tak go uszczęśliwiała, że gotów był nawet w takich chwilach dać jałmużnę jakiemu żebrakowi, chociaż zwykle wiedział, że to się sprzeciwia uczonym zasadom ekonomii politycznej. Szczęśliwym był — i jak już dalekiemi były te dni, kiedy z pustą kieszenią i próżnym

tlumokiem dażył tu w żydowskiej budzie, kulawemi końmi, marząc o karyerze i bogactwie. Teraz ma czernichowski powóz (który nazywa warszawskim), fortepian Schrödera, — a w kasie skarbowej kryje się skromnie nie wielka jeszcze sumka, zarodek przyszłego obrotowego kapitału... a dalej, w perspektywie... widać lasy, łąki, pola, zyski, przychody, — i wszystko to, jak w latarni czarnoksięskiej, ześrodkowuje się w jednym magicznem słowie: opieka. Opieka — to róg obfitości, złote runo Kolchidy, tem cenniejsze, że nie wymaga żadnych starań, nie naraża na żadne straty. Wszystkie sprawy opiekuńcze całkowicie spoczywają w ręku pana marszałka; — opiekunami naznaczają się różni panowie, nie mający żadnej odpowiedzialności. A majątki — ogromne; właściciele — Bóg wie jacy i Bóg wie gdzie. Lasy, naprzykład ten skarb, którego na zachodzie gdzieś strzeżę, jak żrenicy oka, u nas niszczą się bez żadnej litości. A co tu za lasy! Łosie, niedźwiedzie w nich mieszkają, więc to nie jakieś brzoźowe wirydarzyki! I oto taki las w opiece! Czego tu nie można zrobić?! Czy wiecie, naprzykład, łaskawi czytelnicy, co to jest trąba powietrzna? Nie? nie wiecie? A to jednak ciekawa rzecz w swoim rodzaju: robi się formalny akt, ze śledztwem potwierdzonem pieczęciami i wszystkiemi prawnemi akcesoryami, akt świadczący o tem, że na przestrzeni jakich 70 wiorst kwadratowych burza wyłamała masztowy las, to jest jakby kosą podcięła! Cóż poradzić przeciwko siłom przyrody? Zjawił się rodzaj orkanu, wyrwał las, jak się mówi, z korzeniem i, splatawszy tego figła, zniknął! Lasu w majątku znajdującym się pod opieką nie stało, opatrzone pieczęciami, autentyczne opisanie tego zjawiska przyłącza się do aktów opieki... a jakie z tego wyniki, domyślcie się sami! Co się tyczy klepek, to rzecz jeszcze prostsza: daje się żydowi kontrakt na wywożenie klepek z takiej miejscowości, gdzie oprócz jałowca i tarniny nic nie rośnie, ale ponieważ to właściwie ziemia pana marszałka, kupiona za jakie 100 rubli *dla cenzu*, więc na niej ma niezaprzeczone prawo rosnać nietylko konieczny na klepki dąb, ale wszystko, co się podoba... Naturalnie takie

interesa możebne w sąsiedztwie tych lasów, w których w razie potrzeby hula sobie trąba powietrzna!

Powiedzmy jednak w obronie Piotra Iwanowicza, że nie poddał się pokusie odrazu, że walczył i ustępował krok za krokiem; ale raz przyjąwszy za zasadę, że nie brać nie można, kiedy wszystko złożyło się tak, że dają... nie mógł się już za-trzymać. Poszedł więc sobie po tej drodze, starając się tylko zachować choć pozorną opinię uczciwego człowieka.

XI.

Powiatowe miasto, w którem mieszkał i działał Piotr Iwanowicz, było jednym z tych cichych i głuchych zakątków, w których zdawało się, że życie raz przypadkowo wylane w pewną formę, zastygło w niej na wieki; ale to tak tylko zdawało się: w rzeczywistości i tu życie, ulegając powolnemu ciśnieniu czasu, pomalu ale stale zmieniał się, przyjmując nowe żywioły, niszcząc stare. Jedno pozostawało niezmiennem, to niezgłębione błoto, w którem od wieków tonie ten zapomniany przez Boga i władze zakątek. Kiedyś miasteczko przeniosło wiele klęsk w wojnach książęcych i domowych, i pod jarzmem tatarskiem. Niszczono je, palono, nawet parę razy do szczytu zrujnowano — ale odradzając się zawsze jak feniks z popiołów, w czasie naszego opowiadania miało kilka cerkwi, kościoł, synagogę, kilka szynków, klub, magazyny mód, szkoły i mnóstwo innych koniecznych instytucyj. Było to miasteczko całkiem żydowskie: błotniste na wiosnę i w jesieni, duszne i zapyłone latem, cuchnące cebulą i czosnkiem w każdej porze roku. Cisnęło się ono w dolinie, prawie w jarze, a wysokie pagórki, podstępując z północno zachodniej strony, kryły go w swoich wąwozach. Z daleka widać było tylko dzwonnice cerkwi i kopułę kościoła, podnoszące do nieba swe złożone, poczerniałe od czasu, krzyże. Zielone góry, porosłe krzewami leszczyny, czeremchy i olchy, to zbliżały się, to od-

dały od miasta, wznosząc się w wielu miejscach nad niem prawie prostopadłemi ścianami, grożąc mu co chwila zasypaniem gliną i piaskiem; ale czasy geologicznych kataklizmów minęły i miasteczko bezpiecznie wyciągało się pod zielonemi pagórkami. A śliczne one były od wczesnej wiosny do późnej jesieni, stanowiły jedyne upiększenie miasta i może miasto tem nędźniejszym wydawało się w swoim klasycznem błocie, że nad niem i w koło niego zieleniały te fantastyczne góry, przecięte niezliczonemi ścieżkami, drożynami i malowniczymi wąwozami. Prześliczne góry! Gdy na dalekim, ciemnym horyzoncie zjawiał się księżyc, oblewając je swoim zimnem, srebrnem światłem, tajemnicze ich wąwozy stawały się jeszcze bardzo tajemniczymi, jeszcze głębszymi, wskutek gry światła i cieni, a brudne miasteczko pod blademi promieniami księżyca wydawało się prawie malowniczym... Wyglądało to jakby dekoracya — w dzień było, niestety, inaczej.

Miasteczko leżało daleko od cywilizowanego świata, wśród lasów i bagien, i pozbawione było wszelkiej komunikacyi. Kolej żelazna przebiegała gdzieś o 300 wiorst dalej i chociaż w ostatnich czasach chodziły wieści o jakichś poszukiwaniach w pobliżu, jednakże nie było żadnej podstawy oczekiwać, żeby małeńkie, nikogo nie interesujące miasteczko, miało kiedy połączyć się z europejską siecią kolei żelaznych. Czasem, jakby przypadkiem, zjawiał się pokaleczony, na wpół przegniły jakiś parostatek, jakby przypadkiem też znikał na długo, bez rękoi pędkiego i stałego powrotu. A jednak obszerny ten kraj czekał przebudzenia z taką oczywistą niecierpliwością, że nawet gwizd tej arki Noego, dawał miastu elektryczne wzruszenia: zawsze to niby echo z innego świata! A tymczasem szeroka, spławna rzeka, leniwo tocząc swe żółte mętne fale, ofiaruje gotowy, wygodny gościniec wśród tych ogromnych przestrzeni. U ludzi przedsiębiorczych taka rzeka dawałaby miliony, a u nas co roku staje się płytsza, zamula się i tak zmienia koryto, że najdoświadczeńszy sternik dziś nie odszuka swej przeszlorocznej drogi, a biedny parostatek co chwila naraża swe boki na otarcie.

Góry i rzeka, piękność i bogactwo kraju, istnieją napróżno, lub prawie napróżno. Pod miastem woda rzeki niemożliwa do użytku, dzięki żydom, którym służy za hurtowny skład wszelkich brudów i nieczystości; a góry? któżby tam cieszył się ich pięknością? Siła przyzwyczajenia jest tak wielką, że ani na tę piękność, ani na błoto, w którym się żyje, nikt nawet uwagi nie zwraca! Pod względem kultury była to najmniej wymagająca miejscowość na całym świecie, bez żadnych pretensyj do jakichkolwiek ulepszeń i dogodności.

Handel cały, od skamieniałych kolonialnych towarów do win »Jelisiejewa« miejscowej fabrykacyi i wołowego mięsa, dzielonego na koszerne i trefne, był niezaprzeczenie i niepodzielnie w ręku żydów. Chrześcianie musieli kupować wszystko od żydów; żydzi wzbogacali się, a wszelkie próby wyjścia z pod tego monopolu nie udawały się. Nie pozostawało więc, jak być zadowolnionym z istniejącego porządku rzeczy.

Miasto nie posiadało ani bruku, ani latarni, ani nawet ulic we właściwym znaczeniu tego wyrazu; a jednak wizyty były obowiązującą powinnością dla każdego, należącego do »towarzystwa«. Pod względem narodowości, przemagał element żydowski; ale to, rozumie się, nie »towarzystwo«. Do »towarzystwa« legalnie należał tylko ten, kto miał jakąś rangę, miejsce, order — przynajmniej gwiazdkę na czapce. Otrzymując prawo na gwiazdkę, człowiek otrzymywał wstęp do towarzystwa, a jego żona — jeżeli była ślubną — dostawała prawo wizyt. W mieście było kilka domów, stanowiących centra kółek, które niby ześrodkowywały odcienie opinii publicznej. Pierwsze miejsce z wielu względów zajmował dom Łupińskich. Łupińscy trzymali kucharza, czasem jeździli do guberskiego miasta i dostarczali swoim znajomym niewinnej rozrywki pod postacią wieczorów kartowych, podczas których gospodarze i ich słudzy zamęczali się, a ich goście nudzili się sumiennie, udając, że się doskonale bawią. Łupińscy pomagali nawet umiarkowanie ubogim, odczuwając w takich chwilach całą wyższość własnych dóbr. Prawda, że nie wypisywali ani

książek, ani dzienników, że wszystko skrzętnie zamykali pod klucz, że wytrącali sługom z pensyi każdy stłuczony talerz i zgubioną serwetę, ale gości przyjmowali z godnością, karmili ich, poili — i wszędzie, gdzie potrzeba było »postawić się« — stawili się, nie oszczędzając kieszeni. Rodzinne życie ich, o ile można było widzieć ze strony, to jest z salonu i ulicy, zdawało się być wzorem małżeńskiego szczęścia i zadowolenia: mąż przechadzał się z żoną zawsze pod rękę, żona robiła mężowi papierosy, dzieci ich miały opinią dzieci wielkich nadsziedzi. Znajomi chwalili ich w oczy — co jest rzeczą zwyczajną — i po za oczy — co już jest rzeczą niezwykłą w naszym obłudnym wieku. Tak, byli to ludzie szczęśliwi, naturalnie w obrębie możebnego tu szczęścia, to jest mając wszystkiego pod dostatkiem, gotowi byli przyjać jeszcze więcej. Od czasu marszałkostwa, Piotr Iwanowicz wmówił w żonę, że jest pierwszą damą w mieście; odtąd trzymała się mocno tej klasyfikacyi i niczego nie obawiała się więcej, jak zejścia na drugi plan.

Niedaleko od Piotra Iwanowicza, mieszkał sprawnik Kyrillo Siemionowicz Ułanów. Kyrillo Siemionowicz miał liczną rodzinę, mnóstwo kłopotów i córkę Lizę, która rządziła ojcem, matką, domem i wszystkimi stójkowymi. Obie rodziny były w najlepszych stosunkach, ale Piotr Iwanowicz, jako mający wstęp do prywatnych apartamentów jego ekszelleneyi, Michała Dymitrowicza, traktował Kyrilla Siemionowicza trochę protekeyonalnie. W sąsiedztwie także mieszkali państwo Busch, niemieckiego pochodzenia i przedpotopowych form ludzie. Była to najniewinniejsza para śmiertelników, nikomu nie życzyli i nie robili nic złego, kochali się wzajemnie, jak to im zalecił podczas ślubu pastor, i żyli szczęśliwie. Mąż służył, przyjmował z czystym sumieniem uświęcone zwyczajem łapowe i podobny był do karalucha; żona leczyła się, szyła sobie suknie, zachowywała ścisłą dyetę i oprócz własnego bólu pod łyżeczką, nie uznawała żadnego zdarzenia na świecie za godne uwagi. Chociaż pp. Busch dawno przebyli linię, oddzielającą dojrzały

wiek od początków starości, tak jednak dobrze się zachowali, że przy zdarzonej zręczności, tańczyli z sobą kadryla, polkę, galopa z wielkiem powodzeniem i zapalem. Szczególniej ładnie wyglądali w galopie: tańczyli uśmiechając się, i swoją wesołością zarażali młodzież, która oddawna straciła już zdolność bawienia się szczerze.

Sędzia Iwan Tychonowicz, po smakowitym obiedzie, lubił trochę plotek dla strawności. Na jego płaskiej czerwonej twarzy igrał zawsze dobroduszny uśmiech. Był on tego zdania, że między kubanem a kubanem może być wielka różnica. Sam, broń Boże, nie brał nic nigdy — chyba jakiegoś tuczonego indyka, lub coś innego w tymże gastronomicznym rodzaju — ale utrzymywał, że są wypadki, w których łapowe jest nie tylko koniecznem, ale nawet sprawiedliwem, nie nadwerężając bowiem interesów rządu, działa korzystnie w znaczeniu samopomocy. Iwan Tychonowicz był wzorowym sędzią, nie gonił za abstrakcyami, a ideę sprawiedliwości widział tylko w rozmiarach ograniczonych literą prawa.

Należało do »towarzystwa« jeszcze kilka osób, z którymi poznajomimy czytelnika przy zręczności.

Pani marszałkowa wybierała się z wizytami. Był to fakt interesujący całą ulicę, całe miasto — fakt, który dokonywał się według pewnego, ustalonego ceremoniału. Dzień był gorący, lipcowy — i chociaż nie dalej, jak wczoraj nad miastem przeszła burza z ulewą, powietrze było tak ciężkie, że groziło nową burzą. Ale kiedy pani marszałkowa wybierała się z wizytami, żadne zjawiska meteorologiczne nie mogły jej powstrzymać. Pani marszałkowa ubierała się, a przed ganek zatoczył się czernichowski powóz, zaprzężony parą różnej maści koni. Na koźle siedział w sieraczkowym kaftanie chłop, z ogromnym kołtunem, wysuwającym się z pod czapki, i nie podejrzewając solenności obrzędu, w którym miał wziąć udział, obojętnie palił sobie bakun z króciutkiej fajeczki. A wypadło mu czekać długo: toaleta i koafiura pani marszałkowej wymagały delikatnych kombinacyj i zajęły cały ranek. Co chwila przybiegała

garderobiana, przynosiła pudła i spodnice; bona podawała szpilki, przypinała szarfy, podsuwała coś i regulowała tajemniczo, uśmiechając się za plecami pani.

— Proszę, żeby nie było znać — mówiła pani marszałkowa swoją własną francuzczyzną.

— *Oh, il n'y a pas de danger!* — uspakajała ją z uśmiechem młoda francuzka.

Dzieci zamknęto w osobnym pokoju, żeby, broń Boże, nie nastąpiły na ogon, a Piotr Iwanowicz, porzuciwszy interesa opieki, niespokojnie chodził po swoim gabinecie, popatrząc na zegarek i oczekując wyjścia żony. Na domiar kłopotu ciężki szynion za nic nie chciał się trzymać ciemienia, a kapelusze szyniona. Pani traciła cierpliwość.

— Ty nie, *ma chère*, nie umiesz — mówiła, ciskając pioruny swych łagodnych oczu na bonę.

— *Mais, madame, vos cheveux sont si peu épais, que le chignon ne tient pas* — usprawiedliwiała się zarumieniona francuzka.

— Daj go tu!

I wyrывая szpilki z rąk zawstydzonej bony, pani zaczęła je gwałtownie wpinać w swój modny warkocz. Kiedy nakoniec wszystko było w miarę podciągnięte, przypięte, przy-mocowane, po ostatniem *coup de main* bony, uśmiechającej się za plecami *de Mme Loupinsky*, pani marszałkowa, szeszcząc jedwabną suknią, wyszła do salonu, zamknawszy po-spieszenie drzwi przed samym nosem swych dziattek, które wyskoczyły ze swego kąta. Była wspaniałą w swej szafirowej sukni, białych, krótkich rękawiczkach, i modnym wysokim kapeluszu, dźwigającym tyle kwiatów, piór i wstążek, że zdaleka mógł uchodzić przynajmniej za dwa kapelusze.

— Cóż, duszko, gotowa jesteś? — zapytał Piotr Iwanowicz, oglądając żonę od stóp do głowy, od chwiejącego się na kapeluszu pióra, do długiego ogona sukni i spokojnie przy-jmując śmiałe połączenie szafirów z liliwemi kwiatami.

— Jam dawno gotowa, obawiam się tylko, czy nie za-
wcześnie? — skłamała niewinnie duszka, która przed samemi
drzwiami zapięła ostatnią szpilkę.

— U Orłowych będziesz? — zapytał Piotr Iwanowicz.

— Nie wiem... — doprawdy... jąkała pani; — Tatjana
Mikołajowna nie oddała mi jeszcze mojej ostatniej wizyty...
a u Komarowych już była — dodała, broniąc ustanowionej
etykiety.

— Zajedź na chwilę, nie wypada... dowiedzą się, żeś
wszędzie była... No, duszko, jedź! A każ na wybojach ostro-
żnie, żeby powozu nie złamać — mówił, odprowadzając żonę
do przedpokoju.

Pani raz jeszcze spojrzała w lustro, poprawiła szarfę, na-
sunęła zjeżdżający z głowy kapelusz i szeleszcząc suknią przez
błotnisty ganek, wspaniale rozsiadła się w powozie. Zbudzony
z drzemki woźnica szarpnął lejcami, konie z trudnością ruszyły
i pyszny czerniechowski powóz, przy okrzykach Piotra Iwano-
wicza: »uważaj, bałwanie, uważaj! zaczepisz we wrotach«, szczę-
śliwie wyjechał na ulicę, obryzgując błotem tłum żydźiąt, cisną-
cych się u furtki.

Pani marszałkowa oddała kilka wizyt, i jako osoba sto-
jąca blisko steru, zakomunikowała wiele nowin z wewnętrznej
polityki powiatowej, dodając przy każdej: mąż mój odebrał
z Petersburga albo »Stefan Piotrowicz mówi...« Była u pp.
Busch, u naczelnika miejscowego duchowieństwa protojereja
Sapiency, u sędziego Iwana Tychonowicza i nakoniec zajechała
do Orłowych. Stosunki między nimi były naprężone. Pp. Orłow,
niedawno zamieszkali w kraju, odznaczali się niezależnością
przekonań i ścisłym odosobnieniem. Nie bywali prawie nigdzie,
u nich mało kto bywał... i dlatego Piotrowi Iwanowiczowi
chciało się koniecznie zbliżyć do nich; robił jakie mógł awanse,
odpowiadano na nie obojętnie, co wyglądało nawet zabawnie:
jakby on gonił, a Orłowie uciekali. Pani marszałkowa poma-
gała mężowi z pewnem tajonem rozdrażnieniem, bo nigdy nie

mogła darować tego Tatjanie Mikołajownie, że bywała u niej w sukni bez ogona.

U Orłowych pani marszałkowa usłyszała wiadomość, która jej odebrała ochotę do dalszych wizyt: dowiedziała się, że w jednej gminie, mianowicie w Wilczej, gdzie komisarzem na miejsce Piotra Iwanowicza był teraz Gwoździk, stał się jakiś niezwyčajny wypadek. Szczegółów nie znano, lub nie chciano jej powiedzieć; ale już to samo, że wieści o wypadku udzielali jej Orłowie, że zatem wiedzieli coś o nim wcześniej od samego Pierre'a, było bardzo obrażającym. Pani wstała, na jej bladej twarzy wystąpiły czerwone plamy, oczy drgały ze wzruszenia.

— Doprawdy? doprawdy? — mówiła zmieszana, bezwiednie zapinając rękawiczkę. — Spodziewam się — poprawiła — że to dzieciństwo, powiatowe plotki...

— Trudno przypuszczać — powiedział Orłow — Gwoździk taki szubrawiec, że potrzeba raczej podziwiać długą cierpliwość włościan.

— Szubrawiec! — zawołała pani marszałkowa, niby protestując przeciwko temu grubiańskiemu ocenieniu. — Pierre uważa go za porządnego człowieka, zdaje się...

— Tak, szubrawiec i zdierca — potwierdziła Tatjana Mikołajówna, nie zwracając uwagi na protest.

— Ach! — prawie jęknęła pani marszałkowa, żalując, że przyjechała do tego domu, gdzie jej bytności nie tylko nie ceniono, ale robiono ją niejako odpowiedzialną za stosunki w Wilczej gminie. Była w bardzo przykrem położeniu, a pp. Orłowie nie chcieli tego zrozumieć.

— Że on zdierca, to pani powie pierwszy lepszy żyd szynkarz, od których drze po 25 rubli za każde świadectwo.

Pani zrobiła obrażoną minę.

— Pierre zapewne tego dojdzie, i jeżeli tylko...

— Słyszałam nawet — przerwała gospodyni domu — że włościanie skarżyli się Piotrowi Iwanowiczowi na nadużycia wójta i dzierżawcy.

— Tak; ale Pierre to wszystko doprowadził do porządku.

Tatjana Mikołajówna zamilkła, a pani marszałkowa wzburzona, zaczęła się żegnać.

— Wszystko to bardzo przykre — rzekła, wyciągając rękę w białej, krótkiej rękawiczce. — Jeżeli to prawda, to Gwoździak będzie musiał szukać innego miejsca — mówiła dalej, dając mu z zabawną zuchwałością dymisję. — Państwo znacie kierunek i zasady mojego męża! — zakończyła we drzwiach, podnosząc ogon i powtarzając widocznie czyjeś słowa, może samego Piotra Iwanowicza.

— Rozumie się, rozumie się... — odpowiedzieli gospodarstwo z uśmiechem i pani marszałkowa znikła, kiwnąwszy z gracyą sutem piórem swojego kapelusza.

Wzburzona wiadomością o nieprzyjemnym wypadku, pani marszałkowa nie chciała jechać dalej z wizytami i kazała furmanowi wracać do domu. Wyglądała tak niezwykle, a jej modny kapelusz z piórem tak komicznie sterczał na głowie, że spotykający ją na ganku Piotr Iwanowicz, nie mógł się wstrzymać od wykrzyknika:

— Co tobie, duszko, takiego? Kapelusz zupełnie zjechał z głowy...

Ale biednej pani marszałkowej było nie do kapelusza. Gdy konie po spełnieniu swych obowiązków chrupały owies w stajni, a furman przepijał w sąsiednim szynku otrzymaną od pani złotówkę, ona, uwolniwszy się naprędce od wizytowego uzbrojenia, opowiadała mężowi wrażenia swej wycieczki.

— A u Orłowych byłeś? — zapytał Piotr Iwanowicz tonem obojętnym, zwykle służącym do zamaskowania znaczenia, jakie ma dla nas zapytanie.

— A jakże, a jakże...

— No, cóż?

— Nie, przysyłają ci ukłony. Ach, *à propos!* — niby przypominając sobie, dodała pani marszałkowa; — wyobraź sobie, jaka nowina: powiadają, że w Wileczej gminie coś się zdarzyło...

— Masz tobie! — zawołał Piotr Iwanowicz. — Cóż? co ci mówili?

Nie wiem, co mianowicie; powiadają, że tam jakieś zaburzenia... Tatjana Mikołajówna mówi, że Gwoździk znany szubrawiec i zdzierca...

— Wszędzie nosa wściubi! Cóż ty jej na to?

— Rozumie się, powiedziałam, że to musi być bagatela, powiatowe plotki... że ty go uważasz za porządnego człowieka...

— To już zupełnie niepotrzebnie — obrócił się z gniewem Piotr Iwanowicz — zawsze musisz coś wypaplać... a jeżeli on się złapie? Ty zawsze tak! tyle razy cię prosiłem...

— A, mój Boże, czy ja tam wiem, co mówić, czego nie mówić! — z nieukontentowaniem i żalem powiedziała pani marszałkowa.

— Dziwna rzecz, jak to prędko do nich dochodzi! — mówił dalej Piotr Iwanowicz, nie zwracając uwagi na obrażony ton małżonki. — Już i dowiedzieli się!

— A czyż rzeczywiście coś się zdarzyło? — rzekła zaciekawiona pani, zapominając obrazy.

— Zdarzyło się, że te bydlęta znowu ze skargą do gubernatora poszli... Ale zkąd Orłowie o tem wiedzą?

I zaniepokojony tym nowym szczegółem sprawy, posłał stróża po sprawnika.

XII.

Z Wilczej gminy rzeczywiście szły niepokojące wieści. W zarządzie policyi otrzymano papier z napisem »bardzo ważne«. Taki sam papier otrzymał i prezes zgromadzenia komisarzy Piotr Iwanowicz Łupinski. Papier uwiadamtiał, że »niektórzy włościanie wymienionej gminy pozwolili sobie zdjąć z wójta znak jego godności, zamknęli zarząd gminy i nie słuchają żądnych przełożeń.«

Tak było w rzeczy samej — a żeby zrozumieć to stanowcze wystąpienie włościan, poproszę czytelnika, byśmy powrócili do znanej już nam trochę Sosnówki.

Wkrótce po powtórny wyborze »większością głosów« Kulaka na wójta, zaszedł w życiu gminy jeszcze jeden ważny wypadek: na miejsce Łupińskiego, który awansował na marszałka, komisarzem został Michał Iwanowicz Gwoździk. Michał Iwanowicz przyjechał do »Zachodniego kraju« ze stałym postanowieniem zrobienia majątku. Jako przedmioty eksploatacyi, pan, chłop, żyd, nie stanowili dla niego różnicy, chyba w tem, że z chłopem najmniej było zachodu i ceremonii. Głupi i gbur z natury, bez wykształcenia, ledwo umiejący podpisać się, posiadał jednak sztukę trafiania do potrzebnych sobie ludzi, wypowiadania grubych pochlebstw tak, że wyglądały na prostą szczerość i takiego oddawania się dzielnemu rozpasaniu, że uchodziło za »szerokość rosyjskiej natury«. Gwoździk szedł do celu prosto, lał naprzód z uporem wieprza. Ubogi czynszownik czernichowskiej gubernii, nie zdolny skończyć drugiej klasy, postanowił zrobić majątek i tak sprawy poprowadził w Wilczej gminie, że nawet Kulak ręce rozkładał, dziwić się jego zręczności. Na włościan spadły podwójne pańszczyźniane obowiązki; czynsz musieli składać nie tylko dla mitologicznego księcia, ale także dla komisarza, wójta i dzierżawcy. Nieubłagany był w swojej logice Michał Iwanowicz i za najłżejszą skargą rozprawiał się z włościaninem tak srogo, że odebrał im zupełnie ochotę skarżenia się. Naturalnie, skarżyli się bywało tylko na Kulaka, ale ponieważ w manipulacyi wyciskania soków, wójt z komisarzem stanowili jedną machinę, to skarżący, bez żadnego procesu, odbierali, według usposobienia pana komisarza, od dwudziestu do sześćdziesięciu różg. Włościanie przekonali się prędko, że skarżyć nie można. Jeżeli nie można skarżyć, pomyśleli, przypominając sobie rady, przepadającego gdzieś bez wieści Gabryka — to może można coś innego... Pod owe czasy, jakby umyślnie, zdarzyło się, że przemieszkował w gminie syn jakiegoś djaka bez miejsca, nau-

czyciel także bez miejsca jakiegś nie istniejącej szkoły wiejskiej, Łukasz Skudielnikow. Z początku był w wielkiej przyjaźni z Gwoździkiem: jednakowych z nim usposobień, z wyjątkiem instynktów drapieżnych, polował z nim razem, pił i używał innych przyjemności. Wszystko szło dobrze, gdy nagle przyjaźń się zerwała; nauczyciel bez miejsca, obrażony przez wójta, poskarżył się komisarzowi. Gwoździk, w ponurym w tej chwili nastroju pod wpływem starki, zamiast ujęcia się za pokrzywdzonym, obiecał rozprawić się z nim na stajni, nie zważając na jego niewątpliwie duchowne pochodzenie. Naturalnie, że tego nie mogła wytrzymać żadna przyjaźń i podwójnie obrażony Skudielnikow, zaprzysiągł zemstę Kulakowi i Gwoździkowi.

— Czego wy, chłopcy, czekacie? — powiedział on, zebrawszy u siebie wieczorem znanych nam braci Byczków, Tyliputa, Czerkasa, Chmielewskiego, Podgórnego i wesołego parobka z sąsiedniej wioski, Bazylego Kruka. — Czego wy czekacie? Czy nie wiecie, że do Zarządu przyszedł papier, tycaący się Kulaka?

— Jaki papier? — zapytał Czerkas.

— Rzeczywisty, urzędowy papier, z pieczęcią. Czyż nie słyszeliście? — zapytał z dobrze udanem zdziwieniem Skudielnikow?

— Zkąd mieliśmy słyszeć? Gdyby tak nowy podatek, toby nam zaraz powiedzieli — rzekł, kiwając swoją starą głową, która już wiele przeniosła, Podgórny.

— Gadajże wyraźnie, czego marudzisz? — krzyknął niecierpliwy Chmielewski.

— Ej, bracia, żal mi was, żal!... A gdyby tak kto pobiegł po wódkę? — dodał, zmieniając ton; — dalibóg, czegoś ekli...

— Jaka tam wódka w nocy! Oto wymyślił!

— Mów, o co rzecz chodzi! jutro postawimy... nie ucieknie...

— No, pamiętajcież! jutro, to jutro... Rzecz, widzicie, taka, że jeżeli Sydor dosłuży jako wójt trzeciego trzylecia,

powiedziano w tym papierze, to zostanie szlachcicem, dadzą mu order i wówczas już... fjuu! — zaświstał Skudielnikow; — nie odproście się od niego i nie odmodlicie. I wyborów nie potrzeba będzie: na wieki wieków wójtę zostanie.

— A toż dlaczego? Jakim sposobem? — zapytali jednogłośnie zadziwieni włościanie.

— Takim sposobem, że jak go zatwierdzą po dziewięciu latach w tej godności, to podług prawa będzie już wójtę do końca, to jest do samej śmierci wam wypadnie znosić, a jemu panoszyć się waszem głupstwem.

— Ale dlaczegoż to tak, Łukasz Michieiczu?

— Dlaczego i dlaczego! powiadają wam papier przyszedł.

Włościanom ręce opadły na tę wiadomość. Rozumie się, że to nie miało żadnego sensu; Skudielników, prawie zawsze pijany, splótl, co mu ślina do ust przyniosła. Ale czyż włościanie mogli zapatrywać się krytycznie na cokolwiek? Wiedzieli, że Łukasz Michieicz człowiek wykształcony, wszelkie książki czytać może, nosi surdut, pali papierosy, śpiewa na chórze, u komisarza bywa jako gość... Czyż nie może wiedzieć takiej ważnej nowiny? Uwierzyli w jego bajkę, a Skudielników, raz wymyśliwszy głupstwo, miał interes podtrzymywać je.

— Gdzieżeś ty, Łukasz Michieiczu, ten papier czytał?

— Gdzie czytał? rozumie się w Zarządzie. Michał Iwanowicz pokazywał.

— Może to jeszcze tylko »tak?« — powiedział nieśmiało Czerkas.

— Oj ty! a jeszcze starosta i za prawnika uchodzi! Któż widział, żeby podobne papiery »tak« pisały się?

I wstał, mówiąc, że z takimi ludźmi nie warto czasu tracić. Podstęp udał się: ludzie chwycili się Skudielnikowa, widząc w nim jedyny ratunek przeciw grożącemu nieszczęściu.

— Poczekaj, Michieiczu! Cóż ty tak? przecież... — zaczęli mówić chlopi.

— Musi to być prawda, bracia; Łukasz Michieicz nie kłamałby — powiedział Chmielewski. — Mnie nawet żyd

w tych dniach mówił, że Kulak sprawił sobie nowy kaftan, daleko, powiada, dłuższy od starego.

— Nowy kaftan? — musi w tem coś być...

— Sami widzicie do czego idzie! — powiedział Skudielników, rad z tego niespodziewanego dowodu.

— Więc coś myślisz, Michieiczu? co mamy teraz robić?

— Cóż mi tam za was myśleć? Jak sobie chcecie... Wuj Gabryk za was pomyślał i zapłacił za to...

— Słyszałem, bracia — przerwał Czerkas — że on ciągle robi starania. Jarema mówił mi, że on ciągle chodzi i chodzi... w Petersburgu, powiada, był, do największego generała prośbę podawał.

— A cóż ten generał? — zapytali z ciekawością chłopci, poczuwając się do pewnej winy względem Gabryka.

— A nic, wysłuchał. Wysłuchał i powiada: »widzę, żeś cierpiał dla prawdy, a pomódz ci nie mogę; niema bowiem takich praw, któreby odrobić mogły to, co się już raz stało.« Jakże to tak, wasza jeneralska jasność? — pyta Gabryk. Ale generał tylko machnął ręką i odszedł. Był papier o tem wszystkim do Zarządu przysłany z powodu, znaczy, dekretu... Ale Kureczka odpisał, że dekret był prawdziwy, a ten człowiek jest niby pomieszany skutkiem nadużycia wódki.

— Oto, bracia, oszczerstwo! — zawołał Chmielewski.

— Widzicie tedy, jak dobrze wam radzić — powiedział Skudielnikow. — Czy wy rozumiecie swoją korzyść? Gdzie u was mózg?

— Mózg u nas to może i na miejscu, ale mózgiem tu nie nie zrobisz — powiedział Podgórnny, wzdychając głęboko. — Oto ty nas zebrałeś, rozpowiadasz, a co nam o tobie rozumieć? czy ty wróg nasz, czy przyjaciel? — zapytał surowo, podchodząc nagle do Skudielnikowa. — Jeżeliś nie wróg, to czemuż nam drogi nie wskażesz? My lud ciemny; nas każdy może i oszukać, i skrzywdzić...

W głosie starca dzwięczała taka smutna nuta, że u Skudielnikowa na chwilę poruszyło się sumienie; ale prędko prze-mógł to uczucie.

— Co mi wam wskazywać? Powiedziałem wam, że jeżeli Sydor posłuży jeszcze trzy lata, to zostanie szlachcicem i już się od niego nigdy nie wykręcicie.

Chłopi spojrzeli na siebie, jakby pytając się wzajem, co na to robić, jeżeli rzecz już bez nich postanowiona.

— Jeżeli macie rozum, to pojmiecie, jak teraz postąpić... Idźcie do gubernatora, można skargę napisać — mówił obojętnie Skudielników. I wspomniawszy obiecaną na jutro wódkę, ziewnął z miną człowieka, co spełnił ciężki obowiązek. Włościanie wyszli, naradzili się jeszcze po drodze, a na drugi dzień postanowili ominąć komisarza, napisać prośbę i zanieść ją wprost do gubernii.

Była to rzecz trudna i niebezpieczna, bo Gwoździł w swoim państwie nie pozwalał nikomu wydalać się, a nieposłuszni byli równie ciężko karani, jak zbiegowie wojskowi; ale włościanie powiedzieli sobie, że raz tylko umrzeć można i rzucili losy, kto ma iść? Los padł na młodszego Byczka i na Czerkasa. Za Byczka ofiarował się iść starszy brat, Stefan, a lepszego posła jak Czerkas, człowiek bywały i znający prawo, wybrać było nie można. Deputaci poszli. Droga była daleka, kilkaset wiorst; czas najgorętszy, roboczy; ale w perspektywie była nadzieja zmiany i polepszenia losu, więc z kawałkiem chleba w koszałce, z prośbą w zanadrzu, wyruszyli włościanie w drogę. Ósmego dnia po wyjściu z Sosnowki, gdzie ich wycieczka utrzymywała się w największej tajemnicy, odważni deputaci byli dopuszczeni przed oblicze jego ekszelleney. Stary, ale pokaźny jeszcze cywilny generał, Michał Dymitrowicz Stolarow, raczył ich wysłuchać, uśmiechając się z niezrozumiałej dla niego mowy.

— *Quel jargon!* — zwrócił się do Stefana Piotrowicza Owsińskiego.

— *Impayable!* — odpowiedział ów, nic nie słysząc, bo myślał przez ten czas o nowej aktorce, której chciał posłać bukiet.

Włościanie rozpowiedzieli wszystko; sądzili, że cała ich misya zależy na tem, żeby szczerze opowiedzieć wszystko, co

się u nich dzieje i prosili o pomoc. Na potwierdzenie swych słów podali skargę pisaną. W naiwnej tej prośbie, ze słów włościan ułożonej przez Skudielnikowa i zaczynającej się od wyrazów: »my, mieszkając wśród lasów«, były wyliczone następne oskarżenia: »Włościanie Wilezej gminy naprawiali bezpłatnie dziesięć wiorst grobli, a dopiero teraz dowiedzieli się, że mogą otrzymać kilka tysięcy rubli, jeżeli podejmą się naprawy tej grobli na następne trzy lata. Podatki gminne, ściągane z włościan bez żadnych postanowień gromadzkich, nie wpisywały się w podatkowe książeczki, których zresztą oni nawet nie mieli w rękę, chociaż dawno zapłacili za nie po pół rubla. Podatki ściągaly się zawsze i od dzieci niepodlegających jeszcze opodatkowaniu, zaczynając od dwuletniego wieku. W takim to roku włościanie na rozkaz wójta zapłacili po 5 rubli od chaty dzierżawcy, za dopełnienie wspólnego zapasowego magazynu, wyczerpanego przez poprzedniego dzierżawcę. Pieniądze za prawo wyszynku wójt odbiera nie wiadomo na czyją korzyść, a żydzi sprzedają wódkę wskutek takich postanowień, których nie można nazywać gromadzkimi, bo gromady brały w nich udział, chyba tém, że wójt i pisarz wyciskali pod nimi pieczęcie wiejskich niepiśmiennych starostów, zostające zawsze na ten użytek pod kluczem u wójta. Takim sposobem na pozór wszystkie umowy i postanowienia robią się za zgodą włościan, kiedy tymczasem ani włościanie, ani ich starostowie nie o tem nie wiedzą, jak to miało miejsce i przy postanowieniu o Szczolkunie. Chociaż włościanom wydzielono należną ilość ziemi, ale ta ziemia leży tak daleko od wsi, i tak poprzeczniana własnością obywatelską, że włościanie są jakby w ciągłym obłożeniu i za każdą sztukę bydła, złapaną na posiadłości dzierżawcy, muszą płacić ciężkie, dowolnie nakładane kary. Zresztą między włościańską łąką a wioską leży nieurodzajna ziemia, która nie była ocenioną przy nadziale i pozostała własnością obywatela, z prawem przepędu bydła dla włościan. Jako zupełnie nieużytek, nie interesowała nikogo, póki dzierżawcy Caplikowi nie przyszło na myśl, że i z niej można mieć zyski.

Zadzierżawil ją z łatwością, a za przepęd bydła na włościańskie łąki zaczął brać zapłatę od każdej chaty; na nieplacących tego czynszu wójt nakładał jeszcze kary pieniężne. Ale szczególnie uciążliwa była dla włościan umowa wójta z Caplikiem o utrzymanie pary koni przy zarządzie gminnym. Podług tej umowy, każda chata płaciła Caplikowi po kilka rubli, przy czem żydowskie konnie woziły nie dalej, jak 10 wiorst od Zarządu, na dalszą odległość musiały wozić włościańskie konie. Pomijając i tę okoliczność i wygórowaną zapłatę, ciężar tego podatku podwajał się tem jeszcze, że pieniądze musiały być wypłacane nie gotówką, ale pracą; obowiązani byli włościanie naprzykład wykopywać w lesie krzaki do pędzenia smoły i to za bezcen. Na niezgodnych wójt nakładał kary pieniężne, wzmocnione czasem cielesnemi: tak, gdy włościanin Tomasz Kragły ośmielił się powiedzieć, że nie chce robić pańszczyzny żydowi, bo go car od pańszczyzny uwolnił, to mu wójt dał z początku trzydzieści różg, potem dwadzieścia kijów, a na koniec wezwawszy do siebie, bił ile wlaźło, tłumacząc się, że nie ma czasu liczyć uderzeń.

Nie wiem, czy skarga ta była śmieszna; ale opowiadając w klubie, między dwoma pulami o audyencyi, Stefan Piotrowicz Owsiański, attaché przy osobie jego ekscellencyi, nazwał ją *»chef-d'oeuvre'em bez sensu.«*

— Zaczynała się — mówił on prezesowi Izby Skarbowej La-Petrie, wielkiemu przyjacielowi Gwoździka — na sposób jakiejś cygańskiej pieśni: »My, mieszkając pośród lasów i drzemiących pól.« Pardon! chciałem powiedzieć »drzemiących lasów« — poprawił, uśmiechając się z własnego dowcipu — i tak szła do końca w tym muzykalnym nastroju. Sam Michał Dymitrowicz uśmiechnął się, oddając mi ten ciekawy dokument.«

Stefan Piotrowicz znanym był ze swego dowcipu i talentu zabawnego opowiadania, jako człowiek salonowy *par excellence*. Natychmiast otoczyło go kółko słuchaczy, równie próżniaków i zadowolnionych z siebie, jak i prelegent.

— *Mais, je vous demande un peu* — zawołał prezes, mrużąc lewe oko i poprawiając bransoletę, którą nosił na pamiątkę jakiegoś smutnego wypadku — pytam panów, jak musi być trudno dawać sobie rady z tym pierwotnym ludem, naszemu najmiłszemu Gwoźdźnikowi? Doprawdy, ci panowie komisarze, to prawdziwe ofiary idei!

— Ale posłuchajcie, proszę, co oni o samym Gwoźdźniku opowiadają — mówił dalej Stefan Piotrowicz, zadowolniony z uwagi klubowej audytoryi — to dopiero zabawne! Oćwiczyl ich tam, czy coś, *ma foi, je n'en sais rien!*... poszli do niego na skargę. Przyszli, powiadają, przeżegnali się i proszą o posłuchanie... Czekają długo: raz im mówią, że śpi; drugi raz, że psa wyczesuje; trzeci raz, że szczenię uczy... Widzimy, powiadają, że pańskie ma zatrudnienie...

— *Impayable!* — woła prezes i z rozkoszy zupełnie zamruża oczy.

— Nie! to należało słyszeć, jak sami opowiadają... doskonale! To ten natychmiastowy, bezwiedny humor rosyjskiego chłop! Ja mam talent chwytania tych szczegółów...

— *J'espère bien!* — zawołał prezes.

— A przytem, ten polski język — ciągnął dalej zżywieniem Owsiański — który ja, naturalnie, jako niemożebny, opuszczam. *Quel jargon!* — mówi mi Michał Dymitrowicz. *Impayable!* odpowiadam.

Stefan Piotrowicz obejrzał się wokoło, na wszystkich twarzach wyrażało się zadowolenie z tego małego przedstawienia.

— Cóż na to jego ekscellencya? — zapytał znajdujący się tu przypadkiem jakiś powiatowy pan marszałek od korony.

— No, naturalnie, obiecał, zrobił nadzieję... i mnie kazał rozpatrzyć się w tej całej sprawie, jakby można było coś zobaczyć w takim chaosie bredni!

Pan marszałek zgodził się, że »wcale nie można« i uśmiechnął się ironicznie. Stefan Piotrowicz ciągnął dalej.

— Ja zaraz do Nikanora Iwanowicza; on, wiecie, całą tę sztukę zna *à fond*, sam komisarzem był; i mówię mu: »jakby Gwoździka... to?... opowiadają przecie rzeczy »barzo niepodobne«¹⁾.« — Nikanor Iwanowicz pomyślał chwilę i powiada: »A pan pytał ich, czy mają pasporta?« Rozjaśniło mi się w głowie od razu. My do chłopów, a u nich gołąbków ani pasportów, ani świadectw, jak u ptaków niebieskich... Nikanor Iwanowicz zacytował paragraf i na mocy prawa... rozumiecie... zaraz ich pod strażą na miejsce osiedlenia, a skargę w oryginale... komisarzowi. Nie prawdaż, że to prosto i jasno?

— I dowcipnie — poprawił prezes.

— Tak, tak; to głowa! — powiedział z przekonaniem Stefan Piotrowicz. — Ten pójdzie daleko: *c'est moi qui vous le dis!* Zaraz, natychmiast! — zawołał do kogoś i przeprosiwszy prezesa, pobiegł do bufetu.

XIII.

Kiedy zawstydzona deputacya w roli zbiegów, pod strażą wróciła do domu, a Gwoździk, otrzymawszy skargę, postanowił wszystko roztrząść, rozbić i zapowiedział prędki przyjazd, włościanie, poduszczani przez Skudielnikowa, z drugiej strony postanowili nie dopuścić Kułaka do szlachectwa. Był to, myśleli, jedyny sposób wyjścia z pod jarzma: nie można było czekać, nie można na nikogo liczyć. Strach, panujący nad nimi w czasie wyprawy Byczka i Czerkasa, nagle ustąpił burzliwemu pragnieniu uwolnienia się jak najprędzej od grożącego nieszczęścia. Na ogólnej naradzie postanowiono zebrać się wszystkim do Zarządu i zaproponować Kułakowi złożenie godności wójtowskiej. Prowadzenie całej sprawy wziął na siebie Piotr Podgórny.

¹⁾ W tekście niby po polsku. (*P. t.*)

I kiedy przyszła pora, przeżegnawszy się, wystąpił pierwszy! O naznaczonej godzinie zebrali się włościanie przed Zarządem i wypłoszyli ztamtąd Kułaka, jak zwierza z kniei. Na jego nieszczęście Kureczki nie było w domu; zrozumiawszy, że coś się święci niedobrego, wójt zapiał się, nałożył medal i wyszedł na ganek. Stary Podgórny wystąpił z tłumu i w imieniu całej (gromady) gminy, zaproponował mu złożyć z siebie wójtowstwo i zdjąć medal. Na taką niespodziankę Kułak w pierwszej chwili zmieszał się i nie wiedział, co odpowiedzieć.

— Bądź tak łaskaw! — powiedział ktoś w pierwszym rzędzie.

— Bardzo prosimy! — dodał Chmielewski i nawet pokłonił się.

— Bardzo prosimy! — powtórzył tłum, zbliżając się do wójta, który zszedłszy z ganku, nie ruszał się już z miejsca.

— Sydorze Tarasowiczu! — zaczął stary Podgórny, występując znowu naprzód.

— To wy tak! — nagle zawrzasnął z wściekłością Kułak i tłusta jego twarz posiniała. — Ach, wy buntownicy! podli!...

I wójt zaczął tupać nogami. Ale przed nim stał tłum, silny liczbą i jednością; wszyscy pragnęli zmiany, jasno wiedzieli, czego pragną i nie chcieli ustąpić ani kroku.

— Tak! bądź, cobądź, a trzeba skończyć — myślał każdy i wszyscy powoli naciskali na Kułaka. Kiedy na powtórne żądanie Podgórnego, by zdjął medal, Kułak rozszalały chciał się rzucić na tłum i rozpędzić go, zaszła scena, z której nikt potem nie mógł zdać sobie sprawy. Walki żadnej nie było, bo walka niemożliwa, gdy przeciw jednemu są wszyscy. Ale kiedy czyjeś ręce przytrzymały Kułaka, Podgórny zdjął z niego medal. Tak utrzymywali jedni. Inni mówili, że jakoby Kułak zerwał z siebie medal, i rzuciwszy go na ziemię, krzyknął: »macie go psy!« Ale jakkolwiek tam było, dość, że medal został zdjęty.

Jak siłacz pozbawiony swego talizmanu, Kułak odrazu upadł na duchu i w chwili, gdy na żądanie włościan oddawał pieczęcie wiejskich starostów, zrozumiał, że panowanie jego

skończone. Włóścianie sami nawet nie spodziewali się, że sprawa pójdzie tak prędko i łatwo. Dopiero pisarz Kureczka, wróciwszy z jakiegoś wesela i dowiedziawszy się o tym nieoczekiwanym przewrocie, dodał trochę odwagi Kulakowi, wypił z nim po kieliszku, napisał naprędce jakiś papier, obudził śpiącego Jarekę, wetknął mu zapieczętowany pakiet i kazał jak można najprędzej gdzieś odnieść. Przechodząc od stacyi do stacyi i wszędzie nadpisem »bardzo ważne« wywołując rozmaite wnioski, doszedł pakiet nakoniec do celu, i powiatowe miasto dowiedziało się, że w Wilczej gminie bunt! Tylko sami »buntownicy« nie wiedzieli, że się buntują.

XIV.

Piotr Iwanowicz był wzruszony i niezadowolony. Nie przyznając się przed samym sobą, obawiał się jednak, jednego z tych nieprzewidzianych w przebiegu badań sprawy wypadków, które, Bóg wie po co, odkrywają czasem jakieś tajemnicze operacye, oddawna, zdawało się, pogrzebione.

— Djabli wiedzą... — myślał zirytowany, wskrzeszając w pamięci jakieś fakta i cyfry — zdarza się czasem, że wpływa coś na wierzch niepotrzebnie.

We wrażliwym umyśle przestraszonego pana marszałka był wielki chaos: z jednej strony obawiał się o siebie, a z drugiej cieszył się, że wypadek stał się mianowicie u Gwoździka, tego nienawistnego Gwoździka, który mu stał kością w gardle, zasłaniając niejako łaski jego ekscellencyi. Że komisarz Gwoździk był szubrawiec pierwszego rzędu, to było niewątpliwem i dla Piotra Iwanowicza, i dla wszystkich; ale Gwoździk miał jakiegoś opiekuna w ministeryum, o życzliwość tego opiekuna dbał sam nawet gubernator i dlatego, w tym niedostępnym, bezprawnym, nieszczęsnym zakęcie, Michał Iwanowicz Gwoździk był pewnego rodzaju siłą. W gubernialnem mieście, gdzie miał mnóstwo przyjaciół i kilku popleczników, znany był, jako »szeroka rosyjska natura«, jako dobry chłopiec; wiedziano

przytem, że trzyma włościan krótko i ostro, że nie pozwala swawolić... i miano mu to za dobre. Słowem, Gwoździak słynał jako filar komisarzy na całą Błotną gubernię... i nagle u tego idealnego komisarza — rozruchy!

Kombinując to wszystko i wiele innych rzeczy, Piotr Iwanowicz brał się za głowę i nie wiedział, co począć. Z jednej strony chciałoby mu się zatrzeć sprawę, ze strachu wspomnień, a z drugiej, jeszcze bardziej, chciałoby się odznaczyć w oczach gubernatora i całej gubernii, by wszyscy wiedzieli, do jakiego stopnia pan marszałek Niedźwiedziego powiatu jest szlachetny i sprężysty! Na nieszczęście, na zacieranie sprawy zdawało się zapóźno, pozostawało więc, jak można najwyraźniej odznaczyć się. Ale odznaczyć się pragnął równie i sprawnik, i prokurator, i nawet stanowy; wszyscy rozumieli, że szczęśliwe zakończenie tej sprawy, może spowodować podziękowania, nagrody, nawet awans. Zdarzały się już takie przykłady. W perspektywie widne były łakome kąski, pobudzające czynność całego urzędniczego świata.

Takim sposobem nieszczęśliwi włościanie stali się źródłem, z którego miała trysnąć pomyślność na wszystkich tych panów, pragnących tanim kosztem odznaczyć się, wsławić... O włościanach nikt nie pomyślał, każdy o sobie. Czekaj takiej drugiej zřeczności! wszakże ludzie buntują się nie co dnia. Ale Piotr Iwanowicz najwięcej był wzruszony, jako osobistość stojąca u steru władzy. Po długiem wahaniu się, poradziwszy się z żoną, naturalnie bez zamiaru usłuchania jej rady, pan marszałek postanowił jechać osobiście do Wilezej gminy, posłał sztafetę do gubernatora i przygotowywał się do wyjazdu.

— A cóż będzie z naszym wieczorem, Pierre? Kucharz już krem przygotował — zawołała pani, w żadnym razie nie zapominająca kombinacyj gospodarskich.

Piotr Iwanowicz, czując się w tej chwili na wysokości swego położenia, ścisnął tylko ramionami i kazał podać tłumok.

Wieczorem zeszli się u pana marszałka rozmaici przedstawiciele powiatowej administracyi: przyszedł sprawnik, po-

mocnik prokuratora, sędzia śledczy, który tylko co przyjechał ze swojego okręgu, do którego należała i zbuntowana gmina.

— Słyszeliście panowie nowinę? — spotykał Piotr Iwanowicz gości, ściskając ich za ręce swoim zwykłym pospiesznym sposobem.

— Tak — powiedział prokurator, wysoki, chorowity brunet, noszący się wiecznie z pigułkami — nieprzyjemny wypadek; wszakże to otwarte powstanie — dodał — kładąc na oknie swoją zieloną czapkę.

— Bunt, formalny bunt! — ryczał basem stary sprawnik, od rana do wieczora cuchnący wódką, jak kufa. — I u kogo w dodatku? — mówił dalej, śmiejąc się — u wzorowego komisarza Gwoździka! Proszę sobie wyobrazić! zbuntowali się dlatego, że wójt się nie podobał... jacy to dziś chłopci, ha? Dziś nie podobał się wójt, jutro nie podoba się sprawnik, a później może i komisarz jeszcze precz!

— Mojem zdaniem, przyczyny potrzeba szukać głębiej — wyrzekł sędzia śledczy, młody, ponury człowiek, w podróżnych wysokich butach, które widocznie drażniły eleganckiego pana marszałka.

— Pan kiedy z okręgu? — zapytał, krzywiąc się na buty.

— Pozawczoraj. Dowiedziałem się o wszystkim na drodze od stanowego.

— Ale gdzież sam winowajca?... to jest, chciałem powiedzieć, sam komisarz, gdzie nasz Michał Iwanowicz? — zawoła ze złośliwym uśmiechem, lubiący pożartować sprawnik.

— Do Kijowa pojechał po welociped — z tą samą ponurą miną powiedział śledczy, nie zważając na gniewne spojrzenia pana marszałka.

— Ta, ta, ta! — zawołał sprawnik — to dopiero historia! on sobie jeździ po welociped, a my musimy tu wypijać piwo, którego on nawarzył!

Takie lekkomyślne zapatrywanie się na sprawę, nie podobало się Piotrowi Iwanowiczowi, albowiem zinniejszało niejako

wagę wypadku, w którym i on miał odegrać pewną rolę. Pan marszałek dał mu to uczuć.

— Posłuchaj, Kiryłło Siemionowiczu, potrzeba, żebyś pan nie odkładając tam pojechał — powiedział urzędowym i nieco rozkazującym tonem. — Rzecz zupełnie poważna i nie znosząca zwłoki.

— Więc cóż? pojedę i uspokoję... Kiedym służył w Borysowie...

— Ja sędzę, że z początku łagodnymi środkami... — nauczająco wycedził pan marszałek, wzrokiem wstrzymując sprawnika.

— Łagodne środki? pokornie dziękuję! — zawołał sprawnik. — Kiedym służył w Borysowie, takiego mi piotra napędzili za łagodne środki, że już teraz najniższy sługa!...

— Cóż, chce pan ich rozstrzeliwać odrazu? — zapytał śledczy, patrząc ironicznie z pod okularów na staruszkę.

Ale Kiryłło Siemionowicz na nikogo nie zwracał uwagi.

— Łagodnymi środkami?... Zapewne! Do ciężkich robót, hultai, nahajkami! przez różgi, po mikołajowsku! — krzyczał, robiąc straszne oczy i nie zważając, że prokurator marszczył się na samo wspomnienie tych egzekucyj. — To właśnie pora rozprawiać o łagodnych środkach!

— Słuchajcie, panowie — przerwał prokurator — czy nie należałoby pojechać tam nam wszystkim razem? Co pan o tem myślisz, Piotrze Iwanowiczu?

— Ja koniecznie pojedę — pospieszył powiedzieć pan marszałek, obawiając się, żeby nie przypisywano komu innemu inicjatywy w tej sprawie. — Koniecznie! tylko czekam instrukcyi Michała Dymitrowicza; posłałem sztafetę.

— Jak jechać, to jechać! co tam instrukeye! — I Kiryłło Siemionowicz wziął czapkę.

— Hurra! — zabrzmiało za drzwiami i do sali wszedł świeżo nominowany komisarz Grochotów, kadet w dymisyi, pijak i błazen. — Słyszałem, słyszałem, wiem! — wołał wesoło witając się i rzucając na fortepian czapkę i pejcz. —

Wybornie! *adorable!* bravo Gwoździk! wszak to on, słyszę, zaćwiczał ich na śmierć, a pracował nimi, jak murzynami!

— Zkądże pan wie to wszystko? — Zapytał chłodno Piotr Iwanowicz, urażony otwartością Grochotowa.

— Niema po co dochowywać sekretu, samo wyszło na wierzch... No, no, Michał Iwanowicz! A Owsiański? ładnie teraz wygląda!... Przecie on mi Gwoździka na wzór stawił! U Gwoździka, powiada, wszystko cicho i gładko, łaska Boża! A tu łaski...

— Przestań pan dowcipkować — przerwał mu prokurator.

— A tu łaski pokazuje się jak najmniej... Ale nam z panem, Panie Iwanowiczu, to na rękę... co? — mrugnął na pana marszałka. — Medal zerwali! o, urwisy! To już do pana należy — zwrócił się do prokuratora, klepiąc go poufale po kolanie.

Prokurator, który tylko co przełknął pigułkę, usunął się z nieukontentowaniem.

— Zkądże pan to wszystko wie? — zapytał rozdrażniony Piotr Iwanowicz, widząc, że tajemnica stanu już wyleciała ze szczegółami na ulicę i zapewne staje się już własnością tłumu.

Grochotów zaśmiał się głośno.

— Doprawdy? zkąd ja wiem? Ależ Kołobów wczoraj na placu na cały głos wrzeszczał!... W porę opatrzyli się... zkąd wiem? Dziwniejsza, żeście wy dotąd nie nie wiedzieli!

Piotr Iwanowicz był prawie zawstydzony, ale nie zdradzając swego wzruszenia, rzekł poważnie:

— A więc, panowie...

I wstał, dając do poznania, że dość gadaniny, czas działać.

Goście wzięli za czapki. Ale na Grochotowa to nie podziało.

— Przynajmniejbyś wódki dał, Piotrze Iwanowiczu — powiedział, patrząc na pusty stół. — Taka sprawa i nie wypić.

— Chodźmy do mnie — rzekł, biorąc go pod rękę sprawnik — wypijemy po kieliszku przed odjazdem.

— A czyż panowie jadą? — wyrывая rękę i zwracając się do przytomnych, zapytał Grochotow.

— Jedziemy — sucho i krótko odpowiedział Łupiński, i zaczął mówić z prokuratorem.

A ja? weźcie panowie i mnie! — zaczął żałośnie błagać Grochotów. — Ja jeszcze w szkole wszystkie te egzekucje passyami lubilem!

— Po cóż pan tam? to przecie nie w pańskim okręgu — odpowiedział Piotr Iwanowicz, żegnając prokuratora i odprowadzając na stronę śledczego.

— Tak dla procesyi, dla symetrii... niech djabli wezmą! Cóż ja tam przeszkodzę? — mówił gniewnym i obrażonym głosem, jak dzieciak, którego pozbawiają dawno upragnionej przyjemności.

— To jedź pan sobie, kiedy ci się tak zachciało wlec się półtorasta wiorst bez żadnej potrzeby — odrzekł z lekceważeniem Piotr Iwanowicz.

— No, więc ja z panem, Kiryło Siemionowiczu — zawołał radośnie Grochotów i złapawszy sprawnika za rękę, dodał: — A wie pan, jak się urządzimy? weźmiemy z sobą lafitu, portwejn.

— Co tam portwejn, lepiej koniaku.

— To osobno... ze trzy butelki szampana... Piotr Iwanowicz każe swemu Michałowi wziąć selterskiej wody — rozporządził Grochotów, jakby wybierając się na piknik. — Wódki zapewne i tam można dostać... Jak tam, co do wódki? Pan musi wiedzieć, Piotrze Iwanowiczu. — I nie zważając na chmurnego pana marszałka, wesolo nałożył czapkę, świsnął pejczem i półgłosem zanucil:

Très-jolie, peu polie, possédant un gros magot.

— Idiota — burknął, ściskając ramionami Piotr Iwanowicz i poglądając za wychodzącym ze sprawnikiem Grochotowym. — I takich furfantów przysyłają tu na służbę!

— Z łaski żony... U p. Chwostowskiego była pierwszą sultanką — powiedział prokurator, z obowiązku znający wszystkie gubernialne plotki.

— U nas ze wszystkim tak się dzieje; a potem dziwią się, że sprawy źle idą! — wyrzekł z goryczą Piotr Iwanowicz, i nagle, przypominając sobie, że może nadto powiedział, dodał: — A więc, jedziemy!

XV.

Ustanowiona z powodu zamieszek komisya z czterech członków, wyruszyła nazajutrz do Wilczej gminy. Sprawnik z sędzią śledczym pojechali naprzód, a za nimi, doczekawszy się instrukcyi, pospieszył i sam Piotr Iwanowicz z prokuratorem. Komisarz Grochotów, mieszając Lafitte z portwejnem, tak się upił, że go musiano odesłać na wytrzeźwienie do domu, ku wielkiemu zadowoleniu Piotra Iwanowicza. Każdy jechał w innem usposobieniu. Chorowity prokurator, noszący niemieckie nazwisko Kronberg i romantyczne imię Adolfa, poczytywał tę wyprawę za wielką ofiarę ze swojej strony; sędzia śledczy starał się umitygować sprawnika; Piotr Iwanowicz myślał o tem, jakby dojechać Gwoździka a samemu się wslawić.

Najbardziej rozognionym był stary sprawnik. Naelektryzowany koniakiem i wojowniczą wymową Grochotowa, mając z jednej strony przykład jakiegoś stanowego, który za sprężystość w podobnym wypadku, został awansowany na sprawnika; a z drugiej, pamiętając własne fiasko, kiedy służąc w Borysowie, nie użył ostrych środków, Kiryło Siemionowicz wkroczył do Wilczej gminy, jak rzeczywisty pogromca. W duszy był to bardzo dobry a nawet słaby człowiek, lubił szlafrok i pantofle, tanią pulkę i duży kieliszek; nigdy nie wiedział, ani co się dzieje u niego w domu, ani w powiecie; we wszystkim słuchał swego pomocnika; sprężystych środków unikał nawet ze stójkowymi; ale tu, obawiając się nagany, postanowił być srogim. W dodatku, chciało mu się odznaczyć. Rozumie się, że przyczyny niezadowolnień w Sosnówce wcale go nie obchodziły; dzięki wrodzonej dobroci mógł mieć nawet dla

włościan współczucie; ale potrzeba było przykładu. Oficjalnie powiedziano mu, że włościanie zerwali medal z wójta, zamknęli Zarząd, dopuścili się zawichrzeń, słowem, że w powiecie zaszły nieporządki. A ponieważ on, Kiryłło Siemionowicz Ułanów jest osobistością odpowiedzialną, nawet zupełnym gospodarzem powiatu, obowiązany jest zatem do przedsięwzięcia środków uśmierzania. Zapewne, mieli się inni również za zupełnych gospodarzy w powiecie i doświadczony sprawnik o tem wiedział; ale w tem cała umiejętność dyplomacyi urzędniczej, żeby działając wspólnie, nie zawadzać jedni drugim, odznaczając się — we właściwych każdemu granicach — gdzie i jak kto mógł. Wszystko to doskonale rozumiał, wszystko dawno weszło w życie i samo, bez umowy, instynktowo, schodziło prawie z nieba, jak natchnienie.

Dla większego wrażenia Kiryłło Siemionowicz wszedł do Sosnówki z oddziałem dymisyonowanych żołnierzy, których zebrał po wioskach i miasteczkach, oderwał nagle od kosa i pługa, posadził na wozy i z nimi, nie zważając na przedstawienia śledczego, wjechał tryumfalnie do Sosnówki, wzmacniając energię koniakiem. Włościanie oczekujący tylko swego komisarza, bardzo byli zdziwieni, widząc sprawnika i śledczego, otoczonych takim licznym sztabem. Kiryłło Siemionowicz zaczął od tego, że posłał do sąsiedniego miasteczka po starkę, potem zebrał włościan, i nie zważając na nikogo i na nic, nałożył w obec gromady na Kulaka medal, ogłaszając go pierwszym wójtem na całą gubernię. To wywołało drugi skandal, nowy rozruch, w czasie którego Piotr Podgórnny, za zgodą włościan, podstąpił do wójta, zdjął z niego medal, i jako dowódca buntu, natychmiast został okuty w kajdany. Razem z nim, podług wskazówek wójta, nie zważając na krzyki bab i szemranie tłumu, zapakowano do ciupy, pod nadzór Jaremy pięciu pozostałych »podżegaczy.«

— Hultaje! kanalie! buntownicy! — wrzeszczał zachrypniętym basem sprawnik; — ja tu was zaraz!

Śledczemu zaledwie udawało się trochę go powstrzymywać.

Tak z należąną sprężystością, przystąpiwszy do sprawy i żołnierzy swych rozmieściwszy po chatach włościańskich, Kyrillo Siemionowicz spoczął na laurach, to jest położył się spać.

Tego samego wieczora, mniej tryumfalnie, bez straży i własnym powozem na resorach, z kucharzem na koźle, przyjechał Piotr Iwanowicz i przywiózł z sobą prokuratora.

Nigdy ani przedtem, ani potem nie widziała u siebie Sosnówka tylu potentatów! Obudzony turkotem powozu, Kyrillo Siemionowicz wyszedł na ganek właśnie w chwili, kiedy kucharz z jednej a wójt z drugiej strony wysadzali pana marszałka z powozu, podtrzymując go za łokcie z uszanowaniem.

— A ja myślałem, że już nie przyjedziecie! — zawołał sprawnik z ganku. — Upór, bunt... nikogo słuchać nie chcą — belkotał chuchając na Łupińskiego zapachem wódki. — Oto świadek — wskazał na kłaniającego się Kulaka.

— Cóż tam takiego? — zapytał niespokojnie Piotr Iwanowicz.

— Bunt, samowola! Rozumie pan... muie samego... posłałem sztafetę po pomoc... Niech przyszlą kozaków albo piechotę...

— Może jeszcze i artylerję... — szepnął ironicznie prokurator do ucha Łupińskiemu, który sam nie wiedział, jak brać te wiadomości.

Weszli do mieszkania. Prokurator zaczął się umywać, i wśród pluskań wody słyhać było niezadowolony głos śledczego.

— Wszystko głupstwo!... po co tu wojsko?... Bóg wie, co mu się śni... i po co go tu naprzód puścili?... Całą sprawę popsul...

— Tak, należałoby mniej hałasu — rzekł umyty prokurator, obcierając się.

— A Gwoździka... — zaczął był śledczy.

— Tss... przerwał mu prokurator.

Śledczy ścisnął ramionami i zapalił papierosa.

Tymczasem Kulak z czerwoną ze wzruszenia twarzą, machając rękami, mówił do Piotra Iwanowicza:

— Zmilujcie się, wasza jaśniewielmożność, na tych łajdaków Sybiru mało...

— Ale co było powodem? jak do tego przyszło?

— Nie umiem powiedzieć. Zebrali się wszyscy razem, wyszedł ich dowódca Petryk Podgórny naprzód: »zdejmuj — mówi — medal! Jakiś ty — powiada wójt — kiedyś ty całej gminy wróg?« Ja go chciałem za kołnierz... wykreślił się i złapał za łańcuch... Podjął go do góry i krzyczy: »zrzuciliśmy, chłopcy, wójta... wybierajmy teraz drugiego!«

— Musiałeś ich do tego doprowadzić — rzekł, nie dla zrobienia wymówki Kulakowi, lecz dla uspokojenia własnego sumienia Piotr Iwanowicz.

— Żadnym sposobem! wasza jaśniewielmożność; to wszystko jeszcze nauka Szczolkuna, od niego cała nienawiść zaczęła się.

— A Michał Iwanowicz wiedział?

— Nie wiem. Jego wielmożność mówił — wskazując głową na palto sprawnika — że do Kijowa pojechał. Ja mu dawno oczy otwierałem... Prawda, dwóch czy trzech oćwiczyl porządnie. »Uspokoją się teraz« — raczył powiedzieć... a oni, zbójce, ot co zrobili! Sybiru na nich mało, wasza jaśniewielmożność! — mało! powtórzył z przekonaniem sędziego.

— No, dobrze, ruszaj! — Kiwnął mu głową Piotr Iwanowicz i zamyslił się, pojmując całą ważność swojej roli.

XVI.

Kiedy członkowie naprędce złożonej Komisji wypili herbatę i przekąsili, a Kiryłło Siemionowicz wytrzeźwił się na tyle, że był w stanie wyraźnie wymawiać słowa, Piotr Iwanowicz oświadczył, że czas przystąpić do sprawy. Z westchnieniem wszyscy podeszli do stołu, Piotr Iwanowicz zajął preze-

sowskie miejsce przed kałamarzem, a sędzia śledczy przystąpił do badania obwinionych, których przyprowadził stróż Jarema. Badanie trwało prawie dwie godziny i nie doprowadziło do żadnych rezultatów. Badano Czerkasa i starszego Byczka, którzy chodzili ze skargą do gubernatora. Stefan Czerkas oświadczył, że zna prawo, bo dwa lata przy Kułaku był wiejskim starostą.

— Wybił mi przez ten czas dwa zęby — dodał, jakby na potwierdzenie swego podania.

Sydor Byczek więcej milczał, a nawet powstrzymywał Stefana, kiedy puszczał się w zbyteczne podług niego szczegóły.

— Ależ, Stefanie — targał go za połę — pomiarkuj z kim mówisz; toż panom dość nadmienić, by zrozumieli... a ty rozmazujesz.

Ale Stefan nie uważał na nic, rad z możności wygadania swoich krzywd, przemawiał zwracając się to do jednego, to do drugiego członka komisji:

— Wasza wielmożność zlituj się! wysłuchaj nas! Życ nam nie daje, na śmierć zagryza... Nam już wszystko jedno ginać.

— Ależ ty mów z sensem, jak się to stało? — wstrzymywano go.

— To się stało tak: — powtórzył on — zebraliśmy się tu wszyscy, bo wytrzymać nie można już było, i przemawiamy do jego sumienia: Sydorze Tarasowiczu — mówimy — daj nam odpocząć! Dość z ciebie, dość i z nas! Do grobu wdzięczni ci będziemy... ustąp miejsca drugiemu!... On, rozumie się, rozgniewał się: »Ach, wy! — powiada — takie syny; ja was, powiada, takich-owakich!«

Starał się naśladować głos i ruchy wójta.

— I tak dalej, i dalej... a ciągle brzydkimi słowami...

— Stefanie!... — targa go za rękę z wymówką Byczek.

— Czekaj, Sydorze; — wrywa gniewnie rękaw. — Wiesz, panowie raczą słuchać. Kiedyż my znowu takiej zrzeczności doczekamy się?

I odsunawszy Sydora, opowiada dalej.

— Tu podszedł do niego wuj Piotr: »słuchaj, Sydorze Tarasowiczu — powiada — cała gmina ciebie prosi... Oj, nie narób jeszcze jakiego nieszczęścia! Zabezpieczyłeś się — powiada — dostatecznie; masz pięć domów, a wołów bez liku.« Tu już nie przypominę, co się stało... wiem, że Sydor Tarasowicz zamierzył się, chłopcy podstąpili, a on ten medal z siebie zrzucił...

— Sam zrzucił, czy ktoś z niego zdjął?

— Sam, wasza jaśniewielmożność, dlatego, że się bardzo nastraszył...

— Jakżeście się odważyli na takie bezprawie? ha? — spytał groźnie Łupiński. — A ty jeszcze w dodatku byłeś wiejskim starostą, znasz prawo... Jakżeś do tego mógł dopuścić?

Zmieszany włościanin milczał.

— Jeżeli wójt zawini, możecie się skarżyć do komisarza, to prosta droga.

— Chodziliśmy, wasza jaśniewielmożność do komisarza, oćwiczyl!.. Poszliśmy do gubernii, pod strażą odesłali... cóżemy mieli robić? — odpowiedział rozpaczliwie, rozkładając ręce.

Członkowie komisji popatrzyli na siebie. Kiryłło Siewionowicz wskazał wyrazistym ruchem na zegar. Niezdolny do długich wysiłków umysłu, dawno już drzemał przy monotonnym opowiadaniu chłopca, i dopiero głos Piotra Iwanowicza zbudził go z tego oficjalnego marzenia. Prokurator czuł się także znużonym, wyciągnął się, mrugnął na śledczego i badanie zostało przerwane... włościan wyprowadzili. Prokurator, nie zważając na bojaźń przeciągów, otworzył okno, sprysnął się kolońską wodą i oddając flakon Piotrowi Iwanowiczowi, który po niego wyciągnął rękę, rzekł zmęczonym głosem, mrużąc oczy:

— Dla mnie ten zapach kożuchów nie do zniesienia...

Piotr Iwanowicz, nie chcąc być mniej delikatnym od prokuratora, skrzywił się i poprosił śledczego o ogień do papierosa.

W tej chwili usłyszano w sieniach jakieś szmery i tupania nogami. Odnaczający się czujnością Piotr Iwanowicz, powstał gwałtownie. W wąziutkich sieniach, dzielących Zarząd na dwie połowy, ruszało się kilku ludzi, których stróż Jarema napróżno usiłował wypchnąć za drzwi. Zobaczywszy przed sobą pana marszałka, wszyscy razem, jak na komendę, padli na kolana.

— Wstańcie, wstańcie! — pospiesznie wymówił Piotr Iwanowicz, cofając się i wahając uciec czy zostać?

Chłopi nie ruszali się.

— Wstać! — zakrzyczał gniewnie.

Kłęczący najbliżej Iwan Świszcz wstał; po nim zaczęli się podnosić inni. Na hałas podeszli do drzwi wszyscy członkowie komisji.

— Czego chcecie? — zapytał włościan Łupiński marszcząc brwi.

W tej chwili sprawnik, wyrывая się naprzód, wrzasnął:

— Knutem was! kanalie! buntownicy!

— Kyrillo Siemionowiczu, bardzo proszę! — powiedział prokurator i odsuwając go zlekka ręką, zamknął za nim drzwi.

— Wasza jaśniewielmożność! ujmijcie się za biednym starcem, już drugi dzień w kajdanach męczy się.

— Nie nie mogę uczynić dla niego — z powagą i smutkiem wymówił Piotr Iwanowicz.

— Jak przed Bogiem przysięgamy, że on nic nie winien — powiedzieli chłopi, kłaniając się nisko. — Zmiłujcie się.

— Oprócz dawnej winy, pan sprawnik obwinia go jeszcze o nowe zuchwalstwo i opór.

— Cóż to, mój Boże, za zuchwalstwo! Nikogo i palcem nie dotknęliśmy. Tyle tylko zawiniliśmy chyba, że kiedy pan sprawnik nałożył na niego medal, to stary za naszą wspólną zgodą podszedł do niego i zdjął napowrót. I wszystko to, świadczę się Bogiem, zupełnie spokojnie... — mówił stojący na przodzie zięć Podgórnego. — Tylko pan sprawnik krzyczał: »Sydor Tarasowicz pierwszy wójt w gubernii... a wy — powiada — buntownicy przeciwko władzy!« Jacyż my, mój

Boże, buntownicy?... Tylko pan sprawnik: »Nahajkami, was lajdaków!« A żyd-dzierżawca kręci się za nami i drażni: »A co? mówiłem wam, że tak będzie i macie to co mówiłem.« A pan naczelnik krzyczy na żołnierzy: Bierzcie ich, chłopcy, wiązać!« A my powiadamy: »Czego wasza wielmożność niepokoje się? my was — powiadamy — i palcem nie tkniemy.« W tej właśnie chwili wystąpił stary Podgórny: »Wiążcie mnie — powiada — wasza wielmożność! Jam jeden winien!« Zaraz go okuli i pod klucz.

XVII.

— No, powiedzcie panowie, co tu można rozumieć? — zawołał Piotr Iwanowicz, wypiwszy selterskiej wody.

Prokurator utrzymywał, że potrzeba się tak oryentować, by znaleźć wyjście z tej gmatwaniny w prawach; śledczy przeglądając papiery; sprawnik, czując się obrażonym, leżał na łóżku i milczał. Wszyscy doskonale rozumieli, że szukać przyczyny buntu nie można, bo oczywiście wszystkiemu winien Gwoździk. Na tym punkcie wszyscy się schodzili, ale też i wszyscy chcieli go obejść.

— Więc jakże, panowie, co myślicie? — po chwili milczenia zapytał Piotr Iwanowicz, postanawiając w duszy wziąć stronę włościan, nie obwiniając jednak bezpośrednio Gwoździka. — Co myślicie? — powtórzył.

— Jakośby pogodzić... — bąknął, wahając się śledczy.

— Jakto pogodzić? — przerwał żywo prokurator, który nie zważając na delikatne nerwy, najobojętniej wysyłał do ciężkich robót i na sybir.

— Nie podobna przecie posadzić ich wszystkich do turmy — wytłumaczył swoją myśl śledczy.

— A jednak fakt widoczny: samowola...

— Mojem zdaniem, winien tu tylko Gwoździk — wyrwał się nagle Piotr Iwanowicz, chcący przed chwilą wcale co innego powiedzieć. — Panowie słyszeli...

— Ale proszę popatrzeć na rzecz z innej strony — przerwał prokurator, pragnący pokryć Gwoździka, ze względu na jego wysokie stosunki.

— Zkądkolwiek patrzeć, wszystko jedno — zawołał zapalczywie Piotr Iwanowicz, zapominając o swojej zwykłej ostrożności i czując, że nienawiść do Gwoździka wzrasta w nim w miarę obrony prokuratora. — Przecież wszystko to prawda...

— Nie, proszę poczekać! musimy brać w rachunek rozmaite względy, nie możemy sądzić z nagich faktów; pan powiada: prawda... czyż to już nie lepszego od prawdy wymyśleć nie możemy? — przerwał prokurator, rozważając jednocześnie co o tem wszystkim pomyśla tam, w gubernialnem mieście.

— Wszakże panowie słyszeli, jak tu szły sprawy — upierał się w swej wspaniałomyślności Piotr Iwanowicz, widząc, że szlachetne role mu do twarzy.

— Można przypuszczać, że te sprawy zaczęły się nie dziś — zauważył niby niechcący prokurator i zaraz, spojrzawszy na zarumienionego Łupińskiego, dodał: — A myślicie, panowie, że w innych gminach inaczej?

— Tak, zapewne...

— A więc? — pytając rzekł śledczy, wycierając pióro.

— Ja zostaję przy mojem przekonaniu! — rzekł z dumą Piotr Iwanowicz i zaczął patrzeć w okno.

— Naszym obowiązkiem... wyjaśnić fakta — powiedział spokojnie prokurator — a wyjaśnimy je dostatecznie, przyznając Podgórnego głównym podżegaczem.

— A co do wójta? — zwrócił się do Łupińskiego śledczy.

— To już rzecz komisarza — z grzecznym uśmiechem powiedział Piotr Iwanowicz, udając bezstronnego.

— A więc zatem Piotra Podgórnego... — zaczął śledczy.

— Przeprowadzić — przerwał mu prokurator — wraz z pięciu innymi podżegaczami buntu do więzienia.

Piotr Iwanowicz odsunął z hałasem krzesło.

— I tak, panowie, obowiązek nasz, chociaż smutny, wypełniliśmy — rzekł, zapominając widocznie o swoim odrębnem zdaniu i przekonaniu.

— Hurra! — zawołał z łóżka Kiryłło Siemionowicz i kazał podać lafitu.

Gdy dekret był napisany i podpisany, urzędnicy z ulgą w sercu, jakby po spowiedzi, zaczęli mówić otwarcie, nie obawiali się już bowiem, że to, co powiedzą, trafi do protokołu. Wszyscy jednogłośnie obwiniali Gwoździka.

— I na czem też opiera się reputacya człowieka? — ze smutkiem i jakby zazdrością przemówił Piotr Iwanowicz. — Zawsze mówiłem, że on nie na swoim właściwym miejscu!

I przytoczył 122 paragraf, z którego widać było jak na dłoni, że wszystkiemu winien Komisarz.

— Jeżeli tu jest choć dziesiąta część prawdy, to »ieh«... szczerze mówiąc, nawet sądzić nie można! — dokończył z zapalem, znając najlepiej, ile tu było prawdy.

— No dosyć z was, dosyć! Czego wam jeszcze więcej? — powiedział Kiryłło Siemionowicz. Poraby tego...

Kucharz podał przekąski, odkorkował butelki i Piotr Iwanowicz, otrząsnąwszy się z nerwowego podrażnienia, stał się tak przyjemnym, jak u siebie w bawialnym pokoju. Rozmowa przeszła na inne temata. Prokurator tak się ożywił, że nawet opowiedział jakąś zabawną anegdotę, którą chociaż wszyscy dawno znali, jednak (wszyscy) wysłuchali z takim zadowoleniem, jakby nowej.

Wśród poufnej i wesołej gawędy, naraz pod oknami dał się słyszeć płacz i narzekanie kobiet.

— Cóż robić, coź robić... — szepnął Piotr Iwanowicz i zamknął oczy, nie mogąc znieść smutnych widoków.

Hałas wzmógł się; ktoś zachodził się od płaczu pod samem oknem.

— I czegoż beczą? — rzekł z nieukontentowaniem prokurator. — Czyż temu staremu nie wszystko jedno na jakim piecu umierać; w turmie, czy w domu?

— Nawet się nie domyślają, że on idzie na ofiarę za całą gminę z komisarzem na czele. Rola wzniosła, choćby nawet dla nie chłopa! — rzekł z ironią sędzia śledczy.

Tego jeszcze wieczora do gubernatora poleciała sztafeta, oznajmująca o szczęśliwem uśmierzeniu buntu, a na drugi dzień komisya wyruszyła z powrotem.

O 15 wiorst od Sosnowki dopędziła trzy wozy, na których w kajdanach wieziono znajomych naszych: braci Byczków, Czerkasa i wesołego Kruka, Chmielewskiego i starego Podgórnego. Mijając wozy, Piotr Iwanowicz zmarszczył się i westchnął. Chłopi zdjęli czapki, urzędnicy odpowiedzieli niemym ukłonem.

— No, ruszaj, ruszaj! — zawołał na woźnicę śledczy i odwrócił się.

XVIII.

Powiatowe miasto, pozostawione dzięki buntowi bez naczelników, męczyła ciekawość dowiedzenia się czegokolwiek o wypadkach w Wilczej gminie. Utworzyły się dwie partye: mniejszość trzymała z włościanami, a znaczna większość — bezwarunkowo była za komisarzem. W rzadkich trzeźwych chwilach Grochotów wrzeszczał, że chłopi powinni iść na Sybir, »bo oni wszyscy szubrawcy« i tak wywijał swym pejem, że znajdujący się przypadkiem blisko Kołobów poradził mu, żeby był ostrożniejszym, a co się tyczy »szubrawców« dodał, że zna takich, którym dawno należałoby być na Sybirze.

Pani marszałkowa niepokoiła się o zdrowie pana marszałka, dlatego, że wczoraj deszcz padał; sprawnikowa miała nadzieję, że mąż uśmierzy bunt i dostanie awans... i w tej nadziei sprawiła córce nową bareżową suknię; Tatiana Mikołajówna, całem sercem współczująca włościanom, czekała powrotu komisyi z bolesną niecierpliwością. Już sześć lat mieszkała w tym kraju i plemię białoruskie, spokojne, sumienne, trochę leniwe, cierpliwe; niosące z taką pokorą i bez szemrania

ciężkie brzemie swojego żywota, pozyskało całą jej sympatyę. Wiedziała, że tylko doprowadzenie ucisku do ostateczności, mogło wyczerpać cierpliwość tego najcierpliwszego na świecie ludu i wywołać jego opór. Z serdecznym niepokojem oczekiwała końca walki, ważyła wszystkie za i przeciw, i wątpiła, by rezultat odpowiedział jej pragnieniom. Tem niecierpliwiej wyglądała powrotu komisji, że usłyszała jeszcze wczoraj od sprawnikowej: »mój Kiryllo Siemionowicz uśmierzył buntowników i przyprowadził wszystko do porządku«. Słowo »buntowniczy« powtarzało się szczególnie często i ze szczególnym naciskiem. Nakoniec komisja powróciła; miasto zawrzało nowinami, opowiadaniem, komentarzami. Wieści nie były radośne: do gubernatora wysłano dwie sztafety, sześciu »buntowników« przywieziono do miasta i posadzono do turmy. Jednocześnie z komisją wrócił i Gwoździak z Kijowa; wściekał się ze złości, obiecywał przewrócić do góry nogami całą gminę; wrzeszczał, że komisja nie miała prawa wdziarać się do jego okręgu, że on natychmiast jedzie do gubernatora i t. d.

Pan marszałek zabierając się odpocząć po podróży, ułożył się z gazetą w ręku na kanapie, kiedy rozczochrana baba, z podetkniętą spodnicą i zatoczonymi rękawami, przesunęła rękę przez drzwi i powiedziała: »Do pana list od Orlichy.« Pan marszałek wziął list i popatrzawszy na adres, mruknął: »Rzeczywiście! niech ją djabli wezmą!«

Przeczytawszy, zmiażdżył arkusz i rzucił z gniewem pod stół. I ton i treść listu gniewały go, lecz szczególnie ubodła go tam wzmianka o »uśmierzeniu buntu« przez sprawnika. Chciał, by jemu jednemu przypisano »szczęśliwe zakończenie« sprawy; on to nazywał szczęśliwym zakończeniem!... a tu głupia sprawnikowa zabiera mu to, co on uważa za swoją wyjątkową własność z prawa umiejętności znalezienia się, wzięcia się do rzeczy... zresztą z prawa niewątpliwej szlachetności swego postępowania. W pierwszej chwili miał zamiar nie odpowiadać na list; położył się na kanapie z mocnem postanowieniem zasnąć i nie myśleć o takich drobnostkach; ale niespokojne myśli

tak latały mu po głowie, że nawet wstępny artykuł gazety nie mógł wyrzeć swego zwykłego narkotycznego wpływu. Piotr Iwanowicz wstał nakoniec, posłał jeszcze raz kogoś do diabła, popatrzył w lustro i poprawił stanowczo krawatę.

— Pójdę — powiedział sam do siebie. — Odpowiadać listownie — byłoby nieostrożnie, nie odpowiadać zupełnie — niegrzecznie.

Pan marszałek był panem marszałkiem: wysoko cenił siebie i swoją godność, ale umiał być uprzedzająco grzecznym dla tych, których się choć trochę obawiał; — a dla wielu przyczyn dbał niezmiennie o dobre stosunki z Orłowymi.

Poszedł więc, ze stałym zamiarem być szczerym i wspa-
niałomyślnym — i w miarę zbliżania się do domu Orłowych
rosło w nim uczucie oburzenia na sprawy w Wileczej gminie.
Wstępując na ganek, był już zupełnym stronnikiem włościan.

— No cóż? jak się skończyło? — spotkała go w salonie
zapytaniem Tatjana Mikołajówna.

— Skończyło się? — odpowiedział ze smutnym uśmie-
chem. — Dopiero się zaczyna...

I opowiedział, jak stała sprawa, to jest opowiedział, jak
sam na nią patrzył w tej chwili. Był oburzony, zmartwiony; —
ale — tu schylił głowę i rozłożył ręce — prawo jest bez-
względem: będą karani... — Łzy żalu, nad losem włościan,
pojawily się w jego nigdy wprost nie patrzących oczach.

— Cóż z nimi będzie? — zapytała wzruszona Tatjana.

— To już zależy od decyzji Izby. Ja, wszystkimi spo-
sobami będę się starał osłodzić ich los; dziś jeszcze napiszę
do Michała Dymitrowicza.

— Któż to Michał Dymitrowicz? — zapytała Tatjana
Mikołajowa.

— Gubernator — odpowiedział skromnie Piotr Iwano-
wicz, zdziwiony tą niesłychaną nieświadomością.

— Nie wiedziałam — odrzekła i dodała: — Pan po-
wiada, że prawo jest bezwzględem dla włościan, — czyż nie
jest równie bezwzględem dla Gwoździka?

Piotr Iwanowicz zżymnął się, jakby chcąc dać poznać, że niema prawa odpowiadać na takie pytania i żegnając się powtórzył, że »zrobi stanowczo wszystko, co może dla tych nieszczęśliwych, winnych wobec prawa i niewinnych wobec sumienia«. Powiedziawszy ten nonsens, niekłopotując się sprzecznością między prawem i sumieniem, pożegnał się i wyszedł, zachwycony w duszy swoim faktem.

— Zdaje się, że wszystko idzie dobrze — pomyślał i wróciwszy do domu, zadowolniony jak aktor z wypełnienia swej roli, zdjął wizytowy kostium i siadł do obiadu z dobrym apetytem.

XIX.

Wiadomości, zakomunikowane przez Łupińskiego, nie zadowolniły Tatjany Mikołajówny. Nie zważając na pozorną otwartość pana marszałka, czuła, że czegoś nie domawia, że unika szczegółów; i chociaż zapewniał, że wójt będzie zmieniony, kapitały włościan skontrolowane; słowem, pokazywał w oddaleniu rozmaite dobroczynne zmiany, jednak mówił to wszystko tonem, z którego należało wnioskować, że sam nie wierzy w to, co mówi. Odszedł, zostawiając Orłową wcale nie uspokojoną: praca komisji śledczej nie wróżyła nic dobrego dla włościan, a decyzja Izby, którą miał nadzieję *ośłodzić* Łupiński tylko za wpływem gubernatora, i która zresztą zależała od wielu warunków, nie dawała żadnej rękojmi szczęśliwego zakończenia sprawy. Z natury czynna i unosząca się, postanowiła wpłynąć na sprawę własnymi siłami. Zapewne, nie wiele może, — ale to co może, stanowczo robi! Najpierwej potrzebowała poznać jak najwięcej szczegółów — i szczegóły popłynęły do niej ze wszystkich stron. Komuś udało się dowiedzieć, co robiła komisja na miejscu, w gminie, i co postanowiła w drodze. Kołobow jakoś dostał się do więzienia i przyniósł kopię znanej czytelnikowi skargi włościan do gubernatora. Ojciec Aleksander,

jawnie prześladowany przez komisarza, przyjechał do miasta i uzupełnił te wiadomości rozmaitemi detalami. Takim sposobem otrzymano zwięzły ciąg faktów poprzedzających »bunt«.

Zebrawszy takim sposobem najpewniejsze wiadomości, niektóre liczby i dokumenta, Tatjana Mikołajówna ulżyła swemu zmartwieniu, przygotowując korespondencyę do jednej ze stołecznych gazet i pisząc list prywatny do gubernatora. Nie wiedziała nigdy gubernatora nawet zdaleka, od Łupińskiego dopiero przypadkiem dowiedziała się, jak się nazywa, — ale dla wypowiedzenia prawdy nie potrzeba znajomości. Po kilku bezsennych nocach, nawet w tajemnicy od męża, list został napisany. Nie był to anonim: mówiąc wyłącznie prawdę, niepotrzebne incognito. Postawiła datę, przeczytała list raz jeszcze od początku do końca i nie była z niego zadowolona. W wielu miejscach wydał się jej teraz za ostrym, w ogóle — za długim. Ale myśli i słowa płynęły z duszy, więc obawiała się wyrzucić cokolwiek, by nie popsuć wrażenia całości.

XX.

Naczelnik gubernii, w której leżała »niespokojna« gmina, Michał Dymitrowicz Stolarow, miał okazałą powierzchowność i poważne spojrzenie, które umiał zmieniać na łaskawe dla zależnych od siebie, przyjemne dla niezależnych i czule dla pięknych dam. Do pięknych dam czuł szczególną słabość. Miał 50 lat z górą, a powiadają, że to najbardziej krytyczny wiek! Michał Dymitrowicz poranki poświęcał pracy, a przy tych nudnych sprawach, patrząc na pełną uszanowania, gładko wygoloną twarz swego sekretarza, myślał o przyjemnych godzinach, które przepędzi w domu Zeneidy Lwowny.

Zeneida Lwowna Kulibowna była różą (prawda, trochę przywiedłą) między kołacemi cierniami jego służbowych obowiązków. Przeżyła już trzech pompadurów i przy obecnym kończyła tylko to, co zaczęła przy jednym z jego poprzedników,

dobrym, jak powiadają kupcy, na początek. Posiadała męża, rodzinę, przyzwoite towarzyskie stanowisko, — ale przeniosła nad to wszystko stanowisko... pompadury. Nosiła tytuł jaśnie oświeconej, policya rozpędzała przed nią tłum w publicznych miejscach, urzędnicy od szczególnych poleceń służyli jej za adjutantów; maleńki Połow haftował dla niej pantofle na atlasie; u domu jej palily się, na rachunek miasta, latarnie, wskazując rzeczywistą drogę do... dobrych miejsc. Dla sprytnych i kombinujących ludzi droga ta była pożądana i znana.

Będąc w tym fatalnym wieku, kiedy już dawno, według przysłowia zakradł się do brody biały włos a do duszy szatan, Michał Dymitrowicz zapalał się, jak młodzieniec i spieszył żyć, jakby się obawiał stracić właściwy czas. Niestety! nie zważając na swoją służbową godność, petersburską działalność, wspinała prezentacyę, wysokie stanowisko i dorosłych synów, jego ekscelencya był zakochany, jak prosty podporucznik! Wszyscy to widzieli, choć udawali, że nie widzą. Zenejda Lwowna była celem wszystkich jego myśli, jej obraz z zadumanemi, trochę podkreślonymi oczyma, ciągle tkwił przed nim, kusząc i razem pocieszając poważnego administratora wśród ciężkiej obowiązkowej pracy około zarządu; ten zachwycający obraz stał przed nim, kiedy był zmuszony robić wymówki, gdy słuchał raportów, podpisywał papiery, grał w jerałasza i kładł się spać. Nic gorszego nad spóźnioną miłość: czekać nie ma czasu, więc spiesząc się, poważny człowiek naraża się na śmieszność.

Michał Dymitrowicz otrzymał przed chwilą sztafetę od sprawnika, — jest poruszony i niezadowolony. Naruszenie błęgiego pokoju zawsze niemile, ale obecna nieprzyjemność była tem większą, że niweczyła mu pewne plany. Miał wyjechać na rewizyę gubernii, by towarzyszyć Zenejdzie Lwownie do jakichś wód (choć to wcale nie było po drodze). Owo spodziewane *tête à tête* w osobnym oddziale wagonu dawało mu rozkoszne bicia serca. Jego ekscelencya marzył właśnie o przyjemnościach projektowanej *partre de plaisir*, gdy nagle u niego w gubernii i to jeszcze u wzorowego komisarza Gwoździka — bunt!

Prośba sprawnika o pomoc wojskową świadczyła, że sprawa przyjmuje tak poważne rozmiary, iż miejscowe środki jej poddać nie mogą.

Zadzwonil, chciał po kogoś posłać, rozkazać, ale przypomniał sobie, że u Zeneidy Lwowny dziś wieczór, jej *jour fixe*, rozmyślił się i zaczął się ubierać. I tak już spóźnił się o całą godzinę! Wzruszony i nieukontentowany, nie uważał przy kartach, opuszczał lewy, gniewał się na partnerów; a jakiś pan, co przybył ze swojej pustyni z czolobitnością do Zeneidy Lwowny, był bardzo zdziwiony, że partya z gubernatorem, na którą wiele liczył, w rzeczywistości okazała się tylko ciężkiem brzemieniem. Siedział naprzeciw Michała Dymitrowicza, jak na ławie obwinionych i kiedy, przegrawszy wielką jakąś grę, jego ekscelencya rzucił kredkę z taką siłą, że się rozkruszyła, pan ostatecznie przeraził się. Michał Dymitrowicz był ponury, jak niebo jesienne, — i nawet blizkie sąsiedztwo Zeneidy Lwowny nie mogło rozproszyc chmur jego złego humoru. Zeneida Lwowna stała za fotelem, postukując zlekka wachlarzem w wysoki poręcz, uśmiechając się i zamieniając spojrzenia z elegancką gubernialną *jeunesse dorée* — i kiedy Michał Dymitrowicz, przejrzawszy karty, zawołał z gniewem: *Quel guignon!* zrozumiała, że potrzeba użyć środków silniejszych. Podeszła do stołu i oddając wachlarz małemu Polowu, powiedziała z uśmiechem: *«Je vais changer la face du jeu»* i usiadła na miejscu nieszczęsnego pana. Siadła do kartowego stołu z taką miną, jakby miała dać koncert; poprawiła suknię i błyskając swemi czarnemi, jeszcze pięknemi oczyma, zaczęła rozdawać karty, rozrzucając je po całym stole.

— *Merci! pardon!* — mówiła przewracając oczy i uśmiechając się, kiedy jej podawano ślizgające się po stole i padające na ziemię karty.

— *Nous allons gagner, n'est-ce pas?* — kiwnęła główką partnerowi i dźwięk miłego mu głosu wywołał pierwszy tego wieczora uśmiech na surową twarz jego ekscelencyi. O północy, przed końcem ostatniego robra, dyżurny urzędnik kancelaryi

gubernatora, na wpół senny, z powodu spóźnionej pory — i w wytartym mundurze, dzięki oszczędnej pensyi, przyniósł jego ekscelencyi nową depeszę z Sosnówki. Była to sztafeta Łupińskiego. Widząc urzędowy papier, skrzywiła się Zeneida Lwowna i kładąc swą delikatną, całą w pierścieniach, rączkę na szarą kopertę, powiedziała stanowczym tonem, że nie pozwoli psuć swego wieczora jaką może nieprzyjemną wiadomością.

Michał Dymitrowicz schylił głowę z pokornym uśmiechem; w czasie obliczania jednak. zajrzał do depeszy i dowiedział się, że żadnej pomocy wojskowej niepotrzeba, że to było tylko nieporozumienie ze strony sprawnika; nazwał więc starego sprawnika starym osłem i poszedł z lekkim sercem na kolację. Uspokojony, stał się znowu wesołym, przyjemnym i zakochanym: powiedział coś grzecznego swemu przerażonemu partnerowi, pożartował z urzędnikiem Izby obrachunkowej, uchodzącym równie za zakochanego, i oddając zarządzającemu kancelaryą uspokajającą depeszę, postanowił przesłać sprawnikowi ostrą nagane.

Na trzeci dzień przyszła nowa depesza, w której Piotr Iwanowicz donosił, że rozruch uspokojony, że on osobiście wziął udział w wyjaśnieniu smutnych nieporozumień i że prosi jego ekscelencyę o przykładowe ukaranie winnych, z których sześciu, wraz z głównym podżegaczem Piotrem Podgórnym, wzięto z rozkazu prokuratoryi do więzienia. Tegoż samego dnia wysłano z kancelaryi gubernatora dwie nagany: jedną Gwoźdżikowi, który przyjął ją zupełnie obojętnie; — drugą sprawnikowi, którą stary tak wziął do serca, że się rozchorował na seryo. Z biednego Kirylla Siemionowicza stanowczo wszyscy byli niezadowolnieni: Gwoźdżik wylał go za to, że nie umie obchodzić się z chłopstwem i żąda wojska, gdy dość »ot tego«, to jest pięści.

— Ja ich nauczę buntować się! — krzyczał co wieczora w klubie, obiecując zaćwiczyc całą gminę.

Piotr Iwanowicz i prokurator wymawiali sprawnikowi brak taktu, a śledczy utrzymywał, że on popsuł całą sprawę.

Biedny stary, otrzymawszy zamiast awansu, a przynajmniej zwyczajnej pieniężnej nagrody, nagane, ze zmartwienia rozpił się ostatecznie. Zbitý był zupełnie z tonu i zdecydował, że dogodzić władzy niema możności.

— Nie potrafisz żadnym sposobem — mówił siedząc sam na sam z butelką. — W Borysowie nagana za to, że nie żądał wojska, — tu nagana za to, że prosił o wojsko! Dogodź że im... Dziwaki... — prawil patrząc na ścianę i nie wiedząc oczywiście, gdzie się znajduje.

Stary całe życie starał się pogodzić ideę służby z ideą dogodzenia władzy i nigdy mu się to nie udawało. Przy końcu kariery służbowej ten zawód był za bolesnym, więc biedak pocieszał się. W sekrecie przed rodziną, za pomocą wiernego stójkowego, który równie lubił lyknać, ustawiał powoli pod swoim łóżkiem całą baterję próżnych butelek...

Po urzędowych naganach dostawało mu się jeszcze od żony i córki; wymyślały mu za to, że w domu brakło pieniędzy.

— Nie wynajdziesz prochu, tobyś się nie porywał — gniewnie mówiła żona, oplakując utratę nadziei na pieniężną nagrodę.

— Papa zawsze się odznaczy! — mówiła złośliwie Liza — a my z mamą za wszystko musimy odpowiadać.

Liza miała siedmnaście lat, niedawno skończyła żeńską szkołę powiatową i uważała siebie za osobę dobrze wychowaną, rozumną i salonową. Usta miała pełne, czerwone; oczki szare, śmiejące się i świeże różowe policzki; ubierała się, tańczyła, wyglądała starających się, — a chociaż tak młoda, umiała już żyć dla siebie i myśleć tylko o sobie.

Niesprawiedliwość żony i córki głębiej jeszcze ubodły biednego starca; on dla nich robił co mógł, nawet czasem wbrew sercu i sumieniu; oddawał im wszystko, co zarabiał, a one powstawały na niego w najcięższej chwili życia! Wypróżniwszy butelkę do dna, posłał wszystkich raz jeszcze do

wszystkich djabłów, a jego zamglone oczy straciły zdolność rozróżniania przedmiotów.

Za to Piotr Iwanowicz okrył się świetną chwałą; okazał się sprężystym, liberalnym, nawet wspaniałomyślnym. Nikt nie znał treści jego depesz do gubernatora, ale wszyscy wiedzieli, że obstawał za włościanami i odwiedzał zamkniętych w turmie. Wprawdzie, odwiedzać turmę był obowiązany, jako prezes więziennego komitetu, ale Piotr Iwanowicz umiał się urządzać w taki sposób, że mu liczone za zasługę wypełnianie nawet najprostszych obowiązków. Chodził poważnie w swojej czapce z czerwoną obwódką, z parasolem i uśmiechem wielkiego administratora, a wszyscy zeznawali, że za plecami takiego człowieka można spać zupełnie spokojnie.

XXI.

Przeszło dwa tygodnie. Wypadki w Wileczej gminie zacieraly się powoli w pamięci. Gwoździak rządził i sądził, Kułak powrócił do obowiązków wójta, Kureczka dostał pieniężną nagrodę za okazaną w czasie buntu przytomność, śledczy zawsze coś pisał, a sześciu włościan siedziało w więzieniu za cudze grzechy.

W gubernii panowała letnia cisza. Jego ekscelencya był gdzieś na rewizyi, czy na wodach, gdy nagle w gazetach zjawiała się korespondencya, opowiadająca wypadki w Wileczej gminie. Z charakteru korespondencyi, chociaż bardzo skróconej, w powiecie poznali zaraz autora. Piotr Iwanowicz, bijąc się w czoło, zawołał: »a co? nie mówiłem?!« Zresztą prędko się uspokoił, bo przekonał się, że wiadomości, podane w korespondencyi, nie tylko nie kompromitowały go, ale przeciwnie, całą jego działalność wystawiały w bardzo pięknym świetle. Jednocześnie rozeszła się wieść, że gubernatorowi, wracającemu z wycieczki, wręczono list Tatjany Mikołajówny, który zawierał całą gorzką prawdę o Sosnowieckiej historyi. Ten list i ko-

respondencya w gazecie zrobiły wielkie wrażenie na całej gubernii, budząc znowu na chwilę towarzystwo śpiące, lub zajęte wyłącznie własną kieszenią. Dla wielu stanowiło to przynajmniej rozrywkę wśród zwyczajnych prowincjonalnych nudów. W guberskim klubie wyrywano sobie biedny, wymięty od czytania numer gazety, a z kancelaryi dawano znajomym list do przeczytania. Robiono poszukiwania kto to taki ta Tatjana Mikołajówna? z kąd się wzięła? Dlaczego obchodzą ją włościanie? czy niema w tem «czegoś takiego»? Opowiadano, że Orłowie ludzie nowi w tym kraju, niezależni — i dlatego niespokojni. Wyjawszy kilku, nie wiele znaczących ludzi, wszyscy stanęli po stronie Gwoździka: cała rzesza jego gubernialnych przyjaciół, wszyscy ci, którym pożyczał, dostarczał zwierzyzny lub starki. Kilku bezstronnych próbowało bronić Tatjany Mikołajówny — ale słaby głos ich zgiął w masie ogólnych obwinień. Stefan Piotrowicz powiedział, że on wie *d'où ça vient*; prezes Izby skarbowej, który świeżo otrzymał od Gwoździka sarnę, utrzymywał, że to powiatowe plotki, które przypadkiem dostały się do literatury.

— Jednakże, jak tam sobie chcecie — mówił Polański, znany z niepodległości swych przekonań — ale Gwoździkowi będzie przykro przeczytać to... Są przecie i fakta, i cyfry...

— Co do tego bądź spokojny, *mon cher*! — rzekł prezes, poprawiając bransoletę. — Gwoździk nie nie czyta, *pas si bête* — dodał śmiejąc się.

Na muzycznym wieczorze u Zeneidy Lwowny mówiono także o tym liście: znawcy literatury utrzymywali, że nie źle napisany, tylko za ostro, niewłaściwie dla kobiety; Zeneida Lwowna głową ręczyła, że »Gwoździk nie może być winien,« a gdy Michał Dymitrowicz odwołał jednego z urzędników i zaczął gorąco coś mu tłumaczyć, Zeneida Lwowna, przechodząc obok pod rękę z Połowym, powiedziała z ruchem pełnym gracyi, kiwając główką: — *Soyez élément pour notre cher Gwoździk.*

Michał Dymitrowicz i bez tego chciałby okazać swoją *clémence*, puścić całą sprawę pomimo uszów, posłać zresztą co najwięcej drugą naganę Gwoździkowi; ale gdy z Petersburga otrzymano pakiet, zawierający ową korespondencję, z podkreślonemi złowieszczco, czerwonym ołówkiem, ustępami; kiedy Bóg wie, jakim sposobem wypłynęła znówu na wierzch sprawa Gabryka Szczolkuna, przy podobnej do niej sprawie jakiegoś włościanina zrujnowanego, oćwiczzonego i wysiedlonego za fałszywym werdyktem gromady przez komisarza Iwanowa; gdy rozeszła się wiadomość o zaćwiczeniu na śmierć przez Grochotowa jakiegoś włościanina Michałowskiej gminy, o znikaniu lasów z majątków znajdujących się pod opieką, o niesprawiedliwym nadziale gruntów obywateli Korolewa, i tak dalej... gdy wszystkie te wieści, przedarłszy się niewiadomo jakim sposobem z rządowych sfer na ulicę, stały się własnością tłumu i z łatwością mogły wśliznąć się do gazet, — wówczas biednemu Michałowi Dymitrowiczowi było nie *clémence*! Musiał więc nakazać rewizję we wszystkich gminach, ze zwróceniem szczególnej uwagi na buntowniczą gminę. Pan Chwostowski znany był w swoim kółku, jako głęboki polityk, jego słowa bywały przytaczane, jako kwintesencya gubernialnej mądrości, i Michał Dymitrowicz liczył na niego bardzo wiele. Ten gubernialny Bismark umiał wychodzić z honorem z najdrażliwszego położenia; jechał z całkowitem pełnomocnictwem, ale z zaleceniem »nie wynoszenia śmiecia z izby,« co wówczas było hasłem całej wewnętrznej polityki i podniecało działalność apostołów jedności państwowej.

XXII.

Jednego pięknego poranku w mieście i okolicy rozeszła się wieść o blizkiej rewizji wszystkich gmin. Łatwowierni zachwycali się, doświadczeni i sceptycy kiwali głowami i ręczyli, że to do niczego nie doprowadzi. Ale w ogóle, nie zważając

na oparte na historyi niedowierzenie ku temu sposobowi poszukiwania prawdy, ludzie dobrej woli, z prostego społeczcia dla nieszczęśliwych pragnęli wierzyć, że rewizor, człowiek obcy, nie związany miejscowymi stosunkami, rozplące ten węzeł, który zaciągał się powoli jak stryczek na szyi starego Podgórnego. »Przyjedzie rewizor, wszystko rozpatrzy bezstronnie«, mówili po wioskach i niecierpliwie oczekiwali rewizora. Gwoździk, mający przyjazne stosunki z całym urzędniczym światem gubernii, wyjechał na jego spotkanie do pierwszego przepręgu i razem odprawili tryumfalny wjazd do powiatowego miasta. Było to przepowiednią i niejako programatem przyszłej działalności rewizora i najłatwowierniejsi zaczęli wątpić.

Na drugi dzień urzędnik gubernialny oddał wizyty urzędnikom powiatowym: jadł obiad u p. marszałka, pił herbatę u jednego ze skompromitowanych komisarzy; wieczorem spacerował na bulwarze pod rękę z Gwoździkiem, wyśmiewając głośno przedczesne mody powiatowych pań. Przy obiedzie u marszałka nie chciał mówić o niczem poważnem: prawil żartobliwe grzeczności pani marszałkowej, biorące za dobrą monetę wszystkie jego dyplomatyczne *kluczenia*; zrobił jakąś złośliwą uwagę o powiatowych szynionach, a tymczasem wyciągnął powoli wszystko, czego mu było potrzeba. Po obiedzie przy kawie, rozsiadłszy się na kanapie wygodnie, pod wpływem zapewne szampańskiego i wypitych za jego zdrowie toastów, dmuchając dymem papierosa na gospodynię domu, zapytał niedbale o Orłową. Pani marszałkowa mówiła o niej z pobłażaniem, pan marszałek nazwał złośliwie »powiatową literatką,« Gwoździk życzył jej choroby języka — i wszyscy śmiali się.

We dwa dni później, znanym czytelnikowi czernichowskim powozem, uprzejmie, choć z bólem serca pożyczonym przez p. marszałka rewizorowi, ten ostatni z Gwoździkiem wyruszył do dalekiej Wilczej gminy. Zepsuty swoim służbowem *far niente*, rewizor miał sobie tę wyprawę za czyn wielce bohaterski. W głębi duszy widział w niej tylko stratę czasu, który

możnaby było użyć daleko przyjemniej, ale stosując się do życzenia gubernatora, zabierał się odegrać swoją rolę zupełnie na seryo. Pogoda była śliczna, jechali przez rozkoszne zielone błota i myśliwskie serce Gwoździka biło gwałtownie za każdym razem, gdy przestraszone urzędowym dzwonkiem stado dzikich kaczek porywało się z hałasem z trzciny i znikало w błękitach horyzontu.

— Widzi pan, widzi pan... — mówił do drzemiącego spokojnie towarzysza podróży, pokazując czarne punkciki w oddaleniu. I gotów był wyskoczyć z powozu.

Wyprawiwszy rewizora, Piotr Iwanowicz był bardzo niepokojny: Gwoździkowi nie wierzył wcale; Kułak wyszedł z pod jego bezpośredniej władzy i rewizya mogła odkryć grzechy dotyczące się sprzedaży lasów i operacyi. Myśląc więc o tem wszystkim, był prawie w gorączce, a rankami dostawał nawet czasem rzeczywistych dreszczów. Żona sprowadziła doktora; ale, kiedy Iwan Iwanowicz, opatrzywszy język, policzywszy puls, zapisał podług zwyczaju rycynowy olej, pan marszałek nie wytrzymał:

— Żartujesz pan, czy co? Moje nerwy... rozumiesz pan, nerwy!... — zawołał zrywając się — a pan mi zapisuje rycynowy olej, jak uczniowi gimnazjum! Idź pan do diabła ze swoim olejem!

Zdziwiony takim nagłym protestem, doktor ścisnął ramiona; pomyślał, że panu marszałkowi potrzeba rzeczywiście czegoś mocniejszego i odszedł kręcąc głową. Jako człowiek bardzo nerwowy Piotr Iwanowicz prawie dostawał pomieszania, gdy go coś niepokoiło. Ale niepokoić się, chwala Bogu, nie było czem: przecie nieposłuszna gmina dawno wróciła do posłuszeństwa. Wszystko było, a przynajmniej wydawało się spokojnem w niby uśpionej wiosce, kiedy rewizor z Gwoździkiem podjechali do Zarządu. Kułak wiedział o przyszłej rewizyi i przygotował się. Żadne niebezpieczeństwo nie groziło: wszystko, co energiczniejsze, siedziało albo pod mocnemi zamkami po-

wiatowej turmy, albo pod kluczem wójta; reszta skarżyć się nie będzie; wójt jest pewny.

Rewizya odbyła się we dwie godziny: książki, rachunki, pieniądze — znalazły się w zupełnym porządku; zarzucić można było chyba drobne kancelarskie omyłki... Przywołano kilku włościan, którzy z przestrachu nie wiedzieli po co ich wołają i co potrzeba mówić.

— Z czego jesteście niezadowolnieni? — zapytał groźnie rewizor wyszedłszy na ganek.

— Wybaczcie, wasza wielmożność, ze wszystkiego zadowolnieni...

— Czemuż nie chcieliście Kulaka na wójta?

— Zniszczył nas, wasza wielmożność. Macie, powiada, po jednym wole, a ja tak zrobię, że na siedm chat będzie jeden wół; powiadacie, hultaje, żem was żydom zaprzedał, a ja was sprzedam cyganom.

Rewizor z uśmiechem popatrzył na Gwoździka, dziwiąc się niepomiernej głupocie włościan.

— Głupstwa prawia, wasza wielmożność... Wiadomo... prostactwo chłopskie... — rzekł nizko kłaniając się rewizorowi Kulak.

— Może was kto podżegał? Może Podgórny? — zapytał rewizor badawczo patrząc na włościan.

— Nikt nas nie podżegał — powiedział Stefan Batiuk.

— Cóż mamy na kogoś składać — surowo dodał Tomasz Rybak.

— Sami nie mogliśmy wytrzymać — rzekł jakiś głos i zamilkł, jakby przestraszony własnem brzmieniem.

— No, dobrze! ruszajcie sobie.

Tak odprawivszy chłopów, zmęczony rewizor zabrał się do śniadania, które przygotował Gwoździk, mający się tu za gospodarza. Przekąsił, odpoczął i w godzinę później wyjechał, układając w myśli treściwy a wymowny raport do władzy.

XXIII.

W powiatowem mieście tymczasem niecierpliwie oczekiwano skutków rewizyi, rzeczywisty bowiem rezultat nie był dotąd znany, pomimo różnych wiadomości żydowskich, którym nie bardzo wierzono. Nakoniec w 5 dni po wyjeździe rewizora z miasta, przyszły pewniejsze wieści, przywiezione przez jakiegoś wiarygodnego Icka, któremu powiedział wiarogodny Sruł, że słyszał od samego Mejera, iż rewizor pojechał już do innego powiatu, że bardzo zadowolniony z rewizyi, że włościanie nie skarżyli się i że wszystko w porządku. Piotrowi Iwanowiczowi ciężar spadł z duszy; gotów był uściskać i Sruła, i Icka, i Mejera... Na domiar szczęścia tegoż wieczora powrócił i powóz z krótką karteczką dziękczynną od rewizora, i pan marszałek powrócił całkowicie do dobrego zdrowia i humoru. Oddawał teraz w duszy sprawiedliwość Chwostowskiemu, którego dotąd miał za próżnego samochwałę; nazwał porządnym chłopakiem Gwoździka, kupił dzieciom węgierkę i poszedł spacerem odwiedzić chorego sprawnika. Starzec już nie wstawał z łóżka; źle z nim było. Ale w domu widocznie nikogo to nie obchodziło: dzieci krzyczały w sąsiednim pokoju, żona na ganku smażyła konfitury, Liza w nakrochmalonych spodnicach kręciła się przed lustrem w salonie, przymierzając jakiś stroik; słowem nic nie wskazywało, że niebezpieczny stan gospodarza domu może lada chwila zmienić cały porządek życia, łamiąc główną jego sprężynę. Piotr Iwanowicz, przyzwyczajony u siebie w domu do ogólnego poważania, był bardzo zgorszony tym brakiem troskliwości o głowę rodziny; był nawet oburzony i szczerze żałował starca, który wśród swoich umierał samotny.

— A co, jak choremu? — cicho zapytał Lizy, wchodząc do sali.

— Zawsze jednakowo — odpowiedziała obojętnie, prosząc go by usiadł.

— Czy ten hałas mu nie dokucza? — wskazał na dziewczynki, z których jedna, niezgrabna i gruba, wydierała u niej jakąś zabawkę.

— Nie, on nie słyszy.

W tej chwili, jakby na zaprzeczenie tych słów, z pokoju chorego usłyszano rozmowę.

— On, zdaje się, woła kogoś — powiedział Piotr Iwanowicz, przysłuchując się.

— Katia! — krzyknęła Liza, tupiąc nogą — przestań! Papa woła — idź!

Katia pobiegła i zaczepiwszy łokciem o klamkę, weszła do pokoju ojca. Słysząc było jakąś rozmowę, potem sprzeczkę... nakoniec Katia wybiegła z głupim śmiechem. Miała, niestety, twarz zupełnej idyotki!

— Papa chce palić... »papierosa, papierosa!« powtarza, a Kuźma mówi: »niemożna Panu, spali pan znów prześcieradło.« Cha, cha, cha... — zaśmiała się dziewczynka. — Papa taki śmieszny... dałam mu niezapalony papieros, a on go rzucił. — I znowu zachychotała.

— Ciągłe nieprzytomny: poprosi o coś... i rzuci — tłumaczyła Liza. — Niedawno rzeczywiście spalil prześcieradło... teraz zapalonych papierosów nie dajemy. Wszystko jedno... nie rozumie.

— Kto jest u niego? — zapytał Łupiński, zabierając się do wyjścia.

— Kuźma, stójkowy; on papę doskonale rozumie. Może pan zechce wejść?

— Nie, nie!... — nastraszył się Piotr Iwanowicz. — Po co niepokoić chorego? Ja tylko na chwilę...

I zaczął się żegnać, czując, że mu powraca gorączka. — »Mój Boże, myślał, stójkowy pilnuje, papierosa nie dają, droczą... nieszczęśliwy!« — I pospieszył uciec, kłaniając się Lizie we drzwiach.

Na ganku zatrzymała go sprawnikowa. Czerstwa nad wiek, czerwona, z zatoczonymi rękawami, cała pogrążona w trudnem

zadaniu smażenia konfitur, ze drżeniem oczekiwała chwili, znanej u gospodyń, pod nazwą »perłowego kipienia.«

— Widział pan? — zapytała Piotra Iwanowicza, zdejmując konfitury z fajerki i nie czekając odpowiedzi. — Iwan Iwanowicz powiada, że może tak długo pociągnąć, a tu ja koniecznie muszę Katię odwieźć na naukę...

— Zmiluj się, pani; jakże można teraz wyjeżdżać? — powiedział Łupiński, śledząc uważnie posuwanie się łyżki, którą sprawnikowa zdejmowała pianę.

— Ależ Kati gwałtownie potrzeba uczyć się... czas uchodzi — odpowiedziała za matkę Liza, ze śmiesznym wyrazem troskliwości na swojej obojętnej młodziutkiej twarzy.

— Czyż nie można poczekać? powiedział, żeby cokolwiek powiedzieć Łupiński, dziwiąc się w duchu, dlaczego potrzeba było uczyć, widocznie do żadnej nauki niezdolną Katię.

— A jeżeli papa pożyje jeszcze półtora roku? — odparła naiwnie Liza. — Katia musi się uczyć, a tymczasem mama ręce ma związane.

Pomimo całej swej przytomności umysłu, Piotr Iwanowicz nie znalazł odpowiedzi stosownej... Zaczął się żegnać, ale sprawnikowa go zatrzymała.

— I powiedzieć, że wszystkiego ten głupi bunt narobił! Bo to ostatecznie go dobiło... Potem jeszcze ten przekłety artykuł w gazetach... Nigdy się tego nie spodziewała po Tatjanie Mikołajównie, — Pan Bóg jej tego nie przebaczy! Dla jakichś tam chłopów wyrządzić taką przykrość znajomym... czy to kto widział kiedy?

Pokosztowała konfitur, oddała łyżkę Lizie i mówiła dalej:

— Oczekiwał nagrody — a otrzymał naganę... no i nie mógł wytrzymać.

Zapłakała, nieudane łzy pociekły po jej czerwonej twarzy. Piotr Iwanowicz pośpieszył odejść, czując już dreszcze.

Na bulwarze spotkał Orłowych.

— Byłem dopiero u Kiryły Siemionowicza — powiedział, idąc obok Tatjany Mikołajówny i nie uważając jej obojętnego ukłonu.

— Cóż, jak się ma?

— Bardzo źle; zresztą, przyznam się, że nie widziałem go; żona powiada, że to Sosnowiecka sprawa go zabiła.

— Doprawdy? — spytała z roztargnieniem i zaraz dodała — a pan słyszał, że stary Podgórny umiera w turmie?

— To jest, nie umiera jeszcze — poprawił z grzecznym uśmiechem — ale stary rzeczywiście bardzo osłabiony. Cóż robić? lata...

— Ależ to oburzające! — zawołała Tatjana Mikołajówna, zatrzymując się nagle i patrząc prosto w biegające oczy Piotra Iwanowicza.

— Cóż robić, pani... prawo! Robilem, co mogłem: pisałem do gubernatora, przedstawiałem rozmaite zmniejszające winę okoliczności... za mojem staraniem zmieniono nakoniec Kulaka...

— Więc to prawda? — zapytał Orłów, który dopiero powrócił ze wsi i tam słyszał różne szczegóły o wyborze nowego wójta.

— Najzupełniejsza — odpowiedział Łupinskij. — Z mojej strony postawiłem to, jako warunek *sine qua non*... Powiedziałem to wyraźnie i Chwostowskiemu, i Gwoźdżikowi...

— Dobrze, że ta historya choć na cokolwiek się przydała — powiedział z ironią Orłów. — Jakież nadużycia odkryła rewizya?

— Ważnego, naturalnie, nie... małe kancelarskie omyłki, niezachowanie należnych form...

— Tylko? — zapytała zdziwiona Tatjana Mikołajówna. — A czynsze? a stójka? a pięściowe rozrachunki Gwoźdżika, i t. d. i t. d.?

— Wszystko to okazało się plotką...

— Nawet to, co mi pan sam powtarzałeś ze słów włościan? — zapytała, nie miarkując już gryzącego tonu.

Piotr Iwanowicz na chwilę zmieszał się, lecz natychmiast wrócił do swojej roli.

— Na miły Bóg, pani, czyż te szczegóły mogły być wypowiedziane rewizorowi przy Gwoźdżiku?

— A jakże pan... — zaczęła Tatjana Mikołajówna, ale Piotr Iwanowicz nie dał jej dokończyć.

— Cóż ja? — zawołał z gorzkim uśmiechem. — Cóż ja mogę zrobić? za co mam odpowiadać? Kiedy przedstawiam na komisarza mego kandydata, Weredowicza, najuczciwszego człowieka w świecie, to mi przysyłają jakiegoś urwisa, Grochotowa! Nie Tatjano Mikołajówna, dopóki gubernator dba o to tylko, aby »niedyskredytować władzy,« — podkreślił gubernatorskie słówko — dopóty rozmaici Gwoźdżikowie, Kutiejnikowie, Grochotowie, będą jak u p. Boga za drzwiami, przepraszam za gminne wyrażenie... Sosnowiecką sprawę mamy przed oczyma — i cóż? Pani pisze korespondencyę, ja przedstawiam jego eksceleneyi fakta, a rewizor znajduje, że korespondencya wyegzaltowana, a w gminie... wszystko dobrze; a to dla tego, żeby »nie dyskredytować władzy!«

Piotr Iwanowicz był wzburzony i zbijał łaską główki *kulbaby* z takim zapalem, że ledwo nie dostawało się przechodzącym.

— Wierzcie mi państwo — dodał wzruszonym głosem i zupełnie poufnie, że dawnobył ztąd uciekł, nie oglądając się, gdyby nie nadzieja zrobienia dla włościan choć tej odrobiny dobrego, którą mogę zrobić...

W głosie były łzy; mówił z takim uniesieniem, że Tatjana Mikołajówna znowu mu uwierzyła; a na drugi dzień Kołobow mówił do niej ze swoją zwykłą grubiańską otwartością.

— Niech mu pani nie wierzy, wszystko łże... Siedzi, bo w mętnej wodzie ryba daje się łapać...

— Ależ, Piotrze Dymitrowiczu...

— Zobaczysz pani, zobaczysz! kiedyś to wszystko, jak oliwa na wierzch wypłynie... A ja tu, do pani dwóch znajomych

chłopów z Wilezej gminy przyprowadziłem, przyszli swoich nawiedzić, a tu do turmy ich nie puszczają.

— Jakto nie puszczają? dla czego?

— Tak, prokuratora, powiadają, niema, a bez niego nie można.

— Ach, Boże! jakżeby to zrobić?

— Niewiem jak, chyba tego łotra poprosić?

— Rozumie się że poproszę... zaraz napiszę...

— Niech pani popróbuje... Tak z daleka przyszli... może od rodziny gościniec przynieśli...

— Gdzież oni są?

— A tu, u pani, na ganku, zaraz zawołam. Przyszli w sekrecie od komisarza, boją się Gwoździka.

Kołobow wyszedł i wkrótce powrócił z włościanami. Byli to znajomi Tatjany Mikołajówny: Filip Tyliput, który jakimś wypadkiem uniknął turmy i Tomasz Batiuk, przezwany Rybakiem. Koltuny, swity, szkaradne czupryny, opalone, zbiedzone twarze — nic się nie zmieniło. Obiecawszy napisać do marszałka, Orłowa zaczęła rozpytywać o rewizyę, o wybór wójta, o gromadzkie sprawy. Włościanie z początku odpowiadali niechętnie, potem Tomasz Batiuk, jako młodszy, ożywił się trochę i rozgadał w swoim oryginalnem narzeczu.

— Po tych wszystkich u nas zamieszaniach — zaczął opowiadać — rozeszła się po gminie pogłoska, że rewizor z gubernii jedzie. Nastraszyliśmy się bardzo, szczególnie jak nam powiedzieli, że i pan komisarz z nim razem. No, powiadamy sobie, wykręci się nasz wójt! — tak się też i stało.

— Czemuż ty, Filipie milczałeś? — zwrócił się Kołobow do Tyliputa. Przecieżś skargę podpisywał?

— Podpisywałem — powtórzył.

— No, to czemużeś milczał?

— Bo mnie nie pytali, a nawet do zarządu nie dopuścili...

— Ej, bracia! nie umieliście nawet prawdy podtrzymać, a za was ludzie w turmie giną...

— Wasza wielmożność — zawołał zasmucony przymówką Tiliput — pozwól się zapytać, co tam można było zrobić? Pan rewizor pożartował sobie i pojechał, a pan komisarz, ze swoją dobrze nam znaną pięścią, pozostał z nami na zawsze. I chociaż p. komisarz raczy twierdzić, że zaledwie dziesięciu oćwiczyl, to znalazłoby się znacznie więcej, dobrze policzywszy. Gdyby tak pan rewizor przyjechał sam, byłby się dowiedział prawdy, a tak — każdemu żal własnej skóry...

— Jakże się to skończyło? zapytała Orłowa.

— Skończyło się zwykłym sposobem. Pan rewizor wyjął naszą skargę, tę samą, którą Czerkas z Byczkiem do gubernii nosili, ze wszystkimi naszymi chłopskimi podpisami, — wyjął i zaczął czytać. «Cóż ty na to powiesz?» spytał wójta. — »Wszystko, powiada, wasza wielmożność od początku do końca kłamstwo!

— Słyszycie? dzieci?

— Słyszymy, wasza wielmożność!

— No, więc ja wam powiem jeszcze, że skarżyć się możecie, w tem grzechu niema; — ale żeście wymyślili sobie sami wójta zmieniać, to już wielka wina... No, powiada, teraz możecie sobie już iść. Myśmy się rozeszli, a oni zjedli śniadanie i pojechali. Otóż i wszystko!

— Kiedyż nowego wójta wybrali?

— A, to już później, we trzy dni później Michał Iwanowicz przeprowadził rewizora, powrócił i nas znowu zwołał. Jak mnie zobaczył: »aha, powiada, taki, owaki! razem z buntownikami skarżyłeś się! Poczekajcie, gołąbki! Ja was nauczę, zbóje!« i zaczął brzydko łajać, jednak nikogo tego dnia nie wybił. Przystąpili do wyborów: trzy dni nas przetrzymał, a czas był gorący, roboczy... Kogobyśmy nie nazwali, powiada: »nie można!« Każe nam namyślać się, sam jedzie na polowanie — a chleb na polach stoi... Nakoniec trafiliśmy na człowieka, — krewny on Kulaka, człowieczek zupełnie prawie głupi... no, i potwierdził. Kiedy już postanowienie spisano, zaczął do nas mówić: »wy, powiada, głupcy, skarży-

liście się, żem, w przeciągu trzech lat, może dziesięciu z was oćwiczyl? Cóż to ważnego? Gdybym was był wszystkich przećwiczyl, moglibyście się obrazić, — ale dziesięciu?!« — »A choćby nawet dziesięciu? odezwał się Naum Kaczor, to zawsze boleśne.« — »A, drażliwi! ja was nauczę drażliwości!« — i znowu brzydko załajał.

Do turmy włościan nie dopuszczono. Chodzili i do pana marszałka z listem Tatjana Mikołajówny, kłaniali się tam i stróżowi, i kucharzowi, żeby ich zaanonsował; dostawali nawet coś z zauadrza i znowu kłaniali się, — wszystko nadaremnie. Pokazało się, że wpuścić ich do turmy nie można, że prawo w tym wypadku powiada wyraźnie, iż pozwolić na widzenie się z buntownikami, znaczy postąpić wprost przeciw takiego-to paragrafu. Któżby chciał wziąć odpowiedzialność za taki grzech? I Piotr Iwanowicz, naturalnie, nie chciał.

— Cóż robić, coź robić? — mówił ze skrucą — nie nie mogę... prawo...

Wrócili zatem z niezem włościanie do swojej Sosnówki, a w parę tygodni później umarł stary Podgórny i drzwi turmy otworzyły się nakoniec, by go przepuścić na cmentarz. O śmierci jego długo niktby nie wiedział, gdyby przypadek nie sprowadził Orłowych na miejski cmentarz właśnie w czasie, gdy żołnierze miejscowej komendy kopali grób na nieogrodzonym zakątku, gdzie chowano tych, którzy nie mieli przywileju leżeć w ogrodzeniu. Jednemu z pracujących żołnierzy złamał się rydel. Wylajawszy nieboszczyka, stał on i przypatrywał się uszkodzeniu a dwaj jego koledzy, wyrzucając miękką glinę z niegłębokiej jamy, rozmawiali o jakichś cholewach.

— Dla kogo to? — zapytała Tatjana Mikołajówna, zatrzymując się u brzegu mogiły.

— Aresztant zmarł w turmie — odpowiedział jeden z żołnierzy.

— Cóż? na co chorował? niewiecie?

— Kto go tam wie! zapewne śmierć przyszła...

— Mówił stróż, że ze smutku — dodał ten, któremu rydel się złamał. — Powiadał, że ciągle tęsknił do swojej wioski; zdaleka był... nie tutejszy...

— A nie wiecie, jak się nazywał?

— Bóg go wie — odpowiedział obojętnie i porzuciwszy rydel, zaczął zacierać zmęczone dłonie.

— Czy to czasem nie biedny Podgórnny? — pomyślała Tatjana Mikołajówna i spotkawszy powracając Kołobowa, podzieliła się z nim swoim domysłem.

— Dziś jeszcze dowiem się napewno — odpowiedział Kołobow i wieczorem przyniósł wiadomość, że rzeczywiście Piotr Podgórnny umarł dziś rano, a Bazyli Kruk próbował powiesić się. O tem wszystkiem powiedziano mu pod sekretem w szpitalu.

Na drugi dzień o zmroku, w aresztanckim ubraniu, bez śpiewu, bez świec, bez rodziny pochowano tego poleskiego chłopą, który życie dał za swoje społeczeństwo i umierając, nie wiedział nawet, że dopełnił bohaterskiego czynu. Piotr Iwanowicz nakoniec odetchnął swobodnie, a sprawa za N. 629 została skończoną i złożoną do archiwum.

XXIV.

Wkrótce zmarł i drugi bohater Sosnowickiej epopei, stary sprawnik, Kirylło Siemionowicz, rozwiązując nakoniec ręce żonie i córce. Skończył, wypiwszy lafitu i pociągnawszy papierosa, który mu przytrzymał roztropny stójkowy, pełniący swą miłosierną rolę do końca. W ciągu ostatnich dni Kirylla Siemionowicza, żona i córka nastawały na starca, by prosił o dymisyę, jakby obawiały się, by nie służył jeszcze po śmierci. Wetknęły mu nakoniec w rękę pióro i dogorywający bezwiednie, patrząc gdzieś po za papier, podpisał swoje nazwisko. W parę godzin potem skonał... Sprawnikowa płakała,

utrzymując, że to było koniecznem dla pensyi, dla dzieci... jej samej nic nie potrzeba, — ale Liza!...

Liza szyła sobie żałobną suknię z długim ogonem i ple-rezą. Przesiedziała całą noc, wtorując miarowym stukiem maszyny jednostajnemu głosowi djakona, czytającego głośno u ciała jej ojca. Myślała o swoim młodem życiu; czasem ocierała łzy, zastanawiając się, gdzie lepiej zrobić garniowanie, lub przypiąć kokardę? A kiedy rano koledzy i znajomi nieboszczyka zebrali się na żałobne nabożeństwo, wyszła do nich w grubej żałobie i bardzo interesująca.

Ludzi było mnóstwo. Piotr Iwanowicz zjawił się z krepą na rękę, z poważnym smutkiem na twarzy. Jak anioł stróż... w wiemundurze... podtrzymywał upadającą pod ciężarem smutku wdowę; podawał flakon trzeźwiący, gdy ją opuszczały siły, podsuwał krzesło... Zapłakał nawet, gdy zaśpiewano »wieczny odpoczynek«. Popatrzywszy na opadniętą, żółtą twarz sprawnika w trumnie, uczuł gwałtowny ból pod łyzeczką, pobladał i zamknął oczy. Protojerej — wyciągnawszy swoim przyjemnym tenorem ostatnią nutę, z wyraźnym akcentem żalu, zdjął kapę, szepnął coś djakonowi i poprawiając obydwoma rękami swoje długie, z lekka falujące włosy, podszedł do wdowy. Wdowa już nie płakała i coś żywo tłumaczyła Piotrowi Iwanowiczowi, odwoławszy go do okna.

— W panu moja jedyna nadzieja — mówiła patrząc mu prosto w oczy, jakby żądając natychmiastowej odpowiedzi. — Nie uwierzysz mi pan... ani grosza... wszystko na kredyt... — dodała, pokazując ręką trumnę. Oto ojciec protojerej wie, jak on umarł...

— Sprawiedliwa chrześcijańska dusza... — zaczął pop, sądząc, że od niego żądają attestacyi nieboszczyka.

— Ja, ojeze, nie o tem mówię — przerwała mu niecierpliwie, patrząc na Łupińskiego.

— Wiera Filipówna życzy sobie składki — wytłumaczył Piotr Iwanowicz. — Co do mnie... ja... naturalnie, gotów jestem wszystko, co mogę...

Uklonił się.

Wiera Filipówna czekała, co powie pop, ale pop milczał chwilę, myśląc sobie: »jaka bezwstydną baba« — nakoniec dodał głośno:

— Co do składki, to już Piotr Iwanowicz... On ma tyle wpływu...

— Ja też to mówię — podchwyciła sprawnikowa. — Wszyscy u nas bywali; panowie pamiętają, jaki nieboszczyk był gościnnie... Czyż on sobie na to nie zasłużył, Piotrze Iwanowiczu? — zawołała, łapiąc go za rękę i zabierając się znowu do płaczu.

— Rozumie się, rozumie się... wszystko, co mogę... — i nagle rzucił się do drzwi, nie dając sprawnikowej czasu rozplakać na dobre.

— Wiesz, duszko, jaka głupia historia? sprawnikowa o składkę prosi... Obiecałem... — powiedział, powróciwszy do żony. — Mówi, że pochować niema za co.

— To dopiero! — zawołała pani marszałkowa. — Bale dawali, Lizie sprawiali ciągle nowe suknie, — a teraz my musimy chować!... I przytem kłamię! ja wiem na pewno, że mają pieniądze.

Ale Piotr Iwanowicz czuł się rozmiękczoneym, jak wosk w gorącej wodzie. Nie słuchając żony, wziął energicznie arkusz papieru i wyraźnie napisawszy stosowne do okoliczności wezwanie, zaofiarował pięć rubli, wskazując innym pole do naśladowania jego wspańiałości.

— Potrzebny wydatek! — mruknęła pani, patrząc przez ramię męża na listę.

Ale fakt był dokonany. Powędrował szary arkusz od domu do domu, wywołując złośliwe uśmiechy, uwagi, kolące słówka... Niejeden dobywając z kieszeni rubelka, dobywał go tylko dlatego, by o nim co złego nie powiedziano. W ogóle wszyscy uważali żądanie sprawnikowej za rzecz nieprzyzwoitą i łajali wdowę bez ceremonii. Przeproszyński, nie dając nie

gotówką, napisał wielkimi literami, że ofiaruje 5 rubli z owych stu, które mu się od nieboszczyka należa.

— Zwaryowałeś pan! — wykrzyknął Piotr Iwanowicz, przeczytawszy ten dopisek, i w pierwszym uniesieniu chciał rozerwać listę. Ale doktor z niskimi ukłonami wytłumaczył mu swój postępek tak przekonywająco, że zostawił listę, jak była.

— A, to już pańska rzecz — powiedział i podsumował zebrane pieniądze. Suma dała 100 rubli z górą, razem z temi pięciu, które sprawnikowa miała odebrać od siebie samej. Stójkowy Kuźma, który chodził z listą po mieście, był zachwycony powodzeniem.

— Co tu pieniędzy! — mówił, siedząc w kolonialnym sklepie u żyda Mejera, u którego brał bywało dla sprawnika lafit, rozprostowując ręką zebrane papierki.

— Tak, dosyć zebrałeś — powiedział z zazdrością poglądając na pieniądze gospodarz.

— Pochowają, jak należy — mówił Kuźma chowając starannie skarb zebrany. — Pan był dobry, choć gniewał się czasem trochę. No, wiadomo, wyższa władza... Ale to prędko mijało... Rodzina go zagryzła...

— Dlaczego? — zapytał ciekawie żyd.

— Tak, sumienia mało. Gdyby nieboszczyk żył, czyżby pozwolił na to, by go na cudzy rachunek chowano? — zrobił trafną uwagę Kuźma. Na dowód, jaki był uczciwy, to powiem, że już ledwo oddychał, a posyłając mnie po wino, zawsze mówił: »powiedz, Kuźmo, Mejerowi, że jak tylko pensyę dostanę — wszystko oddam«. Ot, dalibóg!

— Dobry był człowiek — westchnął żyd, któremu się już udało odebrać swoją należność, i obtarł nos połą swego błyszczącego kaftana.

Kiedy Wierze Filipownie oddano listę wraz z pieniędzmi, o mało nie zemdląła, przeczytawszy delikatną ofiarę doktora; a nie zemdląła tylko dlatego, że oburzenie, wylewając się potokiem łez, przeszkodziło jej oddać się temu, nieco abstrakcyjnemu zajęciu. Wymyślała doktorowi jak mogła; dostało

się jego żonie, dzieciom, wszystkim krewnym i znajomym. Wyrazy sypały się jak z rękawa; nigdy nie była tak wymowną!

— Proszę tylko pomyśleć — mówiła wzruszona i obrażona kobieta — proszę tylko zastanowić się: straciłam męża i stanowisko; Bóg jeden wie, co jeszcze z nami będzie; — a on obawia się stracić jakieś nieszczęśliwe sto rubli! Wszakże on samemi procentami wybierze je sobie od innych!...

Zmieszana sędzina nie wiedziała, co ma na to odpowiedzieć, więc zaczęła się żegnać.

Uspokoiwszy się, sprawnikowa policzyła pieniądze, zająrzała ile kto dał; wylażała protojoreja, który chociaż bogaty, zapisał tylko rubla; pochwaliła sekretarza policyi, który dał, pomimo ubóstwa, dwa — i rozwiązawszy w myśli jakąś matematyczną kombinację, zamknęła pieniądze do komody.

Na drugi dzień był pogrzeb. Liza w żalobie i w nowym szynionie domagała się sutej stypy; krzyczała, że szanując pamięć ojca, nie pozwoli go pochować jak żebraka. A kiedy stary Gusiew, przyjaciel najbliższy nieboszczyka, powiedział surowo, że nie wypada dawać obiadów za cudze pieniądze, Liza rozplakała się, nazwała Gusiewa w duszy starą papugą i wyszła z pokoju, ciskając mocno drzwiami, czem niewątpliwie dowiodła swego szacunku dla pamięci ojca.

Chociaż bez stypy, pogrzebiono Kiryllę Siemionowicza z należną czcią. Zebrali się wszyscy urzędnicy, wszyscy ciekawi: nikt nie chciał opuścić bezpłatnego widowiska. Chór śpiewał, chorągwie rozwiewały się, świece płonęły, gęsty tłum szedł za trumną, gawroniąc, rozmawiając, robiąc uwagi nad tem jak złożone ręce nieboszczyka, co kosztuje przykrywający go złotogłów i u kogo kupiony, wiele dadzą służbie cerkiewnej, i jak rozpacza żona. Wszystko było w zupełnym porządku. Protojerej w czarnej z białemi galonami kapie, z uczuciem deklamował swoim przyjemnym tenorem, chór zręcznie podchwytował i rozwijał, a »wieczny odpoczynek zmarłemu bojarzynowi Kiryllce«, zaintonowany ochryplym basem djakona, wycisnął znowu łzy z oczu Piotra Iwanowicza. Wyjął on z kie-

szeni chustkę, otarł twarz i popatrzawszy w niebo, szczerze podziękował Bogu za to, że to nie on, wszystkim potrzebny pan marszałek, tylko stary, nikomu niepotrzebny sprawnik umarł! Tłum rozmawiając, szepecząc, śmiejąc się, odprowadził nieboszczyka aż na cmentarz, nie chcąc stracić ani jednego szczegółu ze smutnego widowiska!

Kiryлле Siemionowiczowi dano honorowe miejsce; wśród równie znakomych nieboszczyków; położono go twarzą ku wschodowi, z kąda widać było jak na dłoni miasteczko, gdzie panował tak nie długo, a skończył tak nieszczęśliwie.

Na tym samym cmentarzu, tylko nie na tak uprzywilejowanym miejscu, po za ogrodzeniem, gdzie kozy i świny sąsiadów bez przeszkody chodziły i pasły się, leżał w swojej białej trumnie i aresztanckim stroju włościanin Wilczej gminy, Piotr Podgórnny. Nie było tam ani nagrobków, ani krzyżów, żadnych wogóle symbolów wiecznego pokoju. I gdy wkrótce niewysoka mogiłka, pod deszczem i racicami, zrównała się z ziemią, nikt nawet nie domyśliłby się, że tu kiedyś, a nawet niedawno położono człowieka. Grzebiono tam zwykle włóczągów, ludzi bez rodu i nazwiska, którzy przypadkiem trafili do miejskiego szpitala, a ztamtąd na cmentarz; topielców, zamrzniętych i wszystkich wogóle zmarłych nienaturalną śmiercią.

Prawie jednoczesna śmierć Podgórnego i sprawnika zamknęła cykl epizodów odnoszących się do Sosnowieckiego buntu. Pięciu włościan skompromitowanych wypuszczono na wolność właśnie w chwili, kiedy najżwawszy i najweselszy z nich, Bazyli Kruk, upadłszy na duchu, w tęsknocie za swobodą, próbował się powiesić, a inni, skutkiem braku ruchu, przymusowej bezczynności, smutku, odosobnienia i niepewności — doszli prawie do idyotyzmu.

Zjawiwszy się w turmie, Piotr Iwanowicz z uczuciem wypowiedział malutką przemowę, której ucieszeni chłopcy wcale nie zrozumieli. Niemniej przeto pokłonili się niziutko, podziękowali panu marszałkowi, a dostawszy się na swobodę, sko-

rzystali z niej, upijając się ciężko, a najciężej Kruk, w pierwszym spotkanym szynku.

Piotr Iwanowicz bardzo był kontent i ze swojej mówki, i z podziękowań chłopskich. Żałował tylko, że u nas niema zwyczaju drukować przemówień, mających takie głębokie znaczenie. Opowiadając później ten wypadek, zawsze dodawał, że jeżeli Sosnowieccy włóścianie dzięki temu staremu głupcowi sprawnikowi poszli do turmy, — to tylko dzięki jemu, Piotrowi Iwanowiczowi, nie poszli do ciężkich robót.

CZEŚĆ DRUGA.

I.

Upłynęło półtora roku od czasu »buntu« w Wilczej gminie, a w powiatowym miasteczku zaszło wiele zmian: przybyło wiele nowych osobistości, znikło ze sceny wiele starych, i smutna historia »nieodżałowanych nieporozumień,« jak oficjalnie nazywano wypadek sosnowiecki, została prawie zupełnie zapomniana.

Komisarz Gwoździk jakiś czas w niełasce, dzięki wstawieniu się Zeneidy Lwowny, otrzymał wstęp do prywatnych apartamentów Michała Dymitrowicza; Łupiński dostał order, pieniężną nagrodę i wydał z tego powodu bal; na miejsce zmarłego sprawnika awansował stanowy Słoniajew, który miał szczęście zasłużyć sobie względy jego ekscelencyi przy uśmierzaniu chłopów w jego własnym majątku i został promowanym przy pierwszej zręczności, dla przykładu i zachęty innym stanowym. Jako nieobyty z wysokiem stanowiskiem, p. Słoniajew był jeszcze bardzo skromny, ale ludzie przewidujący nie wątpili, że się prędko rozwinie i zajaśnieje we właściwym świetle. Na miejsce głupowatego komisarza Grochotowa, który nie umiał skorzystać, jak należy, przyjechał z Permy czy z Wiatki p. Sznaps, bardzo w tem biegły. Śledczego przenieśli gdzieś na północ, prokurator z delikatnemi nerwami pojechał na południe, a na jego miejsce przybył czystej krwi krzyżak Gustaw

Andrzejowicz Scholz. Jednocześnie z prokuratorem Scholzem przyjechał wojenny naczelnik powiatu Aleksander Daniłowicz Zyków i nakoniec zmarłego sędziego 1-go okręgu zamienił znany z dowcipu Natan Piotrowicz Kumaniew.

Słowem do dawnego składu towarzystwa napłynęły nowe sily, a z naszych starych znajomych zostali tylko Orłowie, Kołobow, Łupinskij z rodziną, Iwan Tychonowicz z żoną, protojeraj Sapienza i kilka jeszcze mniej znanych osobistości. Piotrowi Iwanowiczowi zdawało się, że stoi na zenicie swej potęgi, gdy tymczasem ze strony uważano, że zaczyna zstępować. Było to coś prawie niedostrzeżonego; — dotąd stał jeszcze na wyżynie, ale czuć było symptomata, pozwalające oczekiwać przewrotu. Piotr Iwanowicz wstępował po drabinie długo i ostrożnie, ale na wierzchołku nie uważał, że mu się kręci w głowie i że za lada chwilę może stoczyć się na dół. Pragnął, żeby go miano za człowieka dobrego, rozumnego, czynnego i uczciwego — szczególnie za uczciwego! Wiadomo, że im kto mniej ma do czegoś prawa, tem gwałtowniej dobija się. Dobijał się więc pan marszałek opinii uczciwego człowieka gwałtownie, a tu zdarzali się ludzie, rozpowiadający jakieś niejasne historye o zaginionych lasach, o klepkach, Bóg wie o czem. Od czasu do czasu bąknął ktoś wyrazy »falszerstwo«, »falszywy podpis« itd. I chociaż to były gadaniny bez żadnego prawnego dowodu, które może nawet dosłownie nie dochodziły do pana marszałka, przecież nie czuł się on spokojnym. Miał już przyzwoity kapitał i stanowisko; zabierał się kupić ogromny majątek, trzymany obecnie przez niego w posesyi; urządził dom tak, że w wielu wzbudzał zazdrość; był dobrze widzianym u rozmaitych ekscelencyj, cieszył się przyjaźnią samego nawet zarządzającego gubernatorską kancelaryą; — brakło biednemu panu marszałkowi tylko malutkiej rzeczy: czystego sumienia... lecz już tego niezaprzeczenie nie było zkąd wziąć! Całe czasem noce przewracał się bezsennie na swoim wygodnem łożu, wstawał z czerwonymi oczami i pożółkłą twarzą, chwytając się oburącz za głowę i szeptał: »tak być nie może« — a jednak

musiało tak być! Czasem, żeby zasnąć, zażywał morfiny. Od chwili jak wstąpił na śliską drogę, jak wziął pierwsze łapowe, za odebranie chłopom na korzyść pana kawalka ziemi — znalazł się na takiej pochyłości, z której nie sposób było nie stoczyć się w przepaść; toczył się więc coraz niżej i doszedł nakoniec do tego, że pobudował sobie uniewinniającą go, a obwiniającą o wszystko innych, teorię. Była wprawdzie w życiu jego chwila, kiedy obejrzawszy się, chciał był powrócić na górę — chwila po sosnowieckiej historyi — ale dostał order, rangę, pieniężną nagrodę, wielkie pełnomocnictwo, i w miarę tego wszystkiego, powiększyły się potrzeby życia. A tu jeszcze dzieci rosły: trzeba było myśleć o ich wychowaniu i przyszłej karierze... Piotr Iwanowicz marzył dla starszego o dyplomacyi... Pobudki były za mocne, by walczyć z pokusą.

W miarę powiększania się tajemniczego kapitału, chowanego, jak utrzymywał stary Gusiew, członek opieki, w rządowym, opiekuńskim kufrze, pan marszałek zrzucił z siebie po mału moralne więzy, które dawniej wstrzymywały go na trudnej drodze obławiania się. Lecz równolegle rozwijało się w nim pragnienie uchodzenia za uczciwego człowieka. I kto wie?... możeby zasłynął na świecie z uczciwości, gdyby nie istniał na świecie niestrudzony Piotr Dymitrowicz Kołobow.

Kołobow, co do stanowiska, był tak maleńkim człowiekiem, że wielkiemu panu marszałkowi na myśl nawet nie przychodziło uważać go za niebezpiecznego. Dziwił się tylko, czemu jakiś tam Kołobow nie kłania mu się?... ale dziwiąc się i gniewając w duchu, udawał, że tego nie widzi. Piotr Dymitrowicz należał do epoki pierwszych reformatorów Polesia; służył przy Jakuszklinie i tych początkowych komisarzach do spraw włościańskich, którzy w oczach »jaśnie wielmożnych« uchodzili za »czerwonych«, a u następców zasłynęli jako »waryaci«, gdy przyszły inne czasy i inne poglądy. Wówczas kierunki zmieniały się często: dziś cackano się z chłopem, jakby z niezwykle jakąś drogocennością; sadzano rzędem z panem, a nawet wyżej, nie tylko zwracano mu obraz i podobieństwo

Boże, ale nawet oddawano mu cześć bałwochwalczą... Wydawał się najnowszym wynalazkiem... Pan miał prawo zgadzać się tylko, a najczęściej nie pytano go nawet; chłop przeciwnie, dawano do zrozumienia czego ma żądać, gdy nierozumiał, podpowiadano mu wyraźnie. Wyglądało to jak na teatrze i wkrótce też dekoracya się zmieniła: zjawili się jeszcze inni ludzie, z góry przyszyły inne cyrkularze i pobawiwszy się z włościaninem, jak w bajce o rybaku i rybce, znów zostawiono mu tylko dziurawe koryto! Nastąpiła nowa ocena lasów i ziemi, i chłopu odebrano to, co już uważał za swoją własność. Czy to trudno obalamucić ciemnego człowieka? Kiedy odbierając mu ziemię, powiedziano, że to się robi na prawnym fundamencie, zgłupiał ostatecznie, bo na tym-że fundamencie dostał ją niedawno! W niektórych miejscowościach próbował opierać się, »buntować«... lecz prędko został powściągnięty... za pomocą nahajek i bagnatów. Potem oddano go w nową niewolę, zmieniając stare jarzmo pańszczyźniane, ze swej natury doczesne — na nowe jarzmo urzędniczej samowoli, które mogło trwać wiecznie. Wówczas to, zwietrzywszy zdobycz, zjawili się na służbę jedności państwowej Łupinscy, Gwoździrowie, Waninowie, Bałwaninowie, Akutowie, Owsiańscy i nakoniec Stolarowie — słowem, całe legiony drapieżników-rusyfikatorów.

Kołobow zmuszony był prosić o dymisyę: dla takich ludzi, jak on, brakło miejsca na tych Baltazarowych godach, odbywających się na ruinach przeszłości. Kołobow, z łaski jakiegoś pocziwca, dostał mało znaczące miejsce w wydziale statystycznym i zachował dobre stosunki z włościanami; na poradę do niego przychodzili z najbardziej oddalonych gmin; on pisał im prośby, wskazywał, dokąd mają się z nimi udać, czasem dobijał się czegoś, najczęściej niczego, — lecz ztąd znał takie sztuczki rusyfikatorów, o których nikomu więcej się nie śniło. Kołobow z podziwieniem i oburzeniem patrzył, jak Łupinskij szedł do góry; oburzało go to wywyższenie, wobec tych bezinteresownych, choć szalonych działaczy, z którymi kiedyś pracował i którzy powrócili z tej poleskiej Kolchidy

z równie próżnemi kieszeniami, jak przyszli, a w dodatku zostawili po sobie nieszczególną opinię. »Głupcy, mawiał o Jakuszkinyh Piotr Iwanowicz, nie wiedzieli, gdzie raki zimują!« O on wiedział o tem dobrze!

Kołobow był słuszny, brunet, z kędzierzawą głową i nieładną twarzą, — ale miał głos donośny, czyste sumienie i uczciwe oczy; rozróżniał zle od dobrego i zawsze szedł prostą drogą. Sposób bycia miał szorstki, wyrażał się z grubijańską otwartością, do salonu wcale się nie nadawał, szczególnie do mieszczańskiego salonu pana marszałka; — nie nosił rękawiczek, nie używał wody kolońskiej, ale ubogiego wspomagał, nie radząc się ekonomii politycznej, o której może nawet nie słyszał — a nie zważając na swe ubóstwo i nieznaczące stanowisko, złodzieja nazywał złodziejem i nie czuł się zobowiązanym do ukłonów dla wyższej jedynie rangi i gwiazdki. Łupinskij wydał mu się podejrzanym odrazu: nie dowierzał ani jego łzom, ani wymownym przemowom na obronę interesów chłopskich, i zawsze, jak tylko zdarzyła się zrzeczność, starał się przedstawiać jego sztuczki w prawdziwym świetle. Ale pan marszałek trzymał się na stanowisku mocno. Piotr Iwanowicz był już stanowczo »osoba« w powiecie: nawet gubernator był u niego parę razy na obiedzie. W tym właśnie czasie przyjechał do miasteczka Zyków i sprawa rozpoczęta przez Kołobowa, który do końca został na stronie, znalazła w rotmistrzu nowego poplecznika.

II.

Rotmistrz gwardyi, Aleksander Daniłowicz Zyków, przyjechał do kraju po jakiejś historyi, o której mówił skromnie, ale tak, że słuchacz łatwo domyślał się całej szlachetności jego roli w tej historyi. Rotmistrz był szlachcic czystej krwi, z przodkami, z drzewem genealogicznem, gubiącem się w pomroce wieków, z herbem wyobrażającym miecz, łabędzia i trzy

ryby, przykryte półksiężycem. Musiały to zapewne być jakieś emblemata i jako takie, mieć swe heraldyczne znaczenie.

Rotmistrz Zyków namieszkiał pod górą, w maleńkim domku, z którego z jednej strony widział trochę nieba, z drugiej ostry kąt sąsiedniego dachu; resztę Bożego świata zasłaniała mu góra i zielona gęstwina drzew. Dla niego to wystarczało. Na prawo, na lewo, wokoło stało niezgłębione błoto od pierwszego tajania śniegów do mrozów zimowych, z antraktami tylko strasznej letniej kurzawy. O higienie miano tyle pojęcia co o astronomii, a błota broniono z takim zapalem, jakby od niego zależało ogólne powodzenie mieszkańców. Błoto owe, przyprowadzające do rozpacz, mogło rozstroić nerwy najzdrowszego nawet człowieka. Więc chociaż Zyków nie mógł się skarżyć na swoje nerwy, jednak w początkach błoto wydawało mu się nieznośnem i przyprawiało go o cierpienia prawie fizyczne, w gatunku bólu zębów. Po sześciu miesiącach rotmistrz przyzwyczaił się. Zamknięty hermetycznie u siebie, zajął się urządzeniem swego oddziału — i prawdę powiedzieć, miał się czem zajmować. Wszystko, co przyjął od poprzednika, zacząwszy od koszar do gimnastyki, od płaszców do butów, od jadła do nauki — wszystko było w zupełnem zaniedbaniu. Zaczął od tego, że sprawił żołnierzom obuwie i odzież, potem łóżka i koldry; a dostarczając pewnych wygód, żądał ścisłego wypełnienia obowiązków. Co do dyscypliny, był to nieubłagany pedant; ale za to żołnierski pieniądz, poczytany przedtem za ogólną własność, — żołnierska praca, na którą mógł liczyć dawniej, kto chciał, były strzeżone teraz, jak coś nietykalnego. Kiedy za jego staraniem pobudowały się nowe koszary, urządził tam na wspólny koszt herbatę dla żołnierzy, kupiwszy na pierwszy początek samowary i naczynia za własne pieniądze. Herbata odzwyczaila prędko żołnierza od wódki. Nasycony, odziany, obuty, pracując i zarabiając, żołnierz zaczął wyglądać na człowieka. W miasteczku śmiali się z rotmistrza, ale rotmistrz nie wiedział tego i nie słyszał. Uczył żołnierza, jak dzi-

kiego człowieka, wszystkiego, nawet mowy, chociaż nie ręczę, czy się zawsze wzajemnie rozumieli.

Dopiero skończywszy uporządkowanie swojej komendy, pozwolił sobie rotmistrz trochę odpoczynku i rozrywki. Rozpatrzywszy się w towarzystwie, przylgnął odrazu do partyi opozycyjnej, która ześrodkowywała się w domu Orłowych. Dla rozrywki więc po pracy zaczął bywać u ludzi, politykując zrana, grając w karty wieczorem. Grali tu w karty wszyscy, był to jedyny sposób spędzenia czasu, odpowiadający ogólnej potrzebie rozrywki. Polityka i wypełnienie służbowych obowiązków zrana, karty wieczorem; czasem jakiś skandalik, czasem wiadomość z gubernii, stanowiły całą treść życia małego miasteczkowego, dopóki na koniec miejscowe wypadki nie podniosły jego pulsu do chorobliwej szybkości.

III.

Z zamieszkaniem nowych osobistości, odnowiła się trochę i fizyonomia miasta: sprawnik założył skwer na placu oczyściwszy go za pomocą aresztantów z nawozu, co obniżyło jego poziom więcej jak na arszyn; marszałek pomalował własnym kosztem ogrodzenie przed swoim mieszkaniem; ogromny dom, w którym żył i umarł stary sprawnik, został wybielony i przeznaczony na biuro powinności wojskowej i opiekę; na rogu głównej ulicy pani Lipska założyła magazyn mód, z wabiącym szyldem, na którym kapelusz damski wyglądał zdaleka na siodło, a szynion z lokami przypominał wiązkę kielbas. Ale najważniejszą nowością było »towarzystwo dla ubogich uczniów gimnazjum«. Owo dobroczynne towarzystwo, ta *haute nouveauté*, mówił przecie wyraźnie, że my, naturalnie za pozwoleniem zwierzchności, idziemy drogą postępu, a zatem żeśmy nie gorsi od innych. Po otrzymaniu zatwierdzenia władz odnośnych, małe towarzystwo zaczęło rosnąć nagle, jak na drożdżach i obiecywało świetne rezultaty, gdy nagle zgasło,

jak świeca, przykryta kapturkiem! Ale ponieważ ten wypadek stanowi osobny, zaokrąglony i niezależny zupełnie epizod, więc rozpowiem o nim kiedyś później; teraz ograniczę się tylko tem, co ma ścisły związek z moją powieścią.

Dyrektor gimnazjum był zachwycony: maleńki, ślepiący oczami człowieczek, z chytrym uśmiechem na swojej urzędniczej twarzy, był najpewniejszy, że go obiorą prezesem. Marzył już o pochwałach z góry, czuł prawie na piersiach jakiś order — on, któremu nie tylko pochwały, ale nawet proste zwrócenie na niego uwagi rzadko się dostawało! Kiedy w dzień ogólnego zgromadzenia, w długiej gimnazyalnej sali, zebrało się tylu członków, że dla wielu stołków nawet nie stało, dyrektor przyjaźnie obejrzał to szanowne zgromadzenie i uśmiechnawszy się z zadowoleniem, oczekiwał wypadków. Drżał, starając się nie zdradzić wewnętrznego wzruszenia, wydając je jednak gorączkowemi ruchami. Drżał równie wewnętrznie i Piotr Iwanowicz, który był przekonany, że każde prezesowskie krzesło w promieniu jego służbowej działalności, z prawa do niego należy. Pan marszałek był trochę popsuty powodzeniem, nadto przyzwyczajony do stawiania na czele: gdzie jaka składka, wezwanie, cokolwiek społecznego i pożytecznego, — we wszystkim zwracano się do niego. Sam ofiarował nie wiele, ale nie przeszkadzał ofiarować innym; kiedy urządzało się nowe towarzystwo, postanowił, że będzie jego prezesem i dążąc na wybory, śpiewał głośno i fałszywie jakąś wesołą aryę. Ale, śpiewając, Piotr Iwanowicz, jako doświadczony wódz, posłał naprzód swoją ciężką artylerję, w osobach członków opieki, pod wodzą starego Gusiewa. Miano wybierać członków komitetu.

— Patrz pan — szepnął Zyków do Scholza, pokazując tłustego członka opieki Weredowicza — Łupinskij dla podtrzymania siebie, słonia przyprowadził.

— I szpica!¹⁾ — dodał z uśmiechem Scholz, wskazując na malutkiego Gruszeckiego.

¹⁾ Alluzya do znanej bajki Kryłowa „Słoń i Mośka“.

Po ukończeniu losowania, kiedy członkowie z hałasem powstali, wybrany do komitetu Piotr Iwanowicz wyszedł, powiedziawszy sobie, że czy będzie wybrany na prezesa, czy nie, to tak drobna rzecz, że nie warto nawet myśleć o tem. A jednak nietylko myślał o tej drobnostce, ale niepokoił się nią, a nawet rozgniewał się, gdy dowiedział się od starego Gusiewa, że chcą wybrać na prezesa Tatjanę Mikołajównę. To była już przeciw obraza. Pożegnawszy Gusiewa, pan marszałek rzucił się do ustawy, mając nadzieję znaleźć tam paragraf, któryby się sprzeciwiał prezesostwu kobiety, ale takiego paragrafu nie znalazło się; wówczas przyszło mu do głowy odmówić zupełnie swego udziału w całej tej sprawie — miał pisać do dyrektora... potem zdecydował się zachorować; potem znowu rozmyślił się, i skończyło się na tem... Ale na czem się skończyło, zobaczymy w następnym rozdziale.

IV.

W tydzień później, na wezwanie dyrektora Sosnowicza, który zupełnie upadł na duchu, gdy i jego ominęła nadzieja zostania prezesem, zebrali się członkowie komitetu do szkolnej sali, dla wyboru urzędników. Byli to *patres conscripti* małego miasteczka. Pierwszy przyszedł zapięty pod szyję, w czarnym surducie, najakuratniejszy ze wszystkich ludzi na świecie Platon Antonowicz Żukowski, potem prokurator Scholz i sędzia, pani Orłowa i uczony doktor Iwan Iwanowicz, wierzący w zbawienie rodu ludzkiego mocą rycinowego olejku. Wszyscy mieli poważne i urzędowe miny. O pół do pierwszej niedostawało tylko pana marszałka. Członkowie pokolei dobywali zegarki. To opóźnienie się wydawało się umyślnem i przykrem; dyrektor często zbliżał się do okna, nie wiedząc czy ma odkryć posiedzenie, czy jeszcze poczekać trochę. Scholz powiedział, że siedmiu — a członków rzeczywiście było siedmiu — na jednego nie czeka. Sędzia, Iwan Tychonowicz, wierny swojej

pośredniczej roli, zrobił uwagę, uśmiechając się do wszystkich przyjaźnie, że na pierwszy raz można trochę dłużej poczekać. Platon Antonowicz wyraził bojaźń: czy nie zachorował nagle pan marszałek. Scholz miał coś odpowiedzieć, gdy nagle otworzyły się szeroko drzwi i pojawił się w nich Piotr Iwanowicz zdrów, elegancki, w dobrym humorze, w popielatej kurtce i pstrym krawacie, mającym znaczyć, że pan marszałek nie przypisuje temu zgromadzeniu i całej tej sprawie znaczenia na seryo. Wszedł, uklonił się Orłowej, nie przepraszając, wspominał coś o szpitalu, czy więzieniu i usiadł obok dyrektora, odkrywającego posiedzenie, mając po prawej stronie Orłową, a *vis à vis* Scholza.

Dyrektor wziął ze stołu jakiś papier, przeczytał go smutnym i niewyraźnym głosem i nie dokończył jeszcze ostatniego słowa, gdy Piotr Iwanowicz, zaledwie wstrzymując wzruszenie, jakby obawiając się, by go kto nie uprzedził, zaproponował członkom wybór na prezesa pani Orłowej. Nastąpiło maleńkie wahanie się; ale członkowie, jako ludzie grzeczni, pospieszyli podtrzymać pana marszałka. Orłowa była zdziwiona tak niespodziewanym zwrotem i — powiedzmy prawdę — wspaniałością Piotra Iwanowicza, który, jak napewno wiedziała, sam miał chęć zostać prezesem. Orłowa podziękowała i stanowczo odmówiła. Wówczas Piotr Iwanowicz, przyjąwszy na siebie inicjatywę wyboru, wydobyl swój najważniejszy argument, mówiąc, »że nam wszystkim czas zabiera obowiązek, służba, a pani jedna jesteś zupełnie swobodną«. Nie można było nie przeciwko temu powiedzieć, więc Orłowa zgodziła się. Członkowie podziękowali jej z tem większą przyjemnością, że wszystkim już chciało się jeść i wszyscy radzi byli już uwolnić się od tej dobroczynnej pańszczyzny. Może z boku patrząc, wydałoby się to śmiesznem trochę, ale nie było komu patrzeć z boku, bo u wchodowych drzwi kiwał się widocznie drzemiący stróż Maciej, a ze ściany, z owalnej, pozłacanej ramy obojętnie spoglądał portret kuratora z uśmiechem na przyzwoitej twarzy.

Piotr Iwanowicz czuł się prawdziwym bohaterem; wziął paltot, nałożył trochę na bakier swoją szlachecką czapkę z czerwona obwódka i pod rękę z Orłową, krokiem pewnym, jak gospodarz powiatu, i zadowolnionym, jak tryumfator, przeszedł przez ulice małego błotnisteo miasteczka aż do wrót jej mieszkania. Tu pożegnał się swoim, trochę teatralnym sposobem, mówiąc coś o korzyści społecznej, przepowiedział wielką przyszłość dla małego dobrego towarzystwa, dla całego miasta i tymże samym tryumfalnym krokiem wrócił do domu.

— No, cóż? kogo wybrali? — spotkała pani marszałkowa męża pytaniem, a spostrzegłszy na jego twarzy przyjemny uśmiech, dodała ze zwykłą przenikliwością — zapewne ciebie, wiedziałam naprzód!

— Wybrali Orłową — odpowiedział sucho i chciał przejść.

— A cóż ty?

— Ja, moja pani, mam pracy po uszy; nie mam czasu na takie głupstwa.

— Rozpowiedz-że jak to było? — zapytała pani, przechodząc w minorowy ton.

— Bardzo prosto: zaproponowałem — rozumie się, wszyscy zgodzili się...

— Potrzebnie! — odparła ze złością. — Orłowa i tak nadyma się...

— Ty, duszko, nie nie rozumiesz — przerwał pan marszałek. — Ona nam może się przydać... Mogło być gorzej, mogli wybrać tego Prusaka Scholza. Rozumie się, w takim razie przestałbym być członkiem — dodał Piotr Iwanowicz stanowczo i głośno i rzucił z gniewem na stół swoją szlachecką czapkę.

— Kłanialiście się sobie? — zapytała pani.

— Ukłonił mi się, kiedym wchodził — śmiało skłamał Łupinski, któremu Scholz wcale się nie ukłonił, od którego nawet odwrócił się do okna.

Jednocześnie Orłowa mówiła mężowi:

— Zgadnij, kogo wybrali na prezesa? mnie!

— Czyż doprawdy nie znaleźli nikogo mądrzejszego?

— Tam bardzo mądrych nie potrzeba, a szczególnie potrzeba takich, którzy jak ja nie mają co robić... I wyobraź sobie, wszystko to Łupinskij, tegom się nie spodziewała! — I rozpowiedziała cały przebieg sprawy.

— Winszuję, Tatjano Mikołajówno! — zabrzmiało pod oknem i uśmiechnięty Zyków z kolei opowiedział, jak członkowie zawczasu umówili się ją wybrać.

— Doprawdy? A ja myślałam, że to wszystko Łupinskij i podziwiałam jego wspaniałomyślność.

— Czyż nie szalbierz? co? — zawołał Zyków — pochwyił cudzą myśl i sprzedał za swoją! Zresztą on nie ustąpiłby tak łatwo, gdyby to miejsce było płatne.

V.

Zyków przyjechał do kraju zaraz po wprowadzeniu pierwszej ogólnej wojskowej powinności, to jest już potem, kiedy wszystko to było, za pomocą Bożą, szczęśliwie ukończone i Piotr Iwanowicz przedstawiony do nagrody. Spotkali się i od pierwszej zaraz chwili obydwaj pojęli, że będą sobie wzajemnie zawadzać. Wkrótce do instynktowej, przypadkowej czysto nieżyczliwości, przylączyły się zetknięcia służbowe: pan marszałek łącząc w swojej osobie kilka obowiązków, był także prezesem w tym wydziale, w którym rotmistrz uważał siebie za specjalistę i osobistość z taką odpowiedzialnością i prawami, przed którymi prawa Łupinskiego nie znaczyły. Ze swojej strony Piotr Iwanowicz nie mógł darować rotmistrzowi lekceważenia, z jakim traktował prezesostwo, które pan marszałek brał na seryo nie tylko w czasie oficjalnych posiedzeń, lecz wszędzie, gdzie się pojawiał. Mając takie wygórowane pojęcia o swoim znaczeniu, Łupinskij sądził, że on sam tylko ma prawo działać i stanowić, inni zaś członkowie komitetów mogą tylko zgadzać się z nim i pomagać mu; sądził,

że jest pierwszym, a wszyscy, bez żadnych stopniowań — ostatnimi. Rotmistrz Zykow oburzył się na taką pychę, i stosunki między dwoma administratorami stały się trudne i wrogie. Jako ludzie dobrze wychowani i z natury grzeczni, przy spotkaniu na ulicach, w domach u wspólnych znajomych, kłaniali się sobie wzajemnie, ale obydwóch to męczyło. Sprawa ostatecznie się popsowała, kiedy Piotr Iwanowicz, jadąc na urlop do jakiegoś morskiego wybrzeża, porucił czasowe prezesostwo nie rotmistrzowi, jakby należało, ale sprawnikowi, który podług słów Zykowa, nie tylko prezesować, ale na krześle siedzieć nie umiał inaczej, jak bokiem. Takim sposobem, ze strony Łupinskiego była to niezwykła chęć obrażenia, ale chęć wyrażnie podkreślona. Kiedy Łupinskij powrócił z morskich wybrzeży wzmocniony na zdrowiu, wesoły, zadowolniony z morza i gubernatorskiego przyjęcia (przejeżdżając przez Bołotinsk, on, rozumie się, uważał za swój obowiązek złożyć uszanowanie gubernatorowi) — rotmistrz, który nie jeździł do wód i nie miał powodu liczyć na łaskawe przyjęcie gubernatora, był w bardzo ponurem usposobieniu. Spotkawszy się w jakimś Komitecie »ogólnego polepszenia« współzawodnicy posprzeczali się z takimi intonacyami, które jak dalekie grzmoty, przepowiadają blizką burzę. Przykuci obowiązkiem do jednej i tej samej sprawy, znaleźli się nagle przekonaniemi na przeciwnych biegunach. Każdy ciągnął sprawę do siebie i jeżeli sprawa pomimo tego systematu postępowała, to tylko dzięki temu, że podczas kiedy oni, zajęci sprawami miłości własnej, wypuszczali z rąk sprawę obowiązku, zręczny Skorłupskij, prywatny sekretarz pana marszałka, chwytal ją, podsuwał jakieś papiery do podpisu, wzmacniał swe dowody, cytując cyrkularze — i sprawa szła naprzód.

Na dopełnienie komplikacyi, obydwaj byli nerwowi, drażliwi, mieli mnóstwo miłości własnej, lubili sprzeczać się i dowodzić, i chociaż w ogóle w naturze było miejsca dosyć, to w naszym powiecie okazało się za mało pod tym względem, że on nie wystarczał na dwa pierwsze miejsca: było pierwsze

i drugie — ale dwóch jednakowo pierwszych nie można było znaleźć nawet dla takich dwóch osób, jak rotmistrz Zykow i dymisyonowany major Łupinskij. Nieszczęśliwą palmę pierwszeństwa potrzeba było wziąć przebojem — i bój rozpoczął się — naturalnie nie taki jak pod Sedanem lub Wörthem, lecz dla naszego miasta bardzo interesujący.

Jedna drobna i zabawna okoliczność zaostrzyła jeszcze te nieprzyjazne stosunki. Pewnego chmurnego poobiedzia, w późnej jesieni, kiedy w szyby okien pukał uparty deszcz, a ołowiane chmury wisiały nad samem miastem, rotmistrz z gazetą w ręku siedział przy swoim biurze. Wogóle czuły na meteorologiczne zjawiska, Zyków był szczególniej podrażniony i ze wszystkiego niekontent w tej chwili.

— Djabli wiedzą, jakie głupstwa piszą! — zawołał, rzucając gazetę i chcąc wstać z krzesła, gdy nagle ktoś zadzwonił.

— Czy pan pułkownik w domu? — spytał ktoś po polsku. Zykow poznał głos doktora Przepraszynskiego.

— W domu — odpowiedział sługa, żołnierz Ignatowicz, z intonacją właściwą żołnierzom, u których każda odpowiedź brzmi jakby »życzym zdrowia!«

— Przyjmuje?

— Z wielką przyjemnością — odważył się zaręczyć Ignatowicz i otworzył przed gościem drzwi.

— Co za bałwan! — powiedział w duszy rotmistrz, wstając niechętnie na powitanie gościa.

Do pokoju wszedł, ciężko kołysząc swoje niezgrabne cielsko nosorożca, powiatowy eskulap Przepraszynski. Był to jeden z tych chybionych pupilów nauki, którzy fatalnym sposobem cofają się zamiast postępować: nauczwszy się czegoś w młodości, później, wśród starań o chleb powszedni, wśród kart, wina i pitek, zapominali bardzo prędko to, co umieli, tępijąc, czerstwiejąc i powoli tracąc na drodze życia cały zapas swej godności ludzkiej. Nauka, chorzy, światło — wszystko zostało oddane na ofiarę zasadzie obłowienia się; praktyka dawała mało — Przepraszynski zamienił praktykę na handlowe inte-

resa i z lekarza zamienił się w lichwiarza. Nie pogardzał niczem, nie wstydził się niczego i przechwalając się, pokazywał jakąś historyczną laskę, którą zastawił u niego zubożały potomek niegdyś znakomitych przodków.

Wypili herbatę, wypalili, pogadali i zamilkli. Ale doktor wynalazł temat.

— A wie, pan pułkownik (polska grzeczność wymaga koniecznie, żeby człowiekowi dawać tytuł wyższy: rotmistrza nazywał pułkownikiem, pułkownika generałem, generała jakoś jeszcze wyżej, sędziego panem prezesem i t. d.), że pani marszałkowa na pana się gniewa.

— Łupinska? — zdziwił się Zyków, który nie miał powodu nawet w myśli obrazić pani, z tej prostej racyi, że o niej nigdy nie myślał. — A cóżem jej zawinił?

— Byłeś pan u nich w pidżaku, a pani powiada, że w takim krótkim paltocie tylko konno przyzwolicie jeździć.

— Wasza pani głupia — powiedział Zyków — a i pan...

— Panie pułkowniku! — zawołał składając ręce doktor — To było już dawno... I cóż ja winien, że pani marsz...

— Czy to ona sama panu mówiła? — przerwał gniewnie Zyków.

— Broń Boże! słyszałem od Gusiewa, Gusiew od Jarockiego, Jarocki od Korszuna.

— A Korszun zapewne od kucharki? — zapytał rozdrażniony Zyków.

— Nie, Korszun od Skorłupskiego, Skorłupski od Wered... Zyków roześmiał się głośnie.

— Poczekaj pan, poczekaj! wszakże to zupełnie tak, jak tam na pierwszej stronnicy: Izaak zrodził Jakóba, Jakób zrodził Judę, Juda zrodził Zareę z Tamary i t. d. Moje uszanowanie, doktorze! Pora mi do koszar. Tam przynajmniej głupstw nie usłyszę!

I obróciwszy się do gościa plecami, zaczął naciagać białe rękawiczki.

Wcale nie zmieszany doktor uklonił się i wyszedł. Zrobił swoje...

I sam doktor i zrobiona przez niego plotka była nie nieznaczącem głupstwem, a jednak głęboko uklóła szlachcką miłość własną rotmistrza. Jakto? On świeżo z Petersburga, jego rękawiczki bielsze od śniegu, on umie na pamięć libretto każdej opery — a tu jakaś pani Przepędowska znajduje... Rotmistrz wziął paltot i prędko poszedł przez błotniste, drewniane trotuary, gniewnie spędzając z nich laską spotykane świny. Zamiast do koszar, poszedł do prokuratora Szolza.

Szolz siedział przed ogromną kupą papierów, kiedy wszedł rotmistrz.

— Jak to się panu podoba? — zawołał — jak to się panu podoba? — powtórzył, nie witając się i patrząc na Scholza pytająco.

— Przywitalbyś się pan pierwszej — powiedział Scholz wyciągając rękę.

— Nie, posłuchaj pan! — i rotmistrz rozpowiedział mu scenę z doktorem.

— Tylko tyle? — zapytał Scholz.

— Jakto tylko tyle? — patrząc zdziwionemi oczyma zapytał Zyków. — Ależ to djabli wiedzą co! Ja tego doktora tylko co nie wyrzuciłem za kark... Nie rozumiem, jak wstrzymałem się...

— I dobrze, żeś się pan wstrzymał. Pewny jestem, że nie chciał pana obrazić. Paplał poprostu z głupoty i przyzwyczajenia do plotek.

— Mnie obrazić! — zawołał rotmistrz, protestując i obrażając się razem. — Czyż mnie może obrazić lekarz Przepraszynski, albo jakaś tam pani Przepędowska? Co ona takiego? bez rodu, bez nazwiska, cyganka, guwernantka, z rzędu nieznających ani ojca, ani matki...

— U pana ciągle nieznający ani ojca, ani matki! Zawsze arystokrata! stare gwardyjskie przyzwyczajenie — powiedział Scholz.

— Całe życie boną była — mówił dalej, nie słuchając, Zyków, a będzie mi prawa przyzwoitości przepisywać! Krótkie palto! jak się to panu podoba? Oto, Boże przepuść, błoto!... Zsyłam się na pana, co można mieć przeciw temu pidżakowi? — I obracając się na korkach i śmiejąc się już sam, Zyków pokazał swoją kurtkę ze wszystkich stron.

— Troszkę przykrótki — powiedział na seryo Scholz — zresztą na wieczór do pani marszałkowej ujdzie.

Ale Zyków nie mógł zapomnieć pidżaka i chodząc z kąta w kąt mówił.

— W młodości — mam prawie czterdzieści lat — byłem starannie wychowany i doświadczony wzrok i teraz dojrzę tego odrazu. Ale, przepraszam za wyrażenie, popsulem się w tej dziurze; straciłem dobre maniere — i cóż dziwnego? wyobraź pan sobie, mieć do czynienia z takimi idiotami! Weź pan, na przykład, Platona Antonowicza — rzekł, przechodząc ze zwykłą mu lekkomyślnością do innego przedmiotu — przecie i gazety czyta i w polityce z każdym dyplomata może się mierzyć i uczył się zamłodu, widać — jakże! onegdaj idziemy obok projektowanego skweru, on zaraz powiada: *novus rex, nova lex*, przypominając nowego sprawnika; i tak na każdy wypadek ma gotowe cudzoziemskie słówko — a jednak myśleć może tylko po tutejszemu: pan marszałek dla niego najwyższa osobistość i na posiedzeniach przed panem marszałkiem słowa nie powie... W każdym innem miejscu jabym tego Łupin-skiego na próg nie puścił, a tu go na honorowem miejscu, pod obrazami sadzają... Jam człowiek grzeczny — ciągnął dalej już spokojniej Zyków — uprzedzałem, przestrzegałem, mówiłem im wszystkim: »Obdzierajcie, powiadam, panów i żydów, niech wam Bóg dopomaga! Ale żołnierza — broń Boże, nie ruszajcie, nie pozwolę... Żołnierza i chłopą, gdy mogę, nie dam!« Żołnierz — zawołał Zyków — wszak to święty! on na swych ramionach nieraz już Rosyę wyniósł... i jeszcze wyniesie... A im, tym rabusiom, wszystko jedno... No, nie posłuchali, nie odczuli, niech-że siebie obwiniają! —

powiedział groźnie Zyków i poszedł wylać resztę oburzenia do Orłowych.

Tatjana Mikołajówna zaszła się ze śmiechu, słysząc o pidżaku.

— Panią to śmieszy? — rzekł z obrazą rotmistrz.

— Czyż to nie śmieszne?

— Nie, proszę wejść w moje położenie: z takimi idyotami mieć do czynienia... Pani ciągle bronila Łupinskiego: uczciwy, uczciwy, a ja pani dowiodę, że honor u niego w kieszeni i nigdzie więcej! Gwoździak drze — no i wszyscy wiedzą, że drze, taką ma i opinię. Jego szampańskie pija, a każdy sobie myśli: »złodziej ty, bratku, i tyle!« A ten!... Ale, proszę poczekać: ja pani zedrę maskę z tego świętoszka, — pani go na próg nie puści! dowody dotykalne wynajdę! — krzyczał głośno wzburzony rotmistrz.

— Znajdź pan dowody, wówczas uwierzę...

— Znajdę, znajdę, daj mi pani czas... Zna pani przysłowie: »wylezie szydło z worka« — niema, niema — i wylezie na wierzch...

Rotmistrz schwycił za czapkę.

— A co u panów w zarządzie? ciągle opatrujecie?

— Opatrujemy...

— No, i cóż?

— Posłałem jeden papierek — odpowiedział tajemniczo Zyków i pożegnawszy się, poszedł już rzeczywiście do koszar.

VI.

Zimowy sezon w miasteczku odkrywali zwykle Łupinscy wieczorem dawanym w dzień imienin Piotra Iwanowicza 5-go października. Imieniny takiej osobistości jak pan marszałek nie mogły się obejść bez pewnej wystawy, a parada powiększała się tą niezależną od marszałka okolicznością, że to był także dzień jarmarku w miasteczku. Na dwa dni przed imieninami

pan marszałek zajęty był układaniem kosztorysu wydatków, a pani starannie przymierzała jakąś szczególną koafiurę, z mnóstwem błękitnych kokardek, gdy dały się słyszeć jakieś obce kroki, zaczęła się biegająca zwykła w domu przy pojawieniu się obcych i Piotr Iwanowicz wyjrzawszy ze drzwi powiedział pospiesznie:

— Duszko, Gwoździk ze Sznapssem!

— Na imieniny przyjechali! — uśmiechnęła się z zadowolnieniem pani i zaczęła zdejmować błękitne kokardki, gdy tymczasem Piotr Iwanowicz z uprzejmym uśmiechem wprowadził gości do bawialni, posyłając ich w duszy do wszystkich d... Do pokoju weszło dwóch panów, z taką swobodą, z jaką się wchodzi do domu, w którym niema co się żenować. Weszli trzymając się pod ręce, obydwaj już trochę pijani wnosząc z zapachem wódki jakąś szynkową atmosferę. Komisarz Gwoździk silny, z szerokimi plecami chłop w myśliwskiej kurcie, podobnej do krótkiego szlafroka z zielonemi wyłogami i kutasami, przypominał tuczonego wołu ogromem swej nie-ruchliwej figury, głupawym wzrokiem i dziką siłą ramion. Patrząc na ciężką figurę z ogromną głową, niechciało się wierzyć, żeby mógł kiedy umrzeć na zwyczajną, ludzką chorobę. Mógł go powalić w lesie niedźwiedź, na którego sam chadzał, mogła zadusić lokomotywa, lub zabić jakąś zabłąkana kula nieostrożnego myśliwca, — ale zwykła ludzka choroba nie była, zdawało się, w stanie zwalczyć tej siły. Gwoździk w dobrym nastroju rzucił pieniądze na prawo i na lewo, a nawet mógł darowywać obrazy; lecz to się zdarzało bardzo rzadko; w zwyczajnym swym stanie przypominał srogiego pogromcę zwierząt o zimnej krwi; a w chwilach wściekłości i pod wpływem wódki był zdolny do najdzikszych wybryków. Ogromna łapa Gwoździka przy najmniejszym oporze sama zaciskała się w pięść, ową straszną pięść, która przerażała nie tylko podwładnych mu chłopów, ale i sędziów pokoju, którzy nie przyjmowali skarg na niego. Gwoździka nazywano »szeroką rosyjską naturą«, póki nie namyślano się nazwać go prosto nieponiem.

Ale wszyscy, wiedząc że jest szubrawcem, postanowili uważać go za porządnego człowieka: był porządnym człowiekiem dla tego, że nie prosił nikogo o pożyczkę, chętnie przegrywał w karty i szampanem poił wszystkich bez wyboru. Przeciwno tym przymiotom trudno było powstawać. Ale najprędzej był porządnym człowiekiem dlatego, że nosił czapkę z gwiazdką i mocno trzymał się na miejscu. Jak większa część rusyfikatorów, jak i sam Łupinski, przyjechał on do kraju bez grosza, z próżnym tłumakiem — ale z listem ministeryalnego opiekuna i z mocnem postanowieniem zrobienia majątku. Wziął się do tego zaraz, bez wahania, bez strachu, bez niedowierzania względem siebie samego. Był to rabuś uparty, stanowczy i otwarty do cynizmu.

Komisarz Sznaps, następca Grochotowa, był zupełnym kontrastem Gwoździka. Patrzył spokojnie z przyjaznym uśmiechem wszystkim w oczy i nikt, widząc jego pokorną, małą figurkę w okularach, z rudą, jakąś obszarpaną, bródką, nie mógł się domyśleć, że to był bezwstydnny drab, nie mający żadnego pojęcia o uczciwości i honoru. Ze zbytnią grzecznością przywitał się i z miną pokornego uszanowania ucałował rękę pani marszałkowej, gdy ta, obchodząc Gwoździka, nie zadającego sobie nawet przymusu wstać na powitanie, przecisnęła się w ciasnej, zastawionej meblami bawialni i usiadła na kanapie. Komisarz Sznaps wydawał się upostaciowaną pokorą; ale zajrzawszy w jego przymrużone, krótkowidzące oczy, z jakimś zatajonem szyderstwem w biegających źrenicach, każdy uważny człowiek domyśliłby się, że ta błazeńska pokora, to głębokie uszanowanie i nieśmiałe maniery były w rzeczywistości komedią, że na prawdę on szydził i z Piotra Iwanowicza z jego powagą, i z pani marszałkowej z jej pretensjami do dobrego tonu, mądrych rozmów i francuzczyzny. Szydził on po cichutku i z Gwoździka, a jeżeli cenił co w nim, to chyba siłę fizyczną, której jemu samemu natura poskapiła. Kołobow zaręczał, że Sznaps był gdzieś markierem i tylko dzięki swojemu niemieckiemu nazwisku dostał się między rusyfi-

katorów. Piotr Iwanowicz patrzył na niego z góry, prawie pogardliwie, a pani, w prostocie ducha, przyjmując wszystkie jego grymasy za wynurzenie szczerych uczuć, odpowiadała mu przyjaznym uśmiechem.

Kiedy goście rozsiedli się i zapalili cygara, rozpoczęła się rozmowa. W owym czasie bardzo wszystkich interesował koniec, tak nazwanej, Łowiszyńskiej sprawy, przedstawiający jaskrawy wzór tego systematu, który budując zasadę rusyfikacji na wielkiej posiadłości, przeprowadzał ją, sprzedając skonfiskowane majątki, lasy na takich ułatwianych warunkach, że właściwie termin »sprzedaż« używał się tu bardziej dla przyzwoitości, niżeli dla określenia faktu.

Była to pora wielkich łapówek, hojnych nadań, śmiałych nabyć i bezwstydných domagań się; wówczas możebną była najfantastyczniejsza zmiana od wieków ustanowionych praw własności i autorytet prawa potwierdzał takie interesa, które były jawnem naruszeniem wszelkich praw. W liczbie udarowanych szczęśliwców znalazł się naturalnie i nasz pompadur Michał Dymitrowicz Stolarew: dostał ogromny majątek, w skład którego weszły i ziemie niesprawiedliwie odebrane u właścicieli mieszczan. Nasz administrator, któremu już się udało stracić i swój i żony majątek, nie zadowalniając się wielkością daru, chciał jeszcze otrzymać trzecią część dochodów Łowiszyńskich mieszczan za przeszły rok, to jest za czas, kiedy majątek do niego jeszcze nie należał. Ogromny majątek oceniony był przez łaskawych ekspertów na 14.000 rubli i sprzedany na wypłaty częściowe w ciągu dwunastu lat — a trzecia część rocznego dochodu ocenioną została dla mieszczan na 12.000 rubli! Było to wyliczenie cudowne, bajeczne; ale prawdziwa jego cudowność zawierała się nie w dziwnym stosunku dochodu do ceny, nawet nie w ocenie okradającej skarb i państwo, ale w tem, że podobna buchhalteryja była wówczas możebna i nie tylko podtrzymywana wszelkimi administracyjnymi środkami, ale nawet popierana przez siłę zbrojną.

Kiedy Łowiszynscy mieszczenie, pamiętając, że ziemia, którą u nich odbierają, była prawną własnością ich ojców, dziadów i pradziadów, zaczęli się opierać i okazywać jawne nieposłuszeństwo rozkazom policyi, broniącej z niewolniczym staraniem interesów nowego obywatela, nieposłuszeństwo przyznane zostało za »bunt« i na uśmierzenie jego wysłany jeden z tych jenerałów, którzy odbierając właściwą pensyę, wiszą przy ministerstwie, na wypadek jakiejś nadzwyczajnej potrzeby. Ministeryalny jenerał, prawosławny człowiek z dobrej rosyjskiej rodziny, który sam niedawno odebrał w Błotnej gubernii duży majątek, patrzył na opór mieszczan ze szczególną surowością i nie tracąc czasu, wziął się do rzeczy z wojennym pośpiechem. Obłężenie poprowadzono według wszelkich reguł: naprzód posłany został roztropny sprawnik Chapów i urzędnik do szczególnych poleceń Żuczkin. Przybywszy do Łowiszyna, oświadczyli mieszczanom, że w ślad za nimi jedzie taki jenerał, »który ma prawo ćwiczyc, rozstrzeliwac, i nawet zakopywac żywych w ziemię!« Jenerał przyjechał i poczęła się rozprawa: przeciwko mieszczanom wystawiono wojsko, batalijon piechoty, oddział kozaków; miasteczko otoczono regularną blokadą; przywieziono kilka wozów różg i rozpoczęto wojenne działania.

Podczas gdy petersburski jenerał za pomocą różg i nahajek wybierał dla gubernatora pieniądze od buntowników, sam gubernator grał rolę niewiniątka, udając, że nie wie o niczem i w zapale słowiańskiego patryotyzmu, rozdawał urzędnikom swojej kancelaryi role w widowisku, które Zeneida Lwowna urządziła na korzyść Hercogowiny. Rozumie się zwycięstwo i jego owoce dostały się komu należało: gubernator dostał pieniądze, dla petersburskiego jenerała dano obiad, roztropny sprawnik Chapow dostał order, a urzędnik Żuczkin, któremu nie podobało się jego nazwisko, otrzymał pozwolenie nazywania się odtąd Miłowanowym. Na konkluzję dramatu zwycięzca doniósł swojej władzy, że chociaż zwycięstwo wymagało wielkich wysiłen, lecz udało się odnieść je bez wielkiego przelewu krwi.

Wszystkie te szczegóły i wiele innych rozpowiadane były pod wielkim sekretem; i jeżeli wyzywały głucho protesta większości, to te protesta tonęły zupełnie w ogólnem uznaniu tryumfującej partyi. Tymczasem rozniosła się wieść, że sprawa Łowiszyńskich mieszczan nagle wzięła nowy obrót; że senat, dzięki obronie znakomitego adwokata Pasowicza, przyznał ich prawa za niewątpliwe. Niezadowolniony czegoś z gubernatora Łupinskij stanął stanowczo po stronie mieszczan, znajdując że Chapow nadużył władzy i że wynagrodzenie go orderem stanowi jeszcze większą niesprawiedliwość, jak odebranie mieszczanom ich ziemi. Piotr Iwanowicz, mający tylko Stanisława i Annę, zazdrośnie obstawał przy godności państwowych relagiów. Wiedząc, że Gwoździk niedawno powrócił z Bołotinska, marszałek pospieszył zapytać, co słyhać o Łowiszyńskiej sprawie.

— Nic szczególnego... Paplają różne głupstwa — powiedział niedbale Gwoździk.

— Pisze mi siostra Marie, że obrońcę mieszczan wysłano — powiedziała Łupinska, która lubiła czasem pogadać o wewnętrznej polityce.

— Czyste głupstwo — powiedział stanowczo Gwoździk, bez żadnego uszanowania dla siostry Marie. — Nie wysłano, ale pogrożono, żeby nosa nie wścibiał.

— A jednakże sprawa nie bardzo czysta — nagle powiedział pan marszałek, obrażony tonem Gwoździka. — Nawet można powiedzieć wcale nie czysta... Chapowowi za łagodne środki powieszono Włodzimierza na piersi, a Dulberg pisze, że dla łagodności — on tam teraz komisarzem — użyte były nahajki i bagnety! — zapalczywie powiedział Piotr Iwanowicz obrażony za Włodzimierza, który znalazł się na takim niegodnem sobie miejscu.

— Głupstwo! — odpowiedział zdecydowany wszystkiemu przeczyć Gwoździk, strząsając popiół z papierosa na dywan, ku wielkiemu niezadowoleniu Piotra Iwanowicza, który mu

natychmiast podsunął popielnicę — bagnety?! stanowczo głupstwo! czy to on pisał do pana?

— Tak... to jest nie... słyszałem z boku.

— Zresztą, sądzę, że Michał Dymitrowicz nie o tem nie wiedział — pospieszył dodać Łupinski, łagodząc swoją nieostrożność. — Jest to, myślę, tylko zbytek dobrych chęci urzędnika, w nadziei nagrody.

— A gdyby i wiedział? Cóż z tego? Tak z nimi właśnie potrzeba. Gdyby to zdarzyło się u mnie — jabym im pokazał co to jest buntować się przeciw postanowieniom władzy. Jabym im ot co, czy nie łaska! — I Gwoździk potrząsnął groźnie ogromną pięścią nad samą głową Sznapsa.

— Tak z nimi potrzeba! — powtórzył przestraszony małeńki komisarz, odsuwając się pospieszenie i myśląc: »a nuż palnie?... djabli go wiedzą! — Można panu pozazdrościć pięści Michale Iwanowiczu — powiedział głośno, niby zachwycając się Gwoździem. Taki kułak każdemu by się przydał. To już, doprawdy, gdy chce Bóg kogoś wywyższyć, to wywyższy! — dodał zupełnie na seryo, śmiejąc się tylko wewnętrznie swojemi szaremi oczkami.

Słowo pięść przypomniało panu marszałkowi, że na Gwoździka jest skarga: — A u pana, Michale Iwanowiczu, w Wilczej włości znowu coś... Do mnie przychodzili ze skargą... Gdyby pan tak trochę ostrożniej — dodał tonem przestrogi — jeszcze znowu napiszą naganę...

— A niech sobie piszą! Ja nie czytam i panu to radzę — chłodno odpowiedział Gwoździk, znowu mijając popielnicę.

— Ale tak niemożna! — z nieukontentowaniem w głosie wymówił Piotr Iwanowicz.

— To już moja rzecz, Piotrze Iwanowiczu, i w moim okręgu jam gospodarz — wyraziście powiedział Gwoździk, bębniąc w poręcz fotelu swojemi palcami z ogryzionemi pazurami.

— Ja nie o tem — przemówił pan marszałek — ja pana nie ograniczam...

Gwoźdźnik szydersko się uśmiechnął.

— Kazałabyś, duszko, przynieść nam wódki — zwrócił do żony wstającej z kanapy Łupinski.

— Wypić i zakąsić zawsze można! Nie prawdaż Sznaps? — rzekł, uderzając go po plecach Gwoźdźnik.

— Czyż pan kiedy, Michale Iwanowiczu, mówisz nieprawdę! — odrzekł Sznaps.

— A co się dotyczy tego — mówił dalej Gwoźdźnik, gdy pani marszałkowa wyszła ze wszystkimi oznakami niezadowolnienia — co się dotyczy skarg, to bądź pan, Piotrze Iwanowiczu, spokojny; wszystkich bowiem nie przesłuchasz... Ja znowu mam inną metodę: przyszedł skarżyć się — w kark! drugi raz przyszedł — znowu w kark! I tak systematycznie poprowadzić, to niech pan wierzy, że najupartszy oduczy się skarżyć.

— A podług mnie, jeżeli panowie pozwolą mi mieć swoje zdanie, jest prostszy sposób: przyjął prośbę, i pod sukno z nią; przyjął znowu — i znowu pod sukno; — oni mają nadzieję, a pan spokojny i w kark bić niekoniecznie! — powiedział Sznaps, skromnie spuszczać oczy.

— Brawo, Sznaps! Słyszysz pan, Piotrze Iwanowiczu, jak się to robi u nich w Wiatce?

Po wódce rozwiązał się język Gwoźdźnikowi, który zaczął się nie żenować, jakby był u siebie w okręgu.

— Pan po co przyjechał do Zachodniego kraju? — zapytał on pana marszałka, patrząc mu prosto w oczy i zakładając łapy w zielone kieszenie.

— Jakto po co? — zapytał zdziwiony Łupinski — przyjechałem służyć.

Gwoźdźnik zaczął się śmiać bez ceremonii.

— Służyć? A ja przyjechałem zrobić majątek!

Piotra Iwanowicza męczyła ta scena, wstrzymywał się, jak mógł i tylko nerwowy uśmiech zdradzał jego rozdrażnienie.

— Doprawdy, Michale Iwanowiczu, zaczął przyjaźnie i serdecznie Łupinski, przysuwając się do Gwoźdźnika — do-

prawdy, jabym radził być ostrożniejszym... Oto Gusiew powiada, że w Tawlewskiej gminie oddałeś pan parę stójkowych koni żydowi za półtora tysiąca w rok, a w Baranowskiej zbierasz pan na pobudowanie Zarządu po 7 rubli z chaty... Półtora tysiąca, wszak to...

— A choćby i trzy! — krzyknął nagle stukając kulą-kiem w stół Gwoździk i budząc brzękiem kieliszków z pijanej drzemki Sznapsa, który otworzył na chwilę oczy, słodziutko uśmiechnął się i znowu zamknął.

— Choćby i trzy! — powtórzył Gwoździk.

— To pańska rzecz — powiedział chłodno Łupinski — ale wszystko ma granicę, Michale Iwanowiczu; powiadają, że pan lud dusisz! — mówił, patrząc z nienawiścią w tłustą twarz Gwoździka i postanowiwszy doprowadzić rozmowę do końca.

— Ej, Piotrze Iwanowiczu! Piotrze Iwanowiczu! — roześmiał się nagle najdobroduszniej Gwoździk — wszak mówiłem już panu, że jeżeli słuchać wszystkiego, co bają, to wypadnie, że pan sprzedaje klepkę z takiej miejscowości, gdzie nigdy dęby nie rosły, a o opatrywaniu do wojska żydów rozpowiadają takie rzeczy, że za pozwoleniem przykro słuchać...

Piotr Iwanowicz nerwowo składał i rozkładał serwetę, a Gwoździk, nagle wymowny, mówił dalej tym-że wesołym, zlekka ironicznym tonem: — mówią, że pan od Piotra Michieicza wziął dwa tysiące za to, by go na drugie trzechlecie wójtem zostawić, a za pobudowanie w Krugalskiej gminie Zarządu cztery tysiące, a od pana Jankowicza za las... Czyż temu wszystkiemu wierzyć? A Komarow wczoraj w klubie rozповідаł — pan wie co to za język — rozповідаł, że pan na wiorstowych słupach nie tylko sam zarobił, ale i swojemu klientowi Weredowiczowi pozwolił...

— Jaki szubrawiec! — bąknął Piotr Iwanowicz.

— A ten, powiada, Weredowicz — ciągnął dalej z wi-docznym zadowoleniem Gwoździk — jak ewangeliczny Łazarz, karmi się okruszynami ze stołu pańskiego i, chwała Bogu,

nasycony! Ten rozpowiada o okruszynach, a Weredowicz wychodzi z bufetu, ledwo we drzwi się mieści... Wszyscy popatrzeli na niego i kładli się od śmiechu.

— A pan mu to zmileżałeś? — powiedział Piotr Iwanowicz, rzucając serwetę i czując sam, że się rumieni.

— A cóż pan każe robić? Nie bić że się mi z nim, kiedy wiem, że go mogę pięścią zabić? — wspaniałomyślnie wygłosił Gwoźdźnik. Pośmiali się trochę, wypili i siedli grać.

— A przy wódce i kartach, wie pan, wszystko przechodzi! — powiedział wielką prawdę Gwoźdźnik.

— Jednak pańska filozofia... — zaczął Łupinski.

— Cóż moja filozofia, nie gorsza od innej — przerwał Gwoźdźnik nalewając sobie kieliszek wódki. — Moja filozofia tu! — dodał, uderzając się po kieszeni. — Byle tu było, a reszta... No, wstawaj, bracie, zasiedzieliśmy się, przed klubem jeszcze wyspać się potrzeba.

Rozbudził Sznapsa i zaczął się żegnać.

— Zostańcie, panowie, na obiad! — uśmiechając się z przymusem, powiedział pan marszałek. — Zaraz podadzą... Duszko, cóż obiad?

— Nie, uwolnij nas pan. Dalibóg, spać chce się, — powiedział Gwoźdźnik, ziewając. I popatrzywszy na zegarek dodał: musiałem nie nakręcić.

I nie zważając na zapraszającego Łupinskiego, zaczął nakręcać zegarek.

— Jakie bydle! — pomyślał Piotr Iwanowicz, pocieszając się połajaniem. — Uważajcież, panowie, o piątku nie zapomniacie — dodał żartobliwie, z trudnością tłumiąc gniew.

— Niech pan będzie spokojny, potóśmy przyjechali! — powiedział tak trzeźwo i wyraźnie Sznaps, jakby z ciągłą uwagą śledził rozmowę.

— No, nakładaj czapkę! — zakomenderował Gwoźdźnik i gwiżdżąc otworzył drzwi.

— A ten ciągle ostrożność zalecał — powiedział sztydersko Sznaps, wskazawszy głową w kierunku marszałkow-

skiego mieszkania. — Ja, przecie, wszystko słyszałem pomimo snu. Ale też i pan mu dobrze!

— A ja myślałem, że ty doprawdy... — patrząc na niego z pewnem zadziwieniem, powiedział Gwoździk.

— Nie, ja dlatego, że nudno było tych głupstw słuchać. On bywało i mnie tak z początku: to ogłoszeniem, to skargami, to reputacją straszył, a ja mu: daj pan pokój, Piotrze Iwanowiczu, powiadam; mnie zapewne nie dziś, to jutro wypędzą; wszakże to siódme miejsce przez trzy lata — to lepiej na drogę mieć zapasik. A temu chłopstwu czyż nie wszystko jedno komu ma płacić? Dziś mnie, jutro panu, pojutrze jeszcze komuś... Od tej pory nie zaczepia.

Pani marszałkowa ledwo doczekała wyjścia gości.

— Nierozumiem, dlaczego pozwalasz Gwoździkowi mówić takie rzeczy! — gniewnie zawołała, poprawiając serwetę. A przyszem ten kostium — szlafrok jakiś.

— Chciej zrozumieć, duszko, że on był trochę tego — stuknął się po krawacie Piotr Iwanowicz — nie chciałem więc robić historyi przy Sznapsie. Bydlęta! — przemówił przez zęby. — I zkąd te wszystkie wiadomości, wszystkie te głupstwa? A szczególnie ta przekłeta klepka, ona mi już kością w gardle siedzi. Kilka dni temu, twój kochany braciszek schwycił jakąś bezsensowną wzmiankę w gazetach. Ty napisz do niego, że wszystko to głupstwo, głupstwo i nie więcej! — zaczął krzyczeć unosząc się.

— Rozumie się, rozumie się — pospiesznie powiedziała Łupinska, której gniew minął na widok cierpienia męża. — Nie irytuj się, Pierre, tobie to szkodzi — dodała z pieśczętą w głosie. Ale martwić się nie miała czasu, musiała zająć się przyszłemi imieninami.

VII.

Imieniny były uroczystością, do której przygotowywano się zawczasu. Z sąsiedniej gminy, której wójtem był dawny przyjaciel Piotra Iwanowicza, dostarczano jarząbków, cietrzewi, kuropatw — a jak można było, to i sarne. O zmroku, w wilgę jarmarku, kiedy cały plac wypełniał się wozami z żywnością, a żydzi, podjąwszy kaftany, biegali pomiędzy wozami, drapieżnie do nich zaglądając, na podwórze pana marszałka tajemniczo zajechał ciężki wóz. Natychmiast z kuchni wyskoczył kucharz Michał, potem pełniący obowiązki marszałka dworu, stróż z Opieki, Łukasz i obydwaj zaczęli zdejmować worki, beczułki i barylki, które z dziwną zręcznością chwytала służąca Pelagia, znikając z niemi, jak w otwartej paszczy, w drzwiach ciemnej i błotnistej kuchni. Kiedy dostawiono ostatnią faskę z masłem, a kucharz, pokosztowawszy, znalazł że bardzo słone, do kuchni weszła sama pani marszałkowa.

— Wiele zwierzyny? — zapytała niespokojnie, zwierzyzna bowiem miała grać główną rolę na przyjęciu imieninowem.

— Dwadzieścia par jarząbków i piętnaście sztuk cietrzewi! — odpowiedział Michał, wyjmując po jednym ptaki i ważąc w rękę, z miłością zawziętego myśliwego. — Oto nastrozelali! zapewne w rządowym lesie...

— A tu co? — przerwała pani marszałkowa, wskazując palcem.

— Tu krupy, tu mąka, tu masło... słone bardzo, do francuskiego ciasta nie dobre.

— Przemyć można — surowo zauważyła pani — nie myślę kupować — dodała niezadowolniona ze wzmianki o francuskim cieście i nachyliwszy się nad faską, nietylko powąchała, ale z ciekawością dobrej gospodyni nawet polizała.

Przepatrzywszy wszystkie zapasy, aż do marynowanych rydzów, obliczyła w myśli ile czego wyjdzie jutro i przeraziła się rozchodem imieninowym. Chociaż to wszystko nie było

kupowane, ale jak tylko dostało się do rąk, przybierało w oczach Łupinskiej pewną cenę własności.

Tymczasem imieniny zbliżały się i nakoniec nadeszły. Na nieszczęście, pierwszy omen był niedobry: rozpieczętowana poczta zawierała jakąś nieprzyjemną uwagę, stosującą się do opieki.

Rzuciwszy papier pod stół i wyłajawszy Scholza i cały nadzór prokuratorski, pan marszałek spojrział na otwierające się drzwi.

— Co tam? — zwrócił się z gniewem pan marszałek.

— Wójt z Krugałowskiej gminy życzy złożyć powinszowania! — meldował wesoło Michał.

— Wołaj tu!

Drzwi powoli otworzyły się i ogromna figura wójta, z medalem na szyi przesunęła się przez nie bokiem i stanęła.

— Jak się masz, Michieju Piotrowiczu! — wesoło powiedział marszałek.

— Mam honor powinszować waszej jaśnie wielmożności, — równie wesoło odpowiedział wójt — życzę wszelkich pomyslności, i żonie, i dzieciom wielu lat zdrowia i wszystkiego czego sobie u Boga życzą... — mówił bez żadnego sensu wójt, kłaniając się ciągle.

— Dziękuję, bracie, dziękuję! — zatrzymał jego swadę Piotr Iwanowicz i dał mu znak, żeby przystąpił bliżej.

Jakoś bokiem, ostrożnie, niby stąpając po szkle, zbliżył się wójt do stołu. Piotr Iwanowicz siadł i odehrząknął...

Odprawiwszy wójta, Piotr Iwanowicz długo chodził po pokoju, wymawiając jakieś niewyraźne słowa, niby »oszukał się,« »dwa tysiące...« i przez jego imieninową twarz przegłaдалo niezadowolnienie. Tak był pogrążony w swych kombinacjach, że nawet nie zauważył, że weszła żona.

— Duszko — powiedział, gdy usiadła przy stole w papilotach i z pudrem na czole — duszko, sądzę, że potrzeba zaprosić Scholza...

— Prokuratora! ależ on u nas nie bywa...

— Według moich kombinacyj jego potrzeba zaprosić. Iwan Tychonowicz mówił mi pod sekretem, że on radby i nawet gotów zrobić pierwszy krok... ale tu obcy wpływ...

Pani milczała; postanowiła zawsze milczeć, gdy nierozumiała »wyższych kombinacyj« męża.

— Napiszę kartkę, poszlę Michała — powiedział Piotr Iwanowicz, dostając papier.

— Zmiluj się! oderwać go od kuchni?

— To poszlij Łukasza...

— Łukasz skubie jarząbki...

— No, niech Pelagia pobiegnie, czy co?

— Ach, — żałośnie zawołała pani — Pelagia prasuje dla mnie spódnice.

— A, Boże mój! Cóż — sam mam biegać?... Przez wasze spódnice a prasowanie nie zrobić nie można!

I wstał gniewnie, z hałasem odsuwając krzesło.

— Pisz kartkę, poszlę! — łagodnie powiedziała pani, rezygnując poświecić i jarząbki i spóduice, byleby nie rozdrażniać męża. Ustępstwo żony natychmiast go uspokoiło. Usiadł napowrót, umoczył pióro i postawiwszy wielki wykrzyknik po słowach »Łaskawy Panie« długo łamał głowę nad tem, jakim sposobem najlepiej zaprosić do siebie człowieka, którego niedawno posłał do wszystkich djabłów, wraz z całym prokuratorским nadzorem.

Nakoniec list był napisany, zapieczętowany i stróż Łukasz, oderwany od jarząbków, cały w pierzu i puchu jak dziki człowiek, wyprawiony do prokuratora.

VIII.

O 8-mej wieczorem rozpoczęły się oficjalnie imieniny. Dzieci były umyte, ubrane, ufryzowane; bona, Mlle Arnoux z Paryża — za pozwoleniem pani marszałkowej — przypięła sobie różową kokardę; stróż Łukasz wziął paradny surdut cy-

namonowego koloru z ogromnym kołnierzem i krótkimi rękawami; w bawialni zapalono tyle świateł, że goście wychodząc z na pół ciemnego przedpokoju, mrużyli oczy, póki nie przyzwyczaili się do tej imieninowej illuminacyi pana marszałka; pani marszałkowa co chwila patrzyła w lustro, uśmiechając się i czując się gospodynią całej tej parady. Ten dzień zawsze podnosił Lupińskich w opinii publicznej: przyjmowali z taką gościnnością, że nie podobna było opierać się ich uprzedzającej grzeczności. W bawialni było jasno, unosił się zapach perfum i pomady, gospodarze promieniali uśmiechami, dzieci wyglądały na cherubinów — i chociaż te cherubiny tylko co pobily się za drzwiami, roztargawszy swe napomadowane i kędzierzawe główki — to tu, w oczekiwaniu gości, były tak dobrze wychowane i przyjemne, że mogły służyć za wzór dobrego wychowania w ogóle.

W bawialni było paradnie, jak na wystawie; za to garderoba i kuchnia przedstawiały taki zakulisowy obrazek, na który jedno nawet spojrzenie, mogło odebrać ochotę do obchodzenia imienin. W garderobie leżała na jednej kupie wszystka dziecinna pościel; stały spiętrzone w kącie zbywające meble, wisiały spódnice pani i szlafrok pana; tu znoszono wszystko, co w powszedni czas miało swoje miejsca, a coby obecnie przeszkadzało; tu także na stole za drzwiami stały przygotowane przekąski, butelki i tajemnicza, przykryta serwetą, taca z deserem. Tu nie można się było poruszyć, żeby czegoś nie zaczepić i nie stracić. W kuchni było jeszcze gorzej: tam rozpalona od świtu płyta, do takiego stopnia rozgrzała atmosferę, że tylko człowiek przyzwyczajony mógł w niej wytrzymać, tylko kucharz Michał był — chwała Bogu — przyzwyczajony! W kuchni było ciasno, brudno, gorąco — a wyimagano, żeby wszystko było dobrze. Na domiar ogólnego bezładu, zaproszony na zarządzającego usługą, lokaj z klubu Kuźma, tak się uraczył na cześć solenizanta wódką, że straciwszy równowagę, poleciał ze schodów razem z samowarem, chlupnął w pudding octu, rozbił trzy talerze i na koniec został

wypchnięty przez Michała na chłód dla wytrzeźwienia się. W kuchni, wśród czadu przypalonego masła, słychać było łajanie wszystkimi narzeczanymi Polesia i każdy półmisek przyprawiał się takimi życzeniami dla solenizanta i jego gości, że dziwna rzecz, iż się wszyscy nie podławili przy pierwszym kawalku! W bawialni tymczasem było coraz paradniej i ludniej; o dziesiątej było tak pełno, że mężczyźni następowali sobie wzajemnie na nogi, a damy nie wiedziały co zrobić ze swemi ogonami; nad głowami gości unosił się taki sam obłok papierosowego dymu, jaki w kuchni sprawiało przepalone masło imieninowej kolacyi. Piotr Iwanowicz był widocznie wzruszony, obracał się niespokojnie za każdym otworzeniem drzwi od przedpokoju i wychodząc z uśmiechem naprzeciw gości, w duszy złościł się, nie widząc osób, które miały być ozdobą jego proszonego wieczoru. O 10-ej nie było ani Orłowych, ani Scholza, i Iwan Tychonowicz, który przez uprzejmość skłamał, siedział jak na szpilkach, popatrując to na drzwi, to na zegarek. Ktoś zapytał o Orłowych.

— Ona niezdrowa — powiedziała Łupińska z udanem współczuciem.

— Chyba coś nagłego — odparła sędzina — bom ja dziś widziała na poczie.

— Tak? — powiedziała przeciągając gospodyni i spojrzła na męża.

Piotr Iwanowicz wściekał się wewnątrz. Wyszedłszy do drugiego pokoju napędził dzieci spać i w myśli nazwał francuzkę, która się wyrwała z jakimś niestósownem zapytaniem — kozą. Kiedy zegar wskazał trzy kwadranse na jedenastą, małżonkowie spojrzeli na siebie, rozumiejąc, że niema na kogo więcej czekać.

— Panowie! — zawołał z uśmiechem solenizant — czy nie pora nam przystąpić do dzieła? — I wskazał na stoły kartowe. Goście rozmieścili się.

Całe naprężone ożywienie znikło z napudrowanej twarzy pani marszałkowej, usta ścisnęły się, uśmiech wyglądał jak

smutny grymas i cała jakby wyblakła, jak blaknie od deszczu i słońca tania materya. Czyż warto było robić majonez z jarząbków dla sprawnika, któryby się doskonale zadowolnił pieczoną gęsią, dla niemych małżonków Busch, wiecznie zachowujących dyetę i dla Sznapsa z Gwoździkiem? A członków opieki można było poprostu pierogiem nakarmić. Nastrój gospodarzy udzielił się gościom. Jeszcze mężczyznom przy kartach szło jakoś, byli zajęci — ale wśród dam rozmowa stanowczo nie wiązała się. Nakoniec i kobiety zasiadły do kart; na karku gospodyni została tylko utrzymująca pension Kwasowska (która tak zapomniała jeografię, że tylko z łaski hercogowińskiego powstania dowiedziała się, gdzie jest Bałkański półwysep), doktorowa Przepraszypińska i popadja. Te panie objawiły, że na pieniądze nie grają i sformowały osobne kółko u stołu na kanapie. Wieczór ciągnął się powoli i nudnie i ożywił się dopiero, gdy w sąsiednim pokoju do dźwięków talerzy przyłączył się przyjemny i pociągający dźwięk kieliszków. Sznaps dawno już niespokojnie poruszał się na krześle: w karty nie lubił grać, bo nie lubił przegrywać, a rozmowy na proszonym wieczorze miał za głupstwo. Już kilka razy wybierał się do sąsiedniego pokoju, ale tylko brał za kłamkę, ktoś przytrzymał ją z drugiej strony, a on wracał smutnie na miejsce. Przecisnąwszy się nakoniec, nie był w stanie bronić się pokusie i przysiadłszy się do karafki z wódką, z zamiarem odświeżenia się tylko, opróżnił ją do dna. Kiedy Łupińska na znak męża zaprosiła gości na przekąskę i dawno już siedzący goście podnieśli się z przyjemnością, prostując zdretniałe członki; kiedy Kuźma, ostatecznie wytrzeźwiony, otworzył obie połowy drzwi z taką siłą, że krzesło przyciśnięte do ściany zatrzęszczało, a nerwowy marszałek drgnął i zmarszczył się, wówczas oczom publiczności przedstawił się taki obraz: oparty łokciami na stole, przed karafką z wódką, siedział ze schyloną głową i błędnym uśmiechem na twarzy komisarz Sznaps. Widząc próżną karafkę, pani zlekka krzyknęła i zwróciła się do męża; złapawszy rozpaczliwe spojrzenie żony przez głowy gości

Piotr Iwanowicz spojrział na stół i wszystko zrozumiał; prze-
pchawszy się naprzód, schwycił karafkę, kogoś potracił, prze-
prosił, wewnątrznie załajał i znikł we drzwiach. Kiedy po-
wrócił, przepuściwszy przed sobą Kuźmę z półmiskiem, z którego
zwieszał się ogon jakiejś ryby — goście odetchnęli swobodniej.
»Poczekaj-że, ty, szubrawcze!« myślał pan marszałek, patrząc
bokiem na Sznapsa, który spokojnie spoglądał gdzieś w prze-
strzeń, jakby nierozumiał gdzie się znajduje. »Poczekaj, ja ciebie
ugoszczę, kanalio! — pijany bestya jak szewe!... a mówiłem
temu bałwanowi Łukaszowi, żeby nie puszczał.« — Iwanie
Andrzejewiczu! — powiedział głośno zwracając się do Sznapsa
i chcąc go wywieść z kompromitującego stanu pół przytom-
ności — może pozwolisz? — i wskazał ręką na stół.

— Może séra? — dodała pani poprawiając loki.

Sznaps podjął pijane, trochę ironiczne oczy i z chytrym
uśmiechem przemówił:

— Séra? merci, ciociu, już przekąsiłem! Proszę o rączkę.

Effekt tej głupiej farsy przeszedł oczekiwanie samego
nawet Sznapsa: pani marszałkowa zaczerwieniła się, potem
pobladła, pan marszałek podskoczył jak ukłóty, goście popa-
trzyli na talerze, a Gwoździk poklepując Sznapsa po ramie-
niu, wesoło powiedział:

— Ej, bratku! tyś podobno więcej wypił, jak przekąsił!

O 3-ej goście zaczęli się rozchodzić. Gospodarz odpro-
wadzał do drzwi każdego i ściskał z uczuciem rękę.

— No, odzuaczyłeś się! — mówił Gwoździk do Sznapsa,
wracając z nim do domu.

— Cóż ja takiego zrobił... prosili na imieniny, niechże
przyjmują! A oni zaproszą gości, nakraja kwadracików sera
i kawioru... któż to teraz widział? A wódki tylko jedna
karafka...

— No, już to ty lżesz! — surowo zatrzymał go Gwoź-
dzik, lubiący powiedzieć czasem prawdę — wszystkiego było
dosyć.

— Przypuśćmy, że żem zelgał — zgodził się spokojnie Sznaps. — A wiesz Michale Iwanowiczu, wójt wyprowadził go w pole! Wyprowadził, Michale Iwanowiczu...

— Ty skąd wiesz? — żywo zapytał Gwoździk.

— No wiem, na rynku pisarza widziałem. Szanowny ojciec Piotr myślał, że mu Michieicz kwit zwróci, a ten »zapomniałem, wasza wielmożność, przepraszam!« A okręg przeszedł do Kirchmana; teraz poczekasz!

— A ty zręcznie ją nazwałeś ciocią — powiedział Gwoździk kontent z nowiny.

Sznaps zaśmiał się.

— Ja naumyślnie, żeby mieszczańskich rogów przytrzeć. Chciej tylko zrozumieć, Michale Iwanowiczu: pani marszałkowa, ogony, szynjony, parle franse i nagle: »ciociu, proszę o rączkę!« Rozumie pan? on by mnie zadusił za takie zuchwalstwo... a tu, *excuser de peu*, musi jeszcze sam zapraszać, a wszystko dlatego, że szydła w worku nie utaisz. Pani sędzina na przykład sądzi, że ja tak sobie z prostactwa, może po pijanemu... a ja umyślnie, z zawczasu obmyślanym zamiarem, jak mówią na sądach...

— Ale na cóż ty to?

— Sam nie wiem na co, skusiło, nie mogłem wytrzymać. On mi tej sztuki nie daruje... Panu on o mnie powiedział, że »dobry chłopiec, ale trochę tego...« a ja na pewno wiem, że napisał do kogo należy, że »pierwszy zdierca i w Boga nie wierzy«. Jakże ja mogę w Boga nie wierzyć, kiedy biorę łapówki? — powiedział szczerze Sznaps, waryując bezwiednie jednego z bohaterów Gogola — przecież to patent na wszelką lojalność i polityczną i moralną: bierzesz łapowe — a więc nie takiego nie zamysłasz. Jam podwójnie lojalny, po pierwsze piję i to tylko wódkę, czem podtrzymuję finanse, a powtóre biorę łapówki; zauważ pan znowu, biorę a nie wymagam — to wielka różnica! — paplał pijany Sznaps, jakby wynagradzając sobie za nudy całego wieczora.

— Łżyj, łżyj, dalej! — powiedział pobłaźliwie Gwoździk.

— Nie, to szczerą prawdą...

— Uważaj-no, Iwanie Andrzejewiczu! coś ty za energicznie bierzesz się... Żebyś czasem nie przesolił — otrząśł go Gwoździk.

— Komu pan to mówisz, Michale Iwanowiczu! Tylko dopóki jego ekscelencya Michał Dymitrowicz naszą guberniją rządzi, my tu wszyscy jak u Boga za drzwiami. To samo przysłowie niedawno pan marszałek wypowiedział i chociaż potem wyparł się, jako Piotr, to przecie słowo nie wróbel...

I wśród pustego placu, pod jasnym niebem z cicho płonącymi gwiazdami Sznaps zaśpiewał ulubioną piosnkę Gwoździka: »Wiele kobiet — wiele pcheł; niepokoju bardzo wiele...«

Tymczasem w domu pana marszałka wszystko powoli ucichało, tylko gospodarstwo jeszcze nie spali; Łupińska stała wśród odkrytych kartowych stołów, z rozrzuconemi kredkami i kartami, w tytoniowym dymie, zasłaniającym niewielki pokój, jak muszlin, a twarz jej, jakby pociemniała, z rozpuszczonemi fałszywemi lokami, z zaciśniętymi blademi ustami i wydatną, jak u staruszki, brodą, wyrażała głębokie niezadowolnienie. Wogóle była ona niebrzydka; ale teraz patrząc na jej obwisłą, znużoną długiem natężeniem twarz, zdawało się, że po niej przeszła brudna ścierka. Podeszedłszy do tacy z deserem, przypomniała sobie nieprzyzwoitą farsę Sznapsa.

— To okropne! — zawołała pani marszałkowa głośno. — Okropne! — powtórzyła i blade jej policzki znowu się pokryły rumieńcem powtórnie odczutej obrazy.

Ale, jako oszczędna gospodyni, nie pozwoliła sobie unosić się i zajęła się gospodarstwem: w jadalni przejrzała wszystkie butelki, podejmując każdą do światła i nie zważając na wzruszenie, zachowała tyle gospodarskiej oszczędności, że wszystko zamknęła do szafy i schowała klucz do kieszeni. Potem pogasiła lampy i świece i weszła do pokoju męża.

— Co ty myślisz o tem, Pierre? — zawołała, pewna, że ją zrozumie.

— Pijany głupiec! — odpowiedział krótko Piotr Iwanowicz, rzeczywiście pojawiając się o czem żona mówiła i razem obawiając się, aby zbyt niemiłym słowem nie rozdrażnić się na noc.

— Teraz po całym mieście to rozniosą! — mówiła z gorącą pani, wyjmując szpilki z szynjonu. — Okropne, okropne! — powtarzała wyraz, który najlepiej malował jej uczucia.

— Daj pokój, duszko, Sznaps błazen i nic więcej.

Starła się uspokoić i nawet otarła łzy.

— Dobrze, że Orłowych i Scholza nie było! — dodał nieostrożnie Łupinskij i zaraz tego pożałował.

— Zawsze dowiedzą się — i to jeszcze z dodatkami! — zawołała żona w nowym paroksyzmie gniewu i rzuciwszy szynjon, załala się gorącymi łzami podrażnionej miłości własnej.

— Tego jeszcze brakowało — powiedział zaczynając się gniewać pan marszałek.

— Najprzykrzejsze to — mówiła, nie uważając jego tonu — że potrzeba znosić, że nie można tym zuchwalcom kazać milczeć...

— A najgłupsze to, że ty beczysz dla takiego dzieciństwa. — I wstawszy gwałtownie, Piotr Iwanowicz wyszedł do drugiego pokoju, cisnąwszy tak mocno drzwiami, że kieliszki i szklanki w szafie zadzwoniły. Pani marszałkowska postąla chwilę, jeszcze trochę popłakała i zaczęła powoli rozbierać się przed lustrem.

IX.

Każdy zapewne wie, że w miastach i miasteczkach zachodniego kraju istnieje ogromna różnica między oficjalną i rzeczywistą liczbą żydowskich »dusz«. Istnieje rzeczywiście ogromny procent żydów, chroniących się od urzędowych wpisów, stojących zatem po za prawem. Przy wypełnieniu więc wojskowej powinności, przy rekonstacyi, wprowadzona z konieczności zasada »powierzchnownego opatrywania«, stała się powodem

wszelkiej samowoli i takich geszeftów i nadużyć, z którymi trudno było polapać się, jak trudno rozróżniać przedmioty w ciemności. Ta ciemna społeczność, w której mieniały się imiona i nazwiska, gdzie fabrykowały się szczególne cechy i fałszywe spisy rodzin, gdzie umierali i zmartwychwstawiali wedle potrzeby, ojcowie robili się bezdzietnymi, a sieroty dostawały szczęśliwie istniejących rodziców; gdzie matki odstępowały za pieniądze swe dzieci obcym — ta cała tajemnicza społeczność nadawała się, jak nie można lepiej, do wszystkich tajemniczych interesów, do prawie jawnego naruszenia praw przy ocenieniu wieku żydów przyjmowanych, na zasadzie powierzchownych cech, do wojska.

Wszystko, co przedsiębrano przeciwko szkodliwemu odosobnieniu żydowskiego plemienia, stanowiącego prawdziwy *status in statu*, wszystko szło na korzyść żydów i zgubne odosobnienie kahału pozostało nietkniętem. Kiedy w 1874 roku spis żydowskiej ludności, nie zważając na wszystkie sztuki, dał niespodziewanie wielką przewyżkę i w Zachodnim kraju okazało się ich nie w porównaniu więcej, jak figurowało w dotychczasowych spisach, wówczas, razem z wprowadzeniem wojskowej powinności, postanowiono było przy przyjmowaniu do wojska żydów i ocenieniu ich wieku, mieć na względzie »powierzchnowy wygląd«. W czasach naszej powieści, ocena »powierzchnowego wyglądu« wyrobiła się w cały systemat. Jeżeli rok temu zdarzyły się pewne omyłki i niezręczności, to doświadczenie 12-miesięczne ulepszyło go na tyle, że nikt nie wątpił, że obecnie wszystko pójdzie dobrze.

Kombinacya »powierzchnowego wyglądu« odrazu rozszerzyła prawa członków komitetu przyjmującego do najrozleglejszych rozmiarów; okazała się wynalazkiem, który łatwo zamienił się w finansową operacyę z osobną buhalterją, technicznymi sposobami i nawet z osobnym żargonem, w którym interesowane strony rozumiały się przy pólśłówkach. Bo czyż doprawdy można postawić jakieś kryterium dla oceny wieku z powierzchownego wyglądu, i to jeszcze żydowskiego wyglądu?

Zapewne czysto wypadkiem, ale najczęściej wypadło tak, że wszyscy bogatsi żydzi albo nie dorośli, albo przerośli wiek służby. Starców szczególnie znalazło się mnóstwo, takie mnóstwo, że potrzeba było podziwiać żywotność żydowskiego plemienia. Prawda, z początku szeptano, a później opowiadano głośno, że ten sam stary żyd zjawił się po kilka razy do opatrunku za innych, nawet bez innego ucharakteryzowania twarzy, ale członkowie komitetu, rozumie się, nie uważali tego i uśmiechając się, jak starożytni augurowie, akuratanie i sumiennie opatrywali starego łotra, jednogłośnie znajdując go niezdolnym do wojska.

Cóż dziwnego, że społeczeństwo chrześcijańskie, na które spadała za to podwójna powinność, było poruszone smutnemi wieściami o szczególnym sposobie odbywania ogólnej wojskowej powinności? Nie mając możności protestować czynnie, ustanowiło ono niewidzialną kontrolę nad czynnościami członków komitetu; przysłuchiwało się rozmowom, nie opuszczając ani jednego, choć trochę potwierdzającego domysły, faktu, przypatrując się pilnie i ostrożnie. Był to nadzór (z którego sobie członkowie żartowali) wszystko-widzący i wszystko słyszający, który doszedł do przekonania, że młodych, zdrowych i zdolnych do służby żydów, zamieniali przy opatrywaniu ludzie starzy i do służby nie zdolni, a wyrażenie »powierzchowne opatrywanie« zostało synonimem wcale nie dwuznacznego pojęcia. Wszyscy gadali i wszędzie: na ulicach, na stacyach, w wagonach kolei; opowiadały się szczegóły w prywatnych listach, zjawiały się w gazetach; czasem nawet rodziły się »sprawy« gasnące cicho w jakimś sądzie. Lecz chociaż wszystko prędko zaciągało się kancelerską tajemnicą, jednak wieści trzymały się uparcie i niepokoiły opinię publiczną.

I w ten wir wszelkich intryg, dwuznacznych stosunków, handlowych interesów, plotek, rzeczywistych faktów i wymyślonych historyj, delacyj i anonimów, w tę ciężką atmosferę pożyczanych nazwisk, fałszerstw, podkupów, fabrykowanych chorób i maskowanego zdrowia, branych i dawanych setek

i tysięcy — wpadł rotmistrz Zyków! Uczciwy, gorący i nieznający prawa, poszedł lekkomyślnie przeciwko prądowi, uważając za obowiązek stać po stronie, którą uważał za prawą. Wszyscy go odstąpili. Piotr Iwanowicz, z niezwykłym mu grubijaństwem, wyraził się w swoim kółku, że »jedna parszywa owca, całe stado psuje.« Doktor Przepraszynski, w domu którego było, powiadają, laboratorium okaleczania, nazwał postępowanie rotmistrza pomieszaniami. Deputat od stanów Platon Antonowicz, kiwając swoją mądrą głową, powiedział, że »jeden w polu — nie wojak« i że »nie należy głową muru przebijać«. Była to wielka prawda, codzień potwierdzana praktyką życia. Ale jeżeli z Zykowa byli wszyscy niezadowolnieni, za to pan Skorłupskij, sekretarz marszałka, wzbudzał zachwyt: on nie tylko odszukiwał stosowne paragrafy, ale je prawie stwarzał; stanął też na wysokości swoich różnorodnych talentów i został duszą tego kółka, którego głową był Łupinski.

Byli oni nieomylni na polu cyrkularzów i paragrafów, a rotmistrz przeciwnie dopuszczał się ciągłych błędów, zdradzając na każdym kroku swoją nieświadomość; każde posiedzenie kończyło się jakąś ostrą uwagą, gryzącem słowem, dotkliwą wzmianką. Kiedy Zyków coś mówił, wszyscy się uśmiechali, Piotr Iwanowicz pokręcał węsą — raz nawet z cicha gwizdnął... Ogólna — główna sprawa poszła w kąt, a na wierzch wypłynęły osobiste rachunki. Ale, dzięki Bogu, pan Skorłupski nie drzemał: mrugał znacząco do prezydenta miasta, podpowiadał ławnikom, zaglądał do spisów rodzin, znał historię każdego Moszka, Berka i stosownie do okoliczności stwarzał lub zmieniał protokoły. Nieocenionym był w tym chaosie ów roztropny i akuratny jegomość!

Zyków, chociaż doskonale rozumiał całą tę szalbierską komedye, nie wiedział wcale, co począć: sędzia straszył go odpowiedzialnością według § 1055; prokurator, podszezuwając do protestu, żądał prawnej podstawy, faktycznych dowodów — więc Zyków, który posiadał tylko domysły i przypuszczenia, a żadnych oczywistych faktów, zachodził w głowę i rozkładał

zabawnie ręce ku wielkiemu zadowoleniu Natana Piotrowicza. Ale, ponieważ długie wahanie się niezgodne było z charakterem rotmistrza, więc pewnego poranku z murów urzędu gruchnęła wieść, że Zyków zrobił stanowczy krok.

Rzeczywiście rotmistrz podniósł głos i wypowiedział:

1) że wypiera się solidarności z czynnościami członków urzędu;

2) że nie wierzy w tożsamość żydów stawających do opatrywania.

3) że nie wierzy wziętym z ulicy, deputowanym niby, którzy potwierdzają tożsamość przedstawianych.

Takie jawne pogwałcenie harmonii, dysonans wśród zgodnego z kamertonem pauza marszałka urzędu, rozgniewał członków, pojmujących, że im chcą od ust odjąć łakomy kasek i w dodatku kasek, który sam do ust biegnie — byle otwierać... Tylko Platon Antonowicz umył ręce jak Pilat, wiedząc, że nie nie traci i śmiał się cicho — a w duszy żałował szczerze Zykowa, przewidując rezultat walki z góry.

X.

W czasie kiedy tak całe towarzystwo zainteresowane wypadkiem walki, burzyło się i rozdmuchiwało płomień wojny — Tatjanie Mikołajównie, podług przysłowia: na myśliwego i zwierz idzie, wypadło wziąć udział osobisty i w sprawie poboru. Przechadzając się jednego dnia za miastem, u turny spostrzegła taką scenę: znajoma jej żołnierka Barbara, oparta plecami o ogrodzenie, z wielkiem zajęciem słuchała włościanina, który, ocierając lzy rękawem kożucha, coś jej opowiadał. Chłop biadał widocznie, ciotka Barbara pocieszała.

— Już kiedy Platon Antonowicz mówił, to pewno tak, on nie oszuka, nie...

Tatjana Mikołajówna, rozumie się, zatrzymała się, rozpytała o gadatliwą żołnierkę o co chodzi i prawie mimowolnie

była zmuszona przyjąć udział, w mętным wirze epizodów, składających epopeję »ogólnej wojskowej powinności«.

— Więc ty skarż się, Kornelku, skarż się! Czyż już na nich sprawiedliwości niema?! Oto, pani — zwróciła się do Tatjana Mikołajówny — w rekruty chłopca biorą, a on jedynak u ojca kaleki i sam od kilku dni ma syna. Pokaż bilecik Kornelu, nie bój się, nie odbiorą! — Kornelek wyciągnął z zanadra jakąś ogromną, pstrą, perkalową chustę; w chuście był starannie zawinięty malutki kwadracik szarego papieru: na jednej stronie było nagryzmołone niewyraźnie nazwisko: »Kornel Dziesiętników« a na drugiej Nr 94 i czyjś podpis. Tatjana Mikołajówna poznała rękę Łupińskiego. W chuście były jeszcze jakieś dokumenty, a ponieważ rozpatrywać to wszystko wśród pola było niedogodnie, więc Tatjana Mikołajówna zawezwała Kornela do domu. Ciotka Barbara zachęcała biedaka:

— Idź, idź za panią, pani ci pomoże... Boi się! — dodała, kiwając głową ze współczuciem — oni zahukani, wszystkiego boją się. Widzi pani, dziś trzeci raz wlecze się z miasta... Idź, idź! czego się upierasz, Kornelku!

Młody człowiek, nieśmiało uśmiechając się zapłakanemi, błękitnemi oczyma, poszedł za Tatjaną Mikołajówną.

Była to cała historia.

XI.

Kornel Dziesiętnik mieszkał w najbliższej od miasta wiosce, zaliczał się do mieszczan i zależał od zarządu miejskiego. Na czele tej dobroczynnej instytucji stał prezydent miasta Eljasz Stepanowicz Monetkin. Eljasz Stepanowicz długo stukał do drzwi tej świątyni, długo w oczekiwaniu wegetował, jak mógł; był czas jakiś pisarzem, potem pomocnikiem pomocnika sekretarza, nakoniec sekretarzem i otrzymując 7 i pół miesięcznej pensyi, znalazł sposób pobudować sobie dwa domy. Potem już poszło mu gładko: został wybrany na prezydenta, nie zwa-

żając na to, że był kiedyś pod sądem za przywłaszczenie cudzej własności... Jakim sposobem go wybrano, dlaczego wybór zatwierdziły władze, pomijając tę sprawę — Bogu tylko wiadomo. Dawniej Eljasz Stepanowicz płaszczył się, kłaniał się co chwila, był skromny, usłużny, uważał za »władzę« nawet stróżów miejskich; — obecnie, tylko oddawał ukłony, znał wartość swoich przysług i zdzierał, za pozwoleniem, zdzierał obydwoma rękami! Był już żonaty; razem z podniesieniem się stanowiska wyrosły i potrzeby — i ten dawniej grzeczny i usłużny człowiek przedzierżnął się w krokodyla: wszystko, co podlegało zarządowi miejskiemu, musiało dawać mu dochód, płacić podatek — a nadzwyczajne wypadki, jak na przykład branka, były prawdziwym złotym deszczem.

Szczególniej wymagającą była sama pani Monetkin, z domu Manierna. Wychowana między praską a dziennikiem mód, w garderobie pani Jadwigi Jabłońskiej, żony przeszłego prawdziwego pana marszałka — nauczywszy się zaczesywać się modnie i pogardzać chłopem, panna Manierna, zostawszy panią Monetkin, miała jedno pragnienie: nie zostawać za innemi. I nie zostawała: na wzór sędziny, sekretarzowej i nawet sprawnikowej zamiatała swoją modną suknią błoto i śmieci okropnie brudnych ulic powiatowego miasteczka; na wzór pani marszałkowej nosiła białe rękawiczki, szynjony z lokami i nawet, Boże odpuść, zaczęła pić jakieś wody — nie znając od urodzenia innej wody, nad rzeczną! Ale ktoś opłacał te wszystkie nierozsądne zachcianki, to obrzydliwe życie pasożyta na rachunek cudzej pracy? Rozumie się, taż siwa świta, ten sam Kornel Dziesiętnik nie mający żadnego udziału w życiowej uczcie ani pani Monetkin, ani pani marszałkowej; taż siwa świta, która jada mięso dwa razy na rok: na Boże Narodzenie i na Wielkanoc, a dziegiowe buty ma za taki zbytek, którego może sobie pozwolić chyba w dzień odpustu i to z warunkiem, że z powrotem będą nie na nogach, a przez oszczędność na sznurku na plecach!...

Kornel Dziesiętnik przyszedł na świat z jedną gotową wiedzą; wiedział, że sam osobiście nic nie znaczy, a przeciwnie »władza« może wszystko: może przytoczyć jakie się podoba prawo, co się podoba potwierdzić i wszystkiemu bez zająknięcia zaprzeczyć, cytując przeciwny paragraf. Dlatego należało umieć tylko podejść do »władzy« — a ponieważ ta cała mądrość ograniczała na jedynej taktyce brania się wczas za kieszeń — więc chłopska kieszeń, jakby jaki stały bank, była otwartą w każdej porze i dla każdego, posiadającego jakąś nad chłopem władzę; nie czerpał z niej chyba ten, u kogo w duszy poruszał się jeszcze ten zabytek archeologiczny, nazwany sumieniem ludzkim.

XII.

Przyprowadziwszy go do domu, Tatjana Mikołajówna zaczęła go rozpytywać, ale na nieszczęście nie mogła prawie nic zrozumieć z opowiadań bez związku Kornela; on coś mówił o prezydencie, o spisach rodzin, o jakichś »gościńcach«, o jakichś nakoniec »połączeniach¹⁾, którzy go szczególnie niepokoiłi. Tatjana Mikołajówna przywołała na pomoc kucharza i dopiero Stefan, pogadawszy z Kornelem, wytłumaczył jej, że los dla Dziesiętnika wyciągnięty został przez prezydenta, nie tylko w nieobecności zainteresowanego, ale nawet wbrew zarządzeniom tego samego prezydenta, który powiedział mu jeszcze w maju, że już przerósł lata branki i obowiązkom służby niepodlega. »Połączenie« znaczyli landwerzystów, a co do »gościńców« — Stefan machnął ręką i uśmiechając się, objaśnił:

— Wiadomo — szubrawce!

¹⁾ »Opóczenie« żołnierz landwery — »połączat« odbierać — gra słów nie do przetłumaczenia.

Zupełnie niespodziewanie zważyło się na Kornela nieszczęście: właśnie młócił groch na toku, gdy nagle przyjechał z miasta stójkowy i jakby jakiego kryminalistę, nie pozwalając nawet wejść do izby, zaprowadził do urzędu; tam, zmieszkanemu niespodzianką chłopowi prezydent wsunął w rękę losowy bilet i odwrócił się właśnie w chwili, kiedy oprzytomniony miał coś powiedzieć. Prezydent nie miał czasu; od niego żądano objaśnień, dowodów; on naturalnie nic nie wiedział i na wszystkie pytania coś mruczał, czego nikt nie mógł zrozumieć. Z urzędu pobiegł do znanego dobrodzieja Moroszki, szlachcica i pokątnego doradcy; szlachcie Moroszko napisał mu prośbę i wyprawił do popa po metrykę, bez której żadna prośba nie ma znaczenia. Idąc do popa, Kornel uprosił znajomego żydka, by dał znać na wieś jego ojcu o tem, co się stało. W parę godzin później kulawy i garbaty, ale jeszcze czerstwy starzec, ze skórzanym workiem w zanadrzu, włókl się wykupywać syna z nieszczęścia. Ale pokazało się, że wykupić nie łatwo. Pop długo wykręcał się, ale się oprzeć pokusie »bumażki« (banknot) nie mógł i wydał świadectwo potwierdzające, że »Kornel Dzieśiętnikow ma 25 lat skończonych, że od czterech lat żonaty i że jest jedynakiem 60-letniego ojca kaleki«. To już było prawie wybawieniem. Ze świadectwem i prośbą w rękę, ojciec i syn rzucili się do urzędu.

Szlachcie Moroszko, mocny w prawie i w nadziei drugiego rubla, zaklinał się, że 25-letnich do wojska nie biorą i radził udać się wprost do wojskowego naczelnika w urzędzie. »On tam najstarszy, mówił, jego poproście«.

— Prezesowi pokłońcie się — radził jakiś żydek — on może wszystko...

— Do deputata, do deputata idźcie!

Et, nie słuchajcie, chłopcy! Do sprawnika najpierwej. On, powiadają niewielkiem zadawalnia się.

— Do sprawnikowej! — krzyknął ktoś i cały tłum zaśmiał się na głos.

— O nie! idźcie naprzód do doktora, który Ełowi Margolinu zęby zamawiał — powiedział żołnierz Bielski i znowu śmiech wesolej gawiedzi rozległ się za pomieszanymi włościanami. Ostatecznie odurzeni, ojciec i syn, biegali wszędzie, dokąd ich kto posłał, wszędzie wyjmowali coś z zanadru, kłaniali się, prosili i zyskali tyle, że od prezesa zostali za kark wypchnięci; doktor Przepraszynski prosto zapytał: »ile dadzą?«; deputat obiecał oswobodzenie; a zmięczony jakimś datkiem prezydent, łagodnie wytłumaczył, że nie zważając na metrykę, prośby przyjąć nie można, dlatego, że... spóźnili się z jej podaniem.

— Prawo wyszło takie, rozumiecie? nie można! — mówił wyprowadzając chłopów i ściskając w rękę papierek.

Włościanie wyszli od prezydenta miasta w zupełnej rozpaczy: wiedzieli z doświadczenia, że gdy raz prawo przeciwko nim, to sprawa przegrana. Stary popróbował pójść raz jeszcze do deputata, a Kornel, wracając do domu, spotkał na drodze Orłową. Orłowa zakłopotana się, nie wiedząc jak pomódz. Stefan zrozumiał jej pomieszenie po swojemu.

— Oni, pani, wszyscy złodzieje, oprócz rotmistrza — powiedział stanowczo — a co ten prezes! tylko mówić nie chce się... Wczoraj faktor opowiadał: zjawia się, powiada, z Tyrtowa delegat od żydowskiej gminy i milczkiem kładzie przed nim na stole paczkę... i ani ten, ani ów, ani słowa — ale przy losowaniu, jak tylko się zjawi jakiś żyd z Tyrtowa, zaraz wszyscy krzyczą »nie zdolny«.

Bojąc się obiecywać i zawodzić próżną nadzieją włościanina, Tatjana Mikołajówna namówiła go by zostawił u niej papiery do jutra. Rozumiała, że wdaje się nie w swoje rzeczy i przykro jej to było; ale milczeć, patrząc na taki wołający o pomstę fakt, stanowczo nie mogła. Meża jej nie było w domu, więc posłała Stefana po rotmistrza. Zyków przyszedł, ale tak był zmęczony posiedzeniem, zniechęcony bezprawiami branki, głupotą prezesa i członków urzędu, »oni tacy wszyscy idyoci!« że czuł się zupełnie złamanym... Kiedy po wypiciu herbaty,

rozproszyły się ciężkie wrażenia o tyle, że mógł zrozumieć opowiadania Orłowej, zerwał się i zawołał:

— Ależ to d..... wiedzą co takiego! chwytają ludzi jak zbrodniarzy!

— Cóż robić Dziesiętnikowi? prośby nie przyjmują...

— I nie mogą: wyszło rozporządzenie przyjmować tylko do 2 listopada, a dziś 6-ty.

— W jakim-że wieku obowiązani jesteście przyjmować?

— zapytała Orłowa, tracąc cierpliwość, ale starając się mówić spokojnie.

— W 21 roku, to wszystkim wiadomo...

— Widocznie nie wszystkim, bo Kornel Dziesiętnik ma 25 zapisanych w metryce, nie fałszywych, można popa zapytać!

— Cóż robić? zaszła omyłka... Czemu wcześniej nie starał się?

— Kiedyż się miał starać? biega od chwili, kiedy mu los w ręce wsunęli, a wcześniej nie wiedział, że podlega wojskowej powinności. Przeczytaj pan prośbę: szlachcie Moroszko za nią wziął rubla — za metrykę, za tę samą — pop także rubla, a prezydentowi rubla, a żydkowi-faktorowi, a Łukaszwowi za to, że wpuścił... Rozumie pan, Aleksandrze Danielowiczu, to przecie czysty rozbój! a pan powiada, że takie rozporządzenie...

Zyków wziął prośbę i nie doczytał do końca — położył na stole. Im bardziej zapalała się Tatjana Mikołajówna, tem więcej ostygł rotmistrz, a kiedy przed wyobraźnią jego przesunął się cały obraz branki, opatrywania, brakowania, cała wieża Babel codziennych sprzeczek, nieporozumień, obrażających przymówek, jakichś szczególnych, niezrozumiałych dla niego wyrazów; kiedy powstała mu przed oczyma cała masa widzianych żydowskich fizyonomij — i wszystko to zlało się w jedno nużące, wyczerpujące wspomnienie, z domieszką nieprzyjemności osobistej walki — zerwał się nagle i powiedział, że obecnie stanowczo nie jest w stanie zająć się sprawą Dziesiętników.

— Niech zajdzie do mnie jutro — dodał i pożegnawszy Orłową, uciekł widocznie rozdrażniony.

— Z tego nic nie będzie! — pomyślała i postanowiła udać się jeszcze do deputata Platona Antonowicza. Czuli, że ten prąd, który zmuszał ją zajmować się cudzemi sprawami, jakby własnymi, rósł w jej duszy coraz wyżej i wyżej w miarę wyrastania przeszkód i że do współczucia dla Kornela Dziesiętnika, łączy się teraz jeszcze gniew, prawie złość na głupi zbieg okoliczności, na niemożność dojrzania, z kądem czekać pomocy, z kądem sprawiedliwości. Zyków mówił, że tu zaszła omyłka, ale Tatjana Mikołajówna wiedziała, że dla urzędu jakiś tam jeden Dziesiętnik, wśród tłumu podobnych do niego nierozwiniętych, ciemnych, niezaradnych chłopów nie nie znaczyli w nikim nie wzbudzi współczucia.

Orłowa ubrała się i poszła do deputata. Platon Antonowicz był chory; zapewniał, że nie może pokazać się i nakoniec na jej usilne prośby, pokazał przez drzwi swoją niezadowolnioną twarz, której czarne, rozumne oczy pod siwymi brwiami zachowały żywość młodości.

— Wiem, wiem... był tu stary Dziesiętnik. I metrykę pokazywał; ale nie nie można poradzić... chyba jako jedynaka uwolnią... Przeziębilem się z kretelem na tych przeklętych sesjach... — mówił z nieukontentowaniem, otulając się i kaszląc.

— Cóż będzie z biednym Dziesiętnikiem? — przerwała Orłowa, bardzo mało współczując jego przeziębienie w tej chwili.

— Cóż pani każe zrobić?... Płatnina, chaos... Sam d..... przepraszam za wyrażenie, nie rozplączę.

— Są przecie spisy rodzin, Zyków mówił...

— Co tam Zyków! — niecierpliwie przerwał deputat. — Teraz widzimy, że źle się stało, a pierwiej to... Ale cóż! U nich głównie wszystko ja... ja!... Wielkie figury! — zawołał z gniewem już i ze szczególną intonacją i zapomniawszy się, pokazał się cały, obwiązany szalem i w futrzanym szlafroku.

Ale Tatjanę Mikołajównę stanowczo i »wielkie figury« nie interesowały.

— Jakże panowie przyjmujecie tak nieprawnie? — zapytała. — Przecież on ma 25 lat!

Platon Antonowicz uśmiechnął się.

— Niech pani raczej zapyta, kogo my prawnie przyjęli? Czy to Dziesiętnik jeden? To pani na niego trafiła — a gdyby ich wszystkich zebrać... dopieroby była komedia! Oto proszę, na przykład — dodał pokazując przez okno — oto dwóch przy wrotach stoi — każdy ma więcej jak 30... I metryki są, i nie żydzi, tylko włościanie unjaci... no, i cóż? Z okręgu pana Gwoździka — dodał od niechcenia.

— Jakże pan na to pozwala? przecież pan jesteś deputatem od stanów?

— Znalazła pani figurę! Mnie nawet nie pytają, a jak pytają, to nikt nie słucha odpowiedzi! Sam nie wiem, po co wlażłem w to błoto, tylkom zdrowie stracił...

— Rozumie się, jeżeli pan nie może nie zrobić — odpowiedziała Orłowa ostro, czego jednak zaraz pożałowała.

— I porzucę... i ręce umyję... — mówił rozdrażniony delegat. — Niech tam sobie robią, co chcą...

Tatjana Mikołajówna zrozumiała, że i dla niego, jak dla Zykowa, Dziesiętnik był nietylko nieinteresującą osobistością, ale powiększał tylko jeszcze sumę osobistych niezadowolnień z postępowania komisji rekrutacyjnej.

Wstała.

— Popróbuje Łupińskiego poprosić... napiszę... Doprawdy, ten Kornel Dziesiętnik mnie męczy! — powiedziała nerwowym głosem, w którym słychać było powstrzymane łzy — i wyszła z pośpiechem.

— Nie masz ty co robić! — pomyślał Platon Antonowicz, przeprowadzając i kłaniając się.

XIII.

Odbierając kartkę Orłowej, Łupiński zaczerwienił się. Był on w tem ponurem usposobieniu, w którym każda bagatela wydaje się nieprzyjemnością, prawie obrazą, a dawne niezadowolnienie z Tatjany Mikołajówny, tem silniej wybuchnęło, im staranniej je powstrzymywał. W ostatnich czasach między domami Łupińskich i Orłowych przebiegł jakiś cień: było to coś nieujętego, żadne wyraźne słowo nie wyrwało się, żadnego starcia nie było; ale na prowincyi wrażliwość rozwinięta do stanu chorobliwego, do możności przeistaczania rzeczy niewidzialnych w dotykalne; a od czasu nieporozumień z Zykowem ta wrażliwość u Piotra Iwanowicza doszła do najwyższego stopnia. Dla utrzymania opinii uczciwego człowieka, musiał *quand même* trzymać się Orłowych. Był to dom, do którego nie każdy miał wstęp, którego drzwi dla wielu były na zawsze zamknięte. Dobry stosunek z Orłowymi był właśnie tem moralnem podtrzymaniem, na którym, w razie jakichś wieści, insynuacji, czegoś podejrzanego i kompromitującego, Łupiński mógłby właśnie oprzeć się. Starał się też Piotr Iwanowicz, jak mógł; jego grzeczność mogła podkupić najsurowszego Kazona; w dzień imienin Tatjany Mikołajówny, w jesieni, kiedy dokwitają ostatnie georginy, zrobiwszy bukiet, własnoręcznie ofiarował go solenizantce. Wprawdzie, trudno mu było zachowywać pozory niewinności, ale robił, co mógł, wykręcając się i maskując wszelkiemi sposobami. Tak, bardzo mu było trudno: trzymając się z jednej strony Orłowych, z drugiej strony dla uniknięcia skandalu, musiał przyjmować doktora Przeparszyńskiego, z którym dawniej wiązały go jakieś delikatne interesa — sprawnika Słoniajewa, którego sam miał za gburę i głupca; jego pomocnika Akutę, na którego sam pisał donosy. Musiał przyjmować chytrego protojereję, spacerować pod ramię z Gwoździkiem, puszczać mimo uszu błazeństwa Sznapsa i nawet własnoręcznie częstować wódką, żydka z Meleszkowa,

Ieka. Ta niemożność pozbycia się stosunków z takimi ludźmi, o których Orłowie mieli już wyrobione zdanie, była dla niego źródłem wielkich zmartwień. Był to ciężki krzyż — lecz niósł go pokornie, mówiąc cudzemi słowami: »position obligée.« Cóż on winien, że wszyscy ci panowie mają do niego interesa. I chowając się za swoje oficjalne położenie, z całych sił starał się wydawać nie tem, czem w istocie był. I potrzeba mu oddać sprawiedliwość, drapował się bardzo zrećźnie. Ale miewał ciężkie chwile: fiasco imieninowe, jakieś wieści o rekrutacyi, które do niego doszły; parę słówek sędziego Iwana Tychonowicza, jakieś zapytanie z góry, protest Zykowa, krzyki Kołobowa i Komarowa, którzy bez ceremonii gadali w klubie o »powierzchownem opatrywaniu« — wszystko to razem wzięte nadało w jego oczach listowi Orłowej pozory rzeczywistego wyzwania.

— I po co się tu wściubia! — burknął z gniewem, rzucając kopertę. — Kto przyniósł? — zapytał stojącego u drzwi Michała.

— Ich Stefan. Powiada, że kazano czekać odpowiedzi.

— Powiedz, że odpowiedzi nie będzie... Nie, poczekaj — powiedz, że może iść, odpowiedź przyszlę.

Michał wychodził.

— Słuchaj — zatrzymał go znowu Piotr Iwanowicz — powiedz, że kazali kłaniać się, a odpowiedź przyszlę — mówił za odchodzącym Michałem.

Łupiński zasiadł przy kantorku wzburzony i zaczął odpisywać. List jakoś się nie udawał: myśli były, lecz płynęły bezładnie. Podarł dwa arkusiki pocztowego papieru, nim domyślił się posłać po Skorłupskiego.

— I po co wściubia się? czego nałazi? Gotowa jeszcze korespondencyę jakąś nagryzmolić... To jeszcze nie miała baba kłopotu... Poszli po Skorłupskiego? — zapytał niańki przechodzącej, rozrzucając papiery.

— Pobiegł Łukasz — odpowiedziała, zmykając z pośpiechem.

Nim pana Skorłupskiego odszukali gdzieś przy kartach, nim się rozliczył, nie spiesząc się, wiedział bowiem, że zażądają od niego jakiejś przysługi, nim nakoniec rozliczywszy się, przyszedł. — Piotr Iwanowicz przerzucił, przeklinając Tatjanę Mikołajównę, całe stosy papierów i nic nie znalazł. Pan Skorłupski urządził to w jednej chwili: ledwo zamienili kilka słów i jeszcze pomysłowy sekretarz nie zniknął za drzwiami, a już w głowie Piotra Iwanowicza ułożył się gotowy list, aż się uśmiechnął z zadowoleniem. »Szanowna Tatjano Mikołajówno! — pisał pan marszałek — napróżno raczyła się pani niepokoić o los mieszczanina Dziesiątnika. Zaglądałem dopiero do papierów i znalazłem, że w maju jeszcze moją własną ręką, w księdze familijnych spisów zanotowano, że on jest jedynakiem — a jednaków do wojska nie biorą!«

— Wykrzyknik da jej zrozumieć, jaką grubą popełniła omyłkę... Bestya ten Skorłupski! trzeba mu będzie tego...

»Dlaczego — pisał dalej pan Marszałek — Dziesiątnik nie wiedział o tem wcześniej i nie był ciekawy dowiedzieć się nawet w dzień losowania, 1-go listopada — Allach jeden wie! (I Allach bardzo w porę przyszedł na myśl, pomyślał pan marszałek). Po przystąpieniu zaś do losowania — pisał dalej — komitet nie ma już prawa przyjmować żadnych próśb i zażądań. Niedawno odebraliśmy o tem rozporządzenie ministerstwa spraw wewnętrznych. Dlatego to nie chciano uwzględnić metryki Dziesiątnika.«

— Widzisz — powiedział, przeczytawszy list Łupńskiego, Orłow, który tylko co powrócił ze wsi — nwalniają go jako jedynaka. Czegóż chcesz więcej?

— Na co mu tam przywilej jedynaka, kiedy go nie mieli wcale prawa powoływać? I co do tego przywileju — kłamstwo! Platon Antonowicz mówił mi, że w maju żadnych spisów familijnych jeszcze nie było, a on własnoręcznie uwolnienie dopisał! Przecież to fałszerstwo... O, co za szubrawiec! a ja go zawsze broniłam...

— Ależ zastanów się, jeżeli Dziesiętnikowa uwolnisz, to nie tu ważnego się nie stało...

— I ty także! Nikt nie chce mnie zrozumieć... Popelnili omyłkę a chowają się za jakieś rozporządzenie... Zrozumiejsze — gdyby nie ten wypadek jedynactwa, toby go wzięli, związali...

— Teraz już nie wiąza — powiedział z uśmiechem Orłow, starając się uspokoić żonę.

Przeczytała raz jeszcze list: »Naprawdę Pani raczy się niepokoić«... Nie — ja mu dowiodę, że niepokoiłam się nie naprawdę!

— I po co ci wdawać się w tę polemikę...

— Ale rozważ tylko, co z tym biednym włościaninem zrobili, do czego doprowadzili, jak nauczyli wszystkich kłaniać się i płacić! Cóż ja, na przykład, dla niego zrobiłam? Wcale nie. — A jednak czułam się obowiązany przynieść mi wczora dziesiątek jaj i nie mogłam go przekonać, że mi te jaja wcale niepotrzebne i nie mogłam go zmusić, żeby wziął za nie zapłatę!

— Tego tylko brakło, żebyś i ty wzięła łapowe za branke...

— Ach, nie żartuj! Jam doprawdy chora na tego Dziesiętnikowa... A ilu ich teraz takich!...

— No, a co Zyków?

— A nie: dla nich wszystkich to rzecz obojętna — powiedziała, odwracając się Tatjana Mikołajówna.

— Już płakać gotowa... Gdzie tobie ujmować się za kogoś, lub walczyć o coś, z temi waszemi nierozsądnymi nerwami?

— A jednak poprobuję — odpowiedziała, ocierając łzy i zabrawszy list Łupińskiego, poszła do swego pokoju.

XIV.

Wkrótce po historyi z Dziesiętnikiem i po proteście Zykowa, ciekawość towarzystwa miejskiego doszła do najwyższego stopnia. Wszyscy oczekiwali jakiegoś skandalu — i skandal

też nie omieszkiał nastąpić. Dnia 16 listopada było posiedzenie komitetu, pierwsze po urzędowem oświadczeniu rotmistrza, że nie solidaryzuje się z członkami komitetu. O dziesiątej dwa pokoje, przeznaczone na przyjmowanie rekrutów, były zapelnione przez żydów, oczekujących oględzin, przez ich krewnych, deputatów i przez znajomych krewnych i deputatów; a nakoniec, przez próżniaczy tłum ciekawych. Przeciągły żargon izraelskiego plemienia słychać było na dziedzińcu, w sieniach, na schodach, u drzwi wchodowych. Pan marszałek w mundurze z orderami, rozmawiał u stołu ze sprawnikiem i doktorem Przepaszyńskim. Platon Antonowicz kaszlący i owinięty w szalik stał przy piecu, trzymając ręce za plecami, z miną człowieka nie chcącego nic ani widzieć, ani słyszeć, i jeżeli potrzeba, gotowego zamknąć nawet oczy i zatkać uszy. Komisarz Gwoździk wybiegł wypić wódki.

Naciągając mundur z orderami, Piotr Iwanowicz czuł się podniesionym o kilka stopni wyżej: wówczas lżej oddychał, swobodniej poruszał się, głośniej mówił.

— Jeżeli to dalej tak potrwa — mówił groźnie, jakby robiąc komu wymówkę — ja za nic nie ręczę...

— Tak, tak, panie dobrodziej — potakiwał doktor.

— Powiadają — mówił sprawnik — że posłał już papier do jego excell...

Ale Piotr Iwanowicz nie dał mu dokończyć.

— Powtarzam, panowie, że tak być nie może! Rotmistrz Zyków wnosi niezgodę! — powiedział gniewnie i groźnie — i nagle spojrzawszy na Platona Antonowicza, który oczami wskazywał na prawo, zamilkł. W tej chwili z przedpokoju wbiegł zamaszyscie Gwoździk, a na jego spotkanie, brzęcząc ostrogami, zjawił się Zyków, który palił papierosy w sąsiednim pokoju, oczekując otwarcia posiedzenia. Kiedy rotmistrz podszedł do stołu z pobladłą twarzą i zaciśniętymi pięściami, wszyscy zrozumieli, że posiedzenie będzie burzliwe. Piotr Iwanowicz krzywo na niego popatrzył i zająwszy ze szczególną powagą prezesowskie krzesło, oświadczył, że posiedzenie otwarte-

Gwoździk usiadł przy Łupińskim i zaraz rozparł się na łokciach, chcąc dowieść zapewne, że na to wszystko jest obojętny. Rotmistrz wyjął swój notatnik. Zaczęto wywoływać żydów, których miano oglądać.

— Ieko Lejbman! — woła jakiś głos, i stary, przestraszony Ieko, patrząc z przerażeniem na członków, wychodzi na scenę, drżąc cały, chociaż wie dobrze, że nie zostanie przyjętym.

— Nie zdolny! — wykrzykują członkowie jednogłośnie.

I Ieko Lejbman, który może rzeczywiście jest Mowszą, pospiesznie ginie w jednostajnej masie takich samych Mowszów, drżących, bladych, chudych, dziwnie podobnych do siebie.

— Izaak Elo Margolin! — woła znowu tenże głos.

— Nie zdolny! — odpowiada chór członków.

— Zdolny! — przeczy pojedynczy głos Zykowa.

Nieszczęsny Izaak, syn miejscowego Rotszylda, był nadto znanym i bogatym, żeby go można oswobodzić bez sporu. Doktorowie rozpoczęli opatrywanie, i biednego Izaaka, jak nową ofiarę starożytnego Jehowy, gotowali się zamordować; oglądali go szczegółowo, kładli na krzyże i na piersi, podnosili, sprzeczczałi się i znowu kładli, liczyli żebra i zęby, stukali w piersi i w krzyże, wysłuchiwali serce — a było biednemu chłopcu w tej chwili mocno — znajdowali jakąś wątpliwą próżnię w płucach, a bojąc się omylić, prosili Gwoździka, żeby on posłuchał. Komisarz Gwoździk tak przejął się swoją rolą, że przyłożywszy ucho do piersi leżącego żyda, stukał nawet stetoskopem i potwierdził wątpliwość wieleznaczącem »hm!« Na koniec żyda podnieśli i zawyrokowali, że do wojskowej służby nie zdolny.

Rotmistrz Zyków utrzymał swój protest.

Przyjmowanie szło dalej.

— Srul Gutman!

— Niezdolny, niezdolny!

I Srul Gutman, dziękując swemu Bogu, zmykał ustępując miejsce jakiemuś Iekowi.

Przy nazwisku Gutmana rotmistrz popatrzył w swoją książeczkę, co zawsze szczególnie gniewało pana marszałka i zwracając się do uciekającego żyda, zadał mu jakieś pytanie. Żyd widocznie zmieszał się i popatrzył na członków przerażonymi oczyma.

— Za pozwoleniem, rotmistrzu — ostro odezwał się Piotr Iwanowicz — pan nie ma prawa go zatrzymywać. Proszę nie przeciągać posiedzenia.

— Robię, co mi każe mój obowiązek — powiedział głośno Zyków — a jeżeli pan...

— Proszę zamilczeć! — wrzasnął, zapominając się na chwilę Łupiński — albo jeżeli pan chce zadawać pytania, to nie inaczej, jak za mojem pozwoleniem — dodał już ciszej.

Zamieszanie w około stołu było kompletne: Platon Antonowicz, zawstydzony znalezieniem się prezesa, spuścił oczy; członkowie zjadliwie uśmiechali się; Zyków notował coś w książeczce i tylko zmieniona twarz i drżenie ołówka w ręku, mówiły o jego wielkiem wzruszeniu. Po pierwszej ciężkiej pauzie, podczas której słyhać było tylko skrzyp pióra niezmęczonego Skorłupskiego, rotmistrz, starając się mówić jak najgrzeczniej — pogardliwie-grzecznie, jak później opowiadał — poprosił o wniesienie do protokołu całego zajścia.

Po sesyi wszyscy unikali Zykowa, jak zarażonego dżumą, a Piotra Iwanowicza odprowadzono w tryumfie do bramy domu.

— A pan nie boi się ze mną zostawać? — zapytał uśmiechając się rotmistrz Platona Antonowicza; ale Platon Antonowicz, chory i zmęczony, biorąc paltot, spojrział tylko na niego z wymówką swojemi czarnemi oczyma i nie odpowiedział. Trochę później, u prokuratora Szolza, rotmistrz puściwszy wodze wzburzeniu, krzychał zrywając się ciągle i siadając:

— Może pan sobie wyobrazić, co ja czułem! Niewiem nawet, jak mi Bóg pomógł wstrzymać się, kiedy ten muzyk, ten nie znający ojca, Piotr Iwanowicz Łupiński, kazał mi milczeć, gdym zatrzymał jakiegoś podejrzanego żyda?!... rozumie pan, z bogatych?!... A ja naprzd już coś wiedziałem...

— Cóż pan z tem zrobił? — zapytał Szolz, obawiając się jakiejś jurydycznej omyłki dla Zykowa.

— Rozumie się, zażądałem wniesienia do protokołu — i o wszystkim doniosę.

— A protokół podpisany?

— U nas protokoły potem podpisują...

— Winszuję! — zaśmiał się Szolz. — Patrzajże pan, żeby ci nie zrobili jakiej niespodzianki...

— To niemożliwe! pan zawsze tak... Cóż mogą zrobić? wiedzą, że już posłał raport...

— Dla nich wszystko możliwe...

A w dziesięć dni potem, z odebraną korespondencją w rękę, Zyków krzychał do Szolca, złapawszy go na ulicy:

— Oto, panie, szubrawcy! Wszyscy, co do jednego, zaparli się! I nie widzieliśmy i nie słyszeliśmy!

— A nie mówiłem pannu? — odrzekł Szolz, zadowolony ze swojej przenikliwości.

— Lecz posłuchaj pan, co wypadło! — I tuż, na ulicy rozpowiedział, że na zapytanie z góry o sesyi 16-go, cały komitet odpowiedział, że wbrew raportowi rotmistrza Zykowa, prezes głosu nie podnosił, milczeć rotmistrzowi nie kazał, o niezgodzie nie mówił — a przeciwnie, krzychał i hałasował sam Zyków.

— A coż filozof Platon? przecież, pamięta pan, u Orłowych, potwierdził pańskie słowa?...

— Zrobił małe omówienie: »że słowo »niezgoda« chociaż było wymówione, lecz nie oficjalnie, przed otwarciem posiedzenia«. Szczególny człowiek! grzeszy zupełnie platonicznie, nie biorąc ani grosza.

— Dla zasady: z wilkami żyjąc, potrzeba po wilczemu wyć — powiedział Szolz i pożegnawszy Zykowa, poszedł do więzienia.

XV.

Walka między Łupińskim a Zykowem stawiała się codziennie bardziej zawziętą: łapali się, podburzali na każdym kroku wzajemnie i trudno było przewidywać, na czyjej stronie będzie zwycięstwo. Nie zważając na widoczną wyższość Łupińskiego, na jego zręczność, znajomość prawa, podtrzymywanie z góry i z dołu, brakło mu tej moralnej niezależności, dzięki której tylko można śmiało wszystkim w oczy spojrzeć; poczuwając się do różnych grzeszków, tracił pewność siebie przy każdej niespodziance. Po każdym posiedzeniu komitetu rekrutacyjnego, odbiegał go sen i apetyt. Zyków przeciwnie spał doskonale, a jeżeli czasem zapalał się i krzyczał, to go to oświeżało jak zimna kąpiel w gorący dzień. Pan marszałek zakuty w pancerz kancelaryjnych finesów, przesiąknięty cały paragrafami, polegał przedewszystkiem na prawie — Zyków na Bogu i własnem natchnieniu.

— Gdyby mi tylko — mawiał — Pan Bóg pomógł złapać na gorącym uczynku, tobym się obszedł i bez prokuratora.

I Pan Bóg pomógł mu.

Jednego bardzo mroźnego styczniowego dnia była sesya towarzystwa dobroczynności w domu Orłowych. Ze wszystkich członków, odznaczających się akuratnością, brakło tylko Łupińskiego, który pojechał »urządzać byt wiejskiego duchowieństwa,« jak świadczył sędzia Iwan Tychonowicz — i Szolza, który zachorował w wilią tego dnia. Kiedy posiedzenie skończyło się i gospodyni zajęła się herbata, rozmowa przeszła na sprawy bieżące, z których najważniejszą, naturalnie była rekrutacya. Wokoło stołu, oprócz gospodarstwa, siedzieli Iwan Tychonowicz, Platon Antonowicz i dyrektor gimnazjum Sosnowicz. Wszyscy trzej byli konserwatyści najwzorzorszej lojalności.

Wśród tej rozmowy wpadł nagle Zykow poruszony, rozjaśniony, tryumfujący. Z przedpokoju jeszcze wołał:

— Złapałem, złapałem! i dowody mam w ręku!... Pamięta pani, mówiła... a ja złapał na gorącym uczynku, niech powie prokurator!

— Kogo złapali? gdzie? — zapytał przestraszony dyrektor, łapiąc się za kieszeń.

— Bądź pan spokojny, u pana wszystko w całości — odpowiedział Zyków, obchodząc stół i witając się. — Tak, panowie, można powiedzieć, że to była gra! — mówił, siadając i biorąc z rąk Orłowa szklankę herbaty.

— Pewno jakiegoś żyda złapali? — zapytała Tatjana Mikołajówna.

— Żyda? co tam żydzi! — powiedział pogardliwie Zyków — samego pana marszałka złapano, ale jak? na gorącym uczynku, z tryumfującymi dowodami... Tu już schować się niema za kogo... samemu wypadnie odpowiadać... — mówił pospiesznie Zyków, nie dając nikomu słowa wtrącić. — Tak, można mu teraz zaśpiewać piosenkę ś. p. Bazylego Kiryłowicza Tredjakowskiego — tak podobno nazywał się? — zapytał dyrektora: — »chodzi ptaszę wesoło po ścieżynie smutków, nie przeczuwa żadnych złych dla siebie skutków...«

— Słuchaj, Aleksandrze Daniłowiczu, powiedz-że, nakoniec, o co rzecz chodzi?

— A o to, panowie, że samego pana marszałka z owsem złapano! Rozumie pani, Tatjano Mikołajówna, z owsem! Do czego doszedł? co?

— Nie, nie nie rozumiem... Z jakim owsem? Nie mogę przypuścić przecie, żeś go pan u siebie w spiżarni z miarką owsa złapał.

— Gorzej jeszcze: gdybym go złapał u siebie, Bogiem się świadcę — Zyków przeżegnał się — że mógłbym mu dać, dla uspokojenia sumienia parę prętów i puściłbym na cztery wiatry: ruszaj sobie i nie grzesz więcej... Ale on, rozbójnik! — Zyków złapał się za głowę z ruchem rozpacz.

— Słuchajcie, panowie, zaczął innym tonem, powiem wszystko w porządku, tylko proszę nie przerywać.

— Kto tam pana zatrzyma? — powiedział śmiejąc się Orłów.

— No, więc zaczynam!

Wszyscy przysunęli się do stołu i patrzyli na Zykowa z wyteżoną uwagą. Dyrektor i sędzia zamienili spojrzenia, Platon Antonowicz wyniósł się niespostrzeżenie.

— No, jadę więc na spacer na rzekę. Pogoda taka, że o dwa kroki nie widać... Śnieżnica, zamieć... Ale mój siwek zastał się, myślę sobie potrzeba konia przejechać i pojechałem... A pokazało się, że to nie o konia chodziło — tylko już Opatrzność mię na tę drogę wyprowadziła. Jedziemy, to jest nie jedziemy a lecimy — państwo wiedzą, jak chodzi mój siwy? — odezwał się w Zykowie stary kawalerzysta — nagle fury na drodze... Stój! co wieziecie? — »Owies.« — Dla kogo? — »Dla pana marszałka.« — Po czemu? Milczą. — Po czemu sprzedaliście? — krzyczy mój Ignatowicz. — »Nie sprzedawali, tak za kopię wieziemy.« — Tak! myślę sobie — jednakże zamilezałem. Jedziemy dalej, patrzę pod Kitwarę drugi taki sam szereg wozów. Co u diabła? myślę sobie, czy znowu kopia? — Stój! dla kogo wieziecie? — Dla pana marszałka i t. d. słowo w słowo. Nie wytrzymałem. Słyszałeś? pytam się Ignatowicza. — »Słyszałem, wasza wielmożność! — Zawracaj, powiadam, napowrót i prosto do prokuratora. I weźcie na uwagę, że nie mam zwyczaju rozmawiać po drodze, bo śledzę ruchy konia, a tu jak umyślnie... Rozumie się, palec Boży... Jedziemy do prokuratora... leży na kanapie z zawiązaną głową, na migrenę choruje. — Nie już, powiadam, jak zechcesz, łaskawco, jedziemy. Opowiadam krótko i jasno, a sam, czy wie-rzycie? drzę cały. Namówilem. Zrzucił pantofle, ubrał się. Po drodze zabieramy żołnierza Bielskiego — rozumiecie? na świadka... Chociażem nie jurysta, a także już coś pojmuje! Jednak, choć spieszyliśmy, a spóźniliśmy się. My do rzeki, a oni koło Szczelkanowa i do marszałka w dziedziniec zawracają.

— Więc tak przepadło? — zapytała Orłowa z nieskrywanym żalem.

Sędzia westchnął swobodniej; dyrektor chciał coś powiedzieć, ale Zyków nie dopuścił.

— Jeszcze lepiej wypadło! Powiadam państwu: wola Boża! Wiercie, czy nie — ale to już tak!

— Widzę, żeśmy się spóźnili, więc mówię do prokuratora: Słuchaj, łaskawco — tymczasem, rozumieją państwo, miałem już nowy plan gotowy — odwiozę, powiadam, pana do domu, niby spacerowaliśmy — a pan okólną drogą, koło gimnazjum, przychodź zaraz do mnie, urządzimy figła prawdziwego... — »Cóż pan, pyta, chcesz zrobić?« — Nie wiem nic, niewiem jeszcze; tylko przychodź na miły Bóg!...

Sędzia próbował już kilka razy wstać — teraz przysiadł bliżej Zykowa, który wypiwszy jednym tchem zimną herbatę mówił dalej:

— Zostawiłem prokuratora u jego mieszkania, a sam żywo do domu i powiadam Bielskiemu: Bielski, mój drogi — przebierz się w cywilny strój — a on jak zrzuci uniform, zupełnie się zmienia — nawet twarz robi się inna...

— Wszak to on podpatrywał, jak do Przepraszypińskiego przed branką żydzi z drugiego ganku chodzili!

— On, naturalnie! On te wszystkie ich manewra doskonale zna; widział jak wyrwał synowi Rotszylda ośm zębów...

— Okropieństwo! — z pomimowolnem drżeniem powiedziała Orłowa.

— Sądzę, że to bajki, zauważył z fałszywym uśmiechem Sosnowicz.

— Kryłowa! — dodał z szyderstwem Zyków. — Ale to inna rzecz! Kochanku, mówię Bielskiemu, idź ty na podwórze pana marszałka i tych chłopów, co tam owies zrzucają do spiżarni, pod jakimkolwiek pozorem namów, żeby tu przyszli. — »Słucham« powiada. — Ale poczekaj. Ty nie wołaj ich tu prosto, ale umów ich, żeby cokolwiek naprzykład przewieźli... Skłam, jak tam możesz najzręczniejsz. — »Skłamię, powiada,

wasza wielmożność.« Idzie i tak zręcznie rzeczy prowadzi i kłamie, że wszyscy chłopci, dziesięciu ludzi, przychodzą do mnie... Umówił ich za dwa ruble do przewiezienia jakichś mebli — a mebli, naturalnie, żadnych!... Przychodzą — a u mnie w każdym pokoju po świadku, a w gabinecie prokurator we własnej osobie z piórem w ręku... Przeżegnali się chłopci, stoją, patrzą na mnie. Ja prowadzę ich wprost do obrazu — mam Aleksandra Newskiego w srebrnej szacie — przed obrazem lampą się pali... Umyślnie dla nich zapaliłem... No, powiadam, bracia, z tej ściany na was sam Bóg patrzy... powinniście prawdę powiedzieć...

— Zupełnie, jak Napoleon przed piramidami.

— Konieczność zmusza zostać Napoleonem, Tatjano Mikołajówno! Słowem, po zrobieniu stosownego wstępu, wziąłem się do rzeczy: chłopcy, powiadam, pamiętacie, o co was pytałem, spotkawszy na rzece? — »A pamiętamy, panie,« powiadają. — A pamiętacie, coście mi wówczas powiedzieli? — »A powiedzieliśmy, że wieziemy owies dla pana marszałka,« odpowiadają naiwnie chłopci, nie podejrzewając samotrzasku. I doskonale, w przytomności niewidzialnego prokuratora, całą rzecz opowiadali. I jeszcze jak?! Z dodatkami... że to nie pierwszy raz i nie owies tylko — że wozili i drwa, i siano, i leguminy, i różne różności... No, podli zdziercy!... Dalem chłopom wódki. Dwóch rubli wziąć za nie nie chcieli. »Niema za co« powiadają. Jaka to delikatność! Proszę postawić na ich miejsce urzędnika; no, choćby samego marszałka! Odeszli nakoniec. Wychodzi prokurator — patrzymy na siebie i milczymy. Widzę, że pobladł mój Gustaw Andrejewicz, zmienił się. Cóż, powiadam, laskawco, jakże ci się to podoba? — »Oto, powiada, szubrawcy! I kogóż obdzierają? Za jakąś tam kopię tyle owsa!« A Bielski z za drzwi: »jemu wszystko wiozą i drwa, i kury, i jaja« powiada. »Nawet kartofle« dodaje Ignatowicz i zapominając o dyscyplinie, śmieje się na całe gardło. »Nawet kartofle, powierzają panowie? Dalibóg, nawet wstyd...«

Zyków wstał i zaczął chodzić po pokoju. Na chwilę zapanowało milczenie.

— Doprawdy, to trudno uwierzyć, że Łupiński do tego doszedł, tak nisko upadł — mówi Tatjana Mikołajówna, kładąc na stole robotę i patrząc na Zykowa.

— A kiedyż on wyżej stał? Ja pani zawsze mówiłem... Mam do tych ludzi rodzaj instynktu... węch... Ledwom wszedł do bawialnego pokoju i zobaczył całą tę pretensję, to nie umiające się zamaskować chłopstwo, to mię coś zaraz natęchło: złodzieje, myślę sobie, zdziercy-russyfikatorowie co się nazywa! Dziwię się, jak też pani tego nie dopatrzyła od razu? A Kołobow zaręcza, że on źle skończy: »na ławie, powiada, obwinionych będzie — jeżeli nie za sfalszowanie jakiego testamentu, to za jakieś inne fałszerstwo.« A ja mówię, że na nasze miejsca takich właśnie potrzeba, takim tylko tu życie!

I odsunawszy pogardliwie próżną szklanę, Zyków wstał, mówiąc, że musi jeszcze zajść do prokuratora.

— No, a cóż prokurator? Czy zacznie sprawę? — zapytał Orłow.

Zyków, stojąc już we drzwiach, zżymnął ramionami.

— Kto tam ich prawo zrozumie? Mówi, że to nie podlega jego władzy. Dobry nawet człowiek, zdaje się — a jednak płacze się... Podobno zanadto paragrafów im ponapisywali; nie mogą się połapać...

XVI.

Skandal z owsem, dzięki Zykowowi, który krzyczał wszędzie, że mu Bóg pomógł złapać złodzieja marszałka, rozszedł się nader prędko po mieście i na drugi dzień już przez garderobę i kuchnię dostał się do pani marszałkowej. Pani krzyknęła i pobiegła do męża.

— Jaki niegodziwiec ten Zyków, Pierre! — I rozpoznała znaną historię z owsem.

W pierwszej chwili Piotr Iwanowicz tak stracił przytomność, że zaraz chciał jechać do gminy. Czerwieniał, bladł, płatał się, jak uczeń złapany na uczynku; owies, prokurator, włościanie, lampa, Zyków — wszystko to zlało się w jego mózgownicy w jakąś męczącą mieszaninę pojęć, wyrażającą się jednym wyrazem: złapał się! — Złapał się, złapał się! powtarzał w nerwowym przestachu, zbity z tropu niespodziewanym ciosem i pił zimną wodę szklanka po szklance. Zimna woda wróciła mu nieco przytomności, — wypalił papierosa, posłał po Skorłupskiego i napisał krótką karteczkę do sędziego Iwana Tychonowicza, który wszystko wiedział, wszystko słyszał z ust samego rotmistrza i czekał tylko zręczności, żeby się popisać ze swoją wiedzą prawniczą. Obaj przyszli natychmiast. Ale zdania się podzieliły. Sędzia radził zacząć atak, nie czekając prokuratorskiego obwinienia — którego się spodziewał, nie zważając na powiedzenie Zykowa — a Skorłupski proponował — wyczekiwanie.

— Pogadają, pogadają i przestaną! Mamy jeszcze na karku rekrutacyę — mówił, wskazując na spisy rodzin, leżące na biurku Piotra Iwanowicza. — Gdyby tak można jego samego doprowadzić! To co innego byłoby...

Pan marszałek, już znacznie uspokojony, rozmyślał, jak mu lepiej postąpić, gdy nagle dowiedział się, że nieostrożny rotmistrz sam idzie na wędkę. Iwan Tychonowicz tryumfował: »a co? nie mówiłem? Jak tu opuścić taką zręczność?« mówił do Piotra Iwanowicza — i razem obmyślali plan przyszłej kampanii.

Przeszło kilka dni na jakiejś tajemniczej, podziemnej robocie, wśród stronników pana marszałka; pan Skorłupski, zapomniawszy o brance, biegał zaafierowany od domu do domu; sędzia, zawsze gotów pomódz tam, gdzie prześladowano niewinność i nie gardzący żadną rozrywką, zrana nosił się z księgą praw, a wieczorem do chadzał klubu, badać opinię publiczną. Stary Gusiew i reszta członków opieki gotowi byli przyjąć

udział w obławie na pierwszë zawołanie. Nakoniec wszystko było przygotowane.

— Duszko — powiedział Piotr Iwanowicz, wchodząc z ożywioną twarzą do pokoju żony — mam trochę gości, należałoby dać śniadanko... — A zobaczywszy schodzących z góry sprawnika i protojereja, pospieszył na ich spotkanie do przedpokoju, gdzie już zdejmował futro sędziego i stali członkowie opieki, nie odważając się wejść bez zaprosin.

Posadziwszy gości, Łupinski zaraz przystąpił do rzeczy.

— Panowie! — zaczął, czując się w roli wodza w dniu decydującej bitwy — doszło do mojej wiadomości, że rotmistrz Zyków...

— Tak! proszę sobie wyobrazić — podchwycił swym przyjemnym tenorem protojerej, zwracając się do sędziego i zawiązując się w liliową zwierzchnią suknię — proszę sobie wyobrazić, tak publicznie, bez ogródek...

— Słyszałem, słyszałem! — jakby oszczędzając Piotra Iwanowicza, przerwał mu ze współczuciem sędziego, kiwając głową.

Ale duchowny nie zrozumiał i ciągnął dalej:

— Dziesięciu, powiada, ludzi zeznało przed obrazem, że owies bezpłatnie przywieźli... Pan także słyszał? — dodał wskazując na sprawnika.

— I myśmy słyszeli! — powiedział Gusiew, wskazując na członków opieki — i gotowiśmy pod przysięgą...

— Przecież tak nie można: choć on tam i rotmistrz, i powiada, że ze krwi Ruryka — dodał gniewnie oburzony sprawnik.

Piotr Iwanowicz powstał i opierając się rękami o stół z uczuciem przemówił:

— Wdzięczny jestem panom za wyrażone uczucia, ale — mówił dalej wzruszonym, trochę drżącym głosem — samego potwierdzenia jego zuchwalstwa za mało, potrzeba dowieść, że to jest fałsz! potrzeba pociągnąć go pod paragraf 7896.

— Paragraf 7897 — poprawił Iwan Tychonowicz.

— Tak, paragraf 7897... mówiliśmy właśnie o tem z Iwanem Tychonowiczem... Liczę na was, ojcze Eljaszu, na wasze przekonywające słowo do włościan Sielnickiej gminy — powiedział Piotr Iwanowicz, patrząc wprost w oczy protojereja.

— Gotów jestem w miarę sił moich — odpowiedział z godnością protojerej, przykładając rękę do krzyża na piersi.

Po Łupińskim przemówił sędzia.

— Wpływ pański, ojcze Eljaszu, na owieczki taki...

— Że w was cała nasza nadzieja! — dokończył Piotr Iwanowicz. I nie dając popowi przyjść do słowa, zaczął z zapalem tłumaczyć, jak potrzeba wszystko zrobić.

Plan był bardzo prosty, protojerej musiał niezwłocznie pojechać do Sielnicy i tam przekonać włościan, że nigdy nie panu marszałkowi bezpłatnie nie wozili, a szczególnie, że nigdy nie podobnego nikomu nie mówili. Pop widocznie wahał się, poprawiał loki, miał coś powiedzieć, kiedy zjawiała się pani marszałkowa i poprosiła na śniadanie. Wszyscy przeszli do jadalnego pokoju i tam pod niezwykłym wpływem przekąsek, starki i portweju, protojerej, poddał się pokusie fałszu i razem z Piotrem Iwanowiczem, przy pomocy sędziego, potwierdzającego każde swe słowo paragrafem prawa, ułożyli taką strategiczną kontr-minę, która stanowczo niszczyła wojenno-prawny spiszek Zykowa i Szolca.

— Poświadczą, poświadczą wszystko, co się podoba! — mówił wesoło podochocony protojerej, ręką za swoją trzodę duchowną.

— Kto tam wie? mogą, przypuścimy, upierać się — zauważył przewidujący sędzia.

— A w takim razie, ojcze, po swojemu ich nastraszą, piekłem, czy co tam... — powiedział sprawnik.

— Nie, proszę pozwolić — przerwał mu z uszanowaniem p. Skorłupski — w takim razie można im wytłumaczyć, że pieniądze za drwa poszły na urządzenie wiejskiej szkoły, albo na inną potrzebę publiczną!

— Nie, właśnie na szkołę! Doskonały figiel! — zawołał wesoło protojerej, i zarzuciwszy szerokie rękawy swojej zwierzchniej sukni *couleur évêque*, nalał sobie kielich lafitu. — Tak i powiemy!

— I to zupełnie słusznie — powiedział niezmiyszany wcale Piotr Iwanowicz — sprawa szkolna zawsze mi leżała na sercu, a ojciec Eljasz, jako nauczyciel religii, zna wszystkie moje ofiary.

— Gotów jestem zaświadczyć przed całym światem — mówił rozczulony protojerej, wychylając kielich i czując, że mu się w oczach lzy kręciły już — zaczął się żegnać.

Łupinski przeprowadził go aż na ganek i tam jeszcze raz mocno ścisnął za rękę. Pop tak był rozczulony grzecznością pana marszałka, jego śniadaniem i lafitem, że tu zaraz na schodkach mocno postanowił wziąć na sumienie mniemane ofiary Piotra Iwanowicza nie tylko na szkoły istniejące, ale nawet i na takie, które, równie jak i szkoła w Sielnicy, istniały tylko w wyobraźni tych zacnych ludzi.

Przeprowadziwszy gości, Piotr Iwanowicz nabrał otuchy — ale uspokoił się zupełnie dopiero, kiedy się dowiedział, że do Zykowa przyjeżdżał wójt z Sielnickiej gminy z oświadczeniem, że »chłopi tak, z głupoty o owsie gadali, a pan marszałek nie tylko owsa, ani drew — lecz ani ziarna nigdy za wszystkie swoje łaski nie wziął.«

— Wysłuchałem tego Judasza — opowiadał potem Zyków Orłowym — i przyznaję, że z przyjemnością zrzucił go ze schodów. Nie mogłem wytrzymać! Podły — sprzedał swoich i nawet srebrników nie dostał! — tak tylko z niewolniczego strachu...

— Mój Boże! do czego ich doprowadzili! — powiedziała Tatjana Mikołajówna.

— Niech pani raczej powie, do jakiego bezwstydu sami zbóje doszli! — powiedział Zyków, grożąc w powietrzu pięścią.

A wieczorem Kolubow powiedział Orłowowi, że pan marszałek zaniósł na Zykowa skargę za oszczerstwo — obiecał

nawet, za pomocą starego Gusiewa, dostać z niej kopię i przynieść.

W mieście rozpoczęła się kryminalna sprawa.

XVII.

Piotrowi Iwanowiczowi Łupińskiemu stanowczo w ostatnich czasach nie udawało się: zaledwie pokierował jak należy sprawą z owsem zapozwaniem do odpowiedzialności Zykowa, gdy w *Tygodniowym Przeglądzie*, gazecie, w której niegdyś opisaną była historia Sosnowieckiego buntu, zjawiała się korespondencya o brance.

W całym mieście dwie tylko osoby odbierały *Tygodniowy Przegląd* — więc interesujący numer wyrywano sobie z rąk — wielu nawet przepisywało korespondencyę, a usłudżnemu Iwanowi Tychonowiczowi, wieczorem dopiero i to dzięki pośrednictwu kilku osób, udało się posłać wymięty numer Łupińskiemu.

Piotr Iwanowicz słyszał już od Gusiewa, że w gazetach coś jest i męczyło go pragnienie dowiedzenia się, co mianowicie? Ale etykieta kazała mu udawać, że go ta drobnostka nie obchodzi wcale. Obchodziła go jednak do takiego stopnia, że gotów był oddać Bóg wie co, za ten fatalny numer. Przyszła nakoniec ta pożądana chwila: zobaczywszy sługę sądowego z papierem w ręku, pan marszałek, zapomniawszy o swojej godności, wybiegł na ganek.

— Dawaj tu, dawaj! — zawołał i niedosłuchawszy przywitania, wyrwał papier i prawie wbiegł do pokoju.

Kiedy rozwijał arkusz, ręce mu drżały i wiersze skakały przed oczyma; odrazu nawet nie zrozumiał wszystkiego — ale za to kiedy zrozumiał, oburzenie nie miało granic. Rozwiązał nawet krawat, czując że się dusi. Pobiegł do żony i zetknawszy się we drzwiach ze zdziwioną francuską, nawet nie przeprosił, pomimo swej zwykłej grzeczności.

— Duszko! — wrzasnął dziwnym głosem — duszko, chodź-no tu.

— Co tam takiego? — zawołała przestraszona wyrazem głosu męża pani marszałkowa, która naradzała się z krawcem Berkiem i wbiegła, nie mając nawet czasu pozapinać sukni.— Co tobie?

A widząc w ręku męża gazetę, dodała klasnąwszy rękami:

— Znowu o klepkach?

— Włazły ci w głowę te klepki, że ich i wołami nie wyciągnąć! — z gniewem powiedział Piotr Iwanowicz. — Weź, przeczytaj, podziwiał, jak twoja przyjaciółka nas opisała!

I wsunąwszy jej gazetę w ręce, palcem wskazał korespondencyę.

Pani marszałkowa nieszczególnie czytała po rosyjsku, oprócz tego miała krótki wzrok i wzięwszy gazetę, długo ruszała bez dźwięków ustami. Piotr Iwanowicz był w takim usposobieniu, że go wszystko gniewało: to wstawał, to znowu siadał.

— No, cóż? przeczytałaś na koniec? — zapytał, stając przed żoną i wyciągając rękę do gazety.

— Ale tu nie takiego niema — powiedziała niepewnym głosem — o kubanach ani słowa...

— A ty byś chciała, żeby cyfry były wystawione i podsumowane? — odrzekł zżymając ramionami.

— Ale jednakże...

— Ręczyłaś przecie — mówił z gniewem, pospiesznie i przelękając słowa — ręczyłaś, że się nie ośmieli... »My z nią w takich stosunkach...!« — przedrzeźniał żonę. — Jakże! jeszcze parę dni temu z wizytą do niej jeździłaś! — wymawiał żonie z całą niesprawiedliwością rozniewanego człowieka, zapominając zupełnie, że to on wymagał tej wizyty.

Tego pani już nie mogła wytrzymać.

— Boże mój! Czyż to nie ty sam...

Ale on nie dał jej dokończyć.

— Zapewne ja wszystkiemu winien, wszystko ja...

— I cóż teraz będzie? — zapytała żona z nienawiścią patrząc na gazetę.

— A to będzie, że ją do turmy posadzę, na Syberją poszlę, do ciężkich robót... Żyć nie chcę, jeżeli się tego nie dobiję... Całą prokuraturę na nią naszlę, całe ministeryum sprawiedliwości... na imię monarsze skargę napiszę... — krzyczał, nie rozumiejąc prawie tego co mówił. — Niech dowiedzie! Gdzie dowody? A ja, głupiec, jeszcze na prezesa dobroczynności ją wykierowałem! — zawołał uderzając się w czoło — na imieniny bukiet kwiatów ofiarowałem! O głupi, głupi!

I schwycił się za włosy.

Żona z cierpieniem na twarzy, milcząc oczekiwała żeby przeszedł ten paroksyzm.

Pomilczawszy i odpocząwszy, pan marszałek znowu zajrzał do gazety, i znowu ją rzucił.

— O Dziesiątniku na piśmie jej odpowiedziałem, sam dowody dałem w ręce! Potrzebaż takiej głupoty!... A wszystko ty: »odpisz i odpisz! Nie uchodzi!« — powtarzał jej słowa. — A teraz uchodzi?

Zerwał się, zrobił kilka kroków i znowu usiadł przed gazetą.

— Zadziwiająca rzecz, doprawdy — myślał głośno — że ci redaktorowie drukują tak wszelkie paskustwo! Nie znają człowieka, nie widzieli nigdy... a błotem rzucić gotowi! Com ja, na przykład, zrobił choćby oto temu redaktorowi? — I Piotr Iwanowicz zamilkł, oczekując jakiegoś pociesającego słowa od swojej małżonki. Ale cóż mogła mu powiedzieć? Cierpiała biedna z nim razem i z całej duszy nienawidziła w tej chwili wszystkie gazety i wszystkich redaktorów na świecie.

— Bydłeta! — warknął Piotr Iwanowicz sam do siebie.

I w sprawiedliwym swym gniewie zaczął lajać wszystkich, kto mu tylko na myśl przyszedł; dostało się redaktorom, wydawcom, księgarzom, całej prasie; dostałoby się było i Guttenbergowi, gdyby go sobie przypomniał w tej chwili; dziwił się Panu Bogu, że może ścierpieć taką niesprawiedliwość

i nakoniec, wyrzuciwszy cały potok gniewnych słów, uspokoił się trochę.

— Idź sobie, duszko — powiedział z niespodziewaną pieszczotą w głosie — potrzebuję coś obmyśleć.

Żona wyszła.

Ale obmyślenie czegoś było bardzo trudne: tem trudniejsze, że do gubernii przyjechał niedawno nowy gubernator, o którym chodziły takie wieści, że cała gubernia zaczęła wzdychać za świętej pamięci uwolnionym Michałem Dymitrowiczem. »Umiał wziąć — umiał i innym dać!« mówili wzdychający i ze strachem oczekiwali przyszłych wypadków. Strach ten zmienił się w istną panikę, gdy nagle uwolniono pięciu czy sześciu urzędników, a w liczbie ich i Sznapsa, znanego gubernatorowi jeszcze z Wiatskiej gubernii. Wskutek tego niektórzy słabego ducha pospieszyli podać prośby o dymisyę, inni oczekiwali przyszłości ze drżeniem. Piotr Iwanowicz, mając przyjaciół w gubernatorskiej kancelaryi, czuł się zupełnie bezpiecznym, gdy nagle korespondencya zniszczyła nielitościwie ten spokój. Jak każda korespondencya, żeby mieć prawo do druku, mówiła o wielu rzeczach ostrożnie, kazała się domyślać, czytać między wierszami — ale Piotr Iwanowicz, znający sprawę lepiej od korespondenta, zrozumiał i dopełnił to, czego brakowało. Ze strachem właściwym złemu sumieniu, obawiał się nawet tego, o czem nikt nie wiedział i nie wzmiankował. »A jeżeli?!« myślał sobie i czuł, że dostaje gorączki i dreszczów. Straszny wyraz »przedajny«, przez nikogo jeszcze nie wymówiony, brzmiał mu już w uszach, wypisywał się ognistemi głoskami na ścianach. Słyszał głosy, widział wyraźnie litery — była to prawdziwa hallucynacya. — Piotr Iwanowicz zamknął oczy i długo siedział w tem niemiłym położeniu.

XVIII.

Tego wieczora Zyków był u Orłowych. Zachwycił się korespondencyą.

— W życiu mojem nie lepszego nie czytałem! Krótko, jasno, obrażająco od początku do końca; każdy przecinek wygląda jak policzek, a nie sposób wskazać, co mianowicie obraża! — mówił do Tatjany Mikołajówny, która nie mogła wstrzymać się od uśmiechu, patrząc na jego ożywioną i zadowolnioną twarz. — Wie pani, czytałem żołnierzom, z początku sam, potem kazałem podoficerowi przeczytać: — No, cóż? pytam, czyście rozumieli, chłopcy? — »Zrozumieliśmy, wasza wielmożność!« — Cóżście rozumieli? — »W komitecie kradli, wasza wielmożność!«

— Nie może być!

— Przysięgam pani! — Zyków przeżegnał się.

— Poczekaście — powiedział Orłow — pan marszałek zapozwie was o szarpanie jego honoru.

— Niech się nawet Panu Bogu poskarży! Powiadają, że go djabli brali, spazmów dostawał, czytając... Gusiew mi dopiero rozpowiadał, spotkałem na ulicy... Ale najzabawniej, że on tego po pani się nie spodziewał, nie oczekiwał...

— Dlaczego? po historyi z Dziesiętnikiem mógł zrozumieć, że tak tej sprawy nie zostawię.

— Niech pani wierzy, że nie nie zrozumiał... I nagle taka niespodzianka! Doskonały figiel! Niech pani posłucha, jak zabawnie było z korespondencyą, jak do celu trafiła. Odebrałem dziś zrana gazetę, przeczytałem i aż podskoczyłem. Powiadam do Ignatowicza: mów — chwała Bogu! Rozumie pani, nie mogłem wytrzymać. — »Chwała Bogu! powiada, wasza wielmożność!« — A teraz, podaj rzeczy! — Ubieram się, numer do kieszeni, idę na mszę. Staję obok sędziego i szepeczę w czasie kazania: Zajdź pan do mnie, powiadam — przyjmę pana korespondencyą — śliczności! — »Nie można, mówi, po

mszy u nas chrzciny — żydówkę Fejgę chrzczimy; ja nawet do chrztu trzymam. On, wie pani, taki religijny i w dobrych stosunkach z popem.

— Oto ja nie mogę zrozumieć, jakim sposobem porządny człowiek może być w dobrych stosunkach z protojerejem Sapiencą? Czyż nie sam Natan Piotrowicz nazwał go »protożydem« (protojewrejem)? Mojem zdaniem pański Natan Piotrowicz dla mnie zagadka, której rozwiązanie nie musi być ciekawe — powiedziała Tatjana Mikołajówna.

— Nie, on przyzwoity człowiek, pani go jeszcze nie zna; ale jego obowiązek takiego rodzaju...

— To jest, jakiego? — zapytała z zadziwieniem.

— A takiego, że musi być ze wszystkimi w dobrych stosunkach — odpowiedział Zyków zupełnie poważnie. — Prezes zjazdu...

— No, łaskawco, jak chcesz, ale takie obowiązki nie do zazdrości! — powiedział śmiejąc się Orłow.

— Cóż dalej, Aleksandrze Daniłowiczu? — zapytała Tatjana Mikołajówna, widząc, że Zyków prawie obraził się. — Natan Piotrowicz powiedział, że mają chrzciny...

— A tak! ja, powiada, do pana nie mogę, niech pan lepiej zajdzie do protojereja; tam przy całej publiczności pan przeczyta. Prawosławno-literacki poranek urządzi się — dodał ze śmiechem. — On, wie pani, taki sprytny i zaraz domyślił się. Idziemy do popa: u piróg na stole, gospodarz w fiole-
tach, broda rozczesana; popadnia w sukni w kraty z ogonem; sprawnikowa z sędziną na kanapie, odwrócone od siebie, jak dwugłowy orzeł... Policya, justycya, ministerjum oświaty, reprezentowane przez Sosnowicza — słowem cały synedryon... przy pirogu!¹⁾ Wybrałem stosowną chwilę, wyjmuję gazetę i mówię głośno: — Oto, panowie, korespondencya z naszego miasta — jeżeli chcecie, to przeczytam. Wszyscy zwrócili uwagę, sprawnik nawet żuć przestał.

¹⁾ Narodowa odświętna potrawa.

— Bądź pan łaskaw! — wołają — rzecz interesująca.

Patrzę, na wszystkich twarzach wzruszenie.

— O wszystkich, powiadam, tu coś jest...

— I o mnie? — zapytuje się Sosnowicz.

— O panu najwięcej.

— Zapewne znowu Orłowa — mówi mrugając protojerej do sędziego — sędzia na znak potwierdzenia zamyka oczy. Zacząłem czytać. Czytałem z uczuciem, zatrzymując się na przecinkach, na punktach, na wszystkich znakach pisarskich. Przeczytałem i schowałem gazetę do kieszeni.

— No, i cóż? — zapytała Tatjana Mikołajówna.

— Wszczął się straszny hałas, zaczęli wszyscy krzyczeć razem, nawet o pierogu i prawosławnej wierze zapomnieli. Przepraszyński wrzeszczy, potrząsając kieliszkiem:

— To oszczerstwo, obraza całego komitetu...

— Dyffamacya — podpowiada Natan Piotrowicz, podlewając umyślnie oliwy na ogień.

— Obraza honoru! — krzyczy sprawnik. — Niech dadzą dowody!

— Tak można z za kąta kogo się podoba ogadać — mówi protojerej.

I wśród całego tego hałasu jeden tylko Sosnowicz zachowuje swój glupowaty uśmiech i szepcze mi do ucha:

— O figlarz z pana, figlarz! Przecież o mnie tam ani słowa!

— Poczekaj pan — powiadam. — Przyjdzie kolej i na pana. Nie stracisz na tem, że poczekasz!

Zostawiłem ich w wielkiem wzburzeniu i uciekłem.

— Nic to, niech się trochę poboją — powiedział Jerzy Dymitrowicz — korzyści z tego, rozumie się, wielkiej nie będzie, ale będą przynajmniej ostrożniejsi. A to już doprawdy wszelkie poczucie miary stracili.

XIX.

Pan marszałek przyszedł na herbatę tak zmieniony, że żonie zakreśliły się łzy w oczach. Usiadł pośpiesznie do stołu i wypijwszy jedną szklankę wbrew zwyczajowi bez śmietanki, powiedział, że więcej nie chce. Wszelkie starania żony, żeby go trochę rozweselić, na nic się nie zdaly; a gdy, uciekając się do ostatniego środka, nagle zagrała jakiś modny marsz, wypadło jeszcze gorzej. Usłyszawszy te głośnie, tryumfalne, z ciągłym ogłuszającym hukiem pedału dźwięki, Piotr Iwanowicz drgnął i odsunąwszy gwałtownie krzesło, powiedział z nieukontentowaniem:

— Bądź tak dobrą, duszko, przestań — i tak głowa pęka...

Pani marszałkowa zaczerwieniła się, urwawszy marsz w pół taktu i zamknęła fortepian.

Przerwawszy muzykę żony, Łupiński, nie zważając na spóźnioną porę, posłał po pana Skorłupskiego, który umiał zawsze jakoś sprowadzić go do normalnego stanu. Stanowił on swego rodzaju *digitalis* przeciwko palpitacyi serca pana marszałka. Pogadawszy jakie półgodziny o korespondencyi z panem Skorłupskim, który znowu miał już o niej rozmowę z sędzią, Piotr Iwanowicz znacznie uspokoił się: każda rozrywka, każde odwrócenie uwagi od cisnącego go niepokoju, natychmiast podnosiło w nim upadający duch. Przeżegnawszy na noc dzieci, poszedł spać z tą pocieszającą myślą, że *la nuit porte conseil*. I nie tylko wkrótce zasnął, ale przespał dłużej jak należało i wszystko, co mu się wczoraj wydawało zapłatanem i groźnem — i przyjazd nowego gubernatora i korespondencya, i zbrakowany Margolin i przyjęty Dziesiętnik — wszystko wydawało mu się dziś prostem i jasnym. I kiedy błyszczące styczniowe słońce ukośnemi promieniami wcisnęło się przez szpary okiennic do sypialni, wszelka bojaźń znikła, jak ręką ujął. Teraz widział jasno co ma robić, powiedział sobie,

że się nie podda, a dowodów niema,« wziął mundur i stanowczym, pewnym krokiem, z podniesioną głową, kłaniając się po drodze na prawo i na lewo, poszedł na posiedzenie komitetu. Na twarzy jego nie znać było wczorajszych wzruszeń, dziś była tylko poważną i surową. Przywitawszy się z członkami komitetu, starając się nie patrzeć na Zykowa, a jednak pomimo woli widząc każdy jego ruch, pan marszałek otworzył posiedzenie. Jak tylko ucichł ruch przysuwanych krzeseł, Piotr Iwanowicz podniósł głowę, spojrzał na wszystkich członków i wyjawszy z bocznej kieszeni znakomity numer *Tygodniowego Przeglądu*, powiedział:

— Zapewne, panowie, słyszeliście już o obrażającym artykule pod tytułem: »Ciekawe wypadki ostatniej branki,« skierowanym przeciwko członkom komitetu rekrutacyjnego...

— Nie przeciwko wszystkim — powiedział Zyków; są i tacy, którzy nie mają za co obrażać się.

— Ja znajduję — mówił dalej Łupiński, nie zwracając uwagi na Zykowa i akcentując zaimek — ja znajduję, że tej obrazy nie należy puszczać bezkarnie i proponuję podanie do prokuratury zbiorowej skargi.

— Tak, panie dobrodzieju, tak! — zawołał doktor i chciał coś jeszcze powiedzieć, ale pan marszałek powściągnawszy poważnem spojrzeniem jego niewczesny zapal, dokończył równie poważnie:

— Proponuję zapoznać o dyffamację według 1039 paragrafu, autora korespondencji, panią Orłow, jej pomocników i redaktora gazety... Co panowie na to? — zwrócił się do członków. Wszyscy członkowie, z wyjątkiem Zykowa i nieobecnego deputata od stanów, mileżąc nachylili głowy.

— Proszę zapisać w protokół, zwrócił się pan marszałek do Skorłupskiego, czując rozdrażnienie i prawie ból od ironicznego uśmiechu Zykowa.

Pan Skorłupski przygotował się do pisania.

— Ja protestuję przeciwko niestosowności artykułu i nie

mam siebie za obrażonego — powiedział wyraźnie Zykow i coś zapisał sobie w książeczce.

Pan Skorłupski zaczął skrzypiec piórem.

Jeszcze członkowie nie przeszli do porządku dziennego, jak już wieść o skardze i o sądzie, podsłuchana przez znajdującego się w sąsiednim pokoju członka opieki, przeszła do sieni, gdzie cisnęli się żydzi, przebiegła falą przez plac, zajęła po drodze garkuchnie i sklepy i w ciągu godziny całe miasto wiedziało, że pan marszałek »oddal pod sąd« Orłowa i rotmistrza Zykowa.

Korespondencya i skarga wywarły zwyczajne w takich razach wrażenie na towarzystwie miejskiem. Stronnikom Piotra Iwanowicza dostało się wiele pracy: doktor Przepaszyński dowodził, unosząc się, że pan marszałek jeżeli zechce, to nie tylko Orłowę albo Zykowa, ale kogo mu się podoba, może we 24 godzin wysłać z miasta; sędzia Iwan Tychonowicz wyszukiwał paragrafy, przytaczał kasacyjne wyroki; pan Skorłupski dostał gdzieś szczegółne wydanie praw, w którym znalazło się i takie, podług którego Tatjanę Mikołajównę można było pociągnąć do podwójnej odpowiedzialności. Ale Łupiński okazał się wspaniałomyślnym i podziękowawszy Skorłupskiemu za dobre chęci, oświadczył, że tymczasem dość jednej odpowiedzialności. Zamknął się w swoim pokoju, zapuścił nawet story, żeby uniknąć dystrakcyi i wziął się do pisania. Po napisaniu dziesięciu stronnic i postawieniu ostatniego punktu, oparł głowę na łokciach, wzniosł oczy do sufitu i zamyślił się. Bóg wie co mu tam chodziło po mózgu; czy doszedł już do tego, że sam uwierzył w prawdę napisanej skargi? czy chodziło mu tylko o to, żeby czasem nie za wiele nakłamać? Od pewnego czasu czuł, jakoby się w nim zerwała jakaś struna, która go dawniej wstrzymywała od brudnych i brzydkich spraw; teraz był zdolnym do wszystkiego i nie przebieając w środkach, korzystał ze wszystkiego co wpadło w ręce.

XX.

Minęły dwa tygodnie i wzburzenie, przycichające powoli, znowu się podniosło, gdy w urzędowym gońcu zjawila się wzmianka o powołaniu do odpowiedzialności według § 1039 żony radcy nadwornego Orłowej, wojennego naczelnika rotmistrza Zykowa i assessora kollegialnego, redaktora *Tygodniowego Przeglądu* Kandauirowa.

U Orłowych było kilka osób. Przyszedł Zyków w nastroju, który Tatjana Mikołajówna nazywała »spadłym na kilka stopni.« Spodziewał się, że korespondencya przewróci wszystko do góry nogami, jego podniesie a członków komitetu w proch zrzuci i nagle, przeczytawszy ogłoszenie o zapozwaniu go do odpowiedzialności sądowej, wpadł w straszne oburzenie: schłódł nawet dla korespondencyi i niezadowolnionym był z Tatjany Mikołajówny.

— I znowu powtórzę — ciągnął Zyków dalej rozmowę rozpoczętą z Jerzym Dymitrowiczem — że korzyści nie będzie żadnej: przeczytają, dowiedzą się, że w takim to mieście są sprzedajni urzędnicy i powiedzą, jak Zachary Obłomow o pluskwach: »a czyż może istnieć państwo dobrze urządzone bez sprzedajnych?« Proszę wierzyć, że nie mądrego stąd nie wyjdzie.

— To jest, że ich nie wyszlą na Sybir, chce pan powiedzieć.

— Nawet ze służby nie wypędzą! U nas przecie wszystko tak, nigdy nie wie człowiek, co z czego może wypaść: za tę samą sprawę można i order dostać i pod sąd pójść... korzyść!... Nawet śmiech porywa! — dodał z goryczą.

— Korzyść przynajmniej taka, że fakt oświecony, że nie wszyscy milczą i sam pan przecie mówi, że na przyszłość będą ostrożniejsi... Dosyć tymczasem i tego, że w ich partyi powstało rozdwojenie: będą słabsi...

— Tak, tak, Tatjano Mikołajówno: *divide et impera!* — zawołał wchodzący do pokoju Szole.

— Do tego jeszcze daleko — odpowiedział witając go Orłow i sadzając obok Zykowa.

— A pani wie, że pani pod sądem? — zapytał Szole Tatjana Mikołajówny.

— A jakże... Najpierwszy Stefan mi o tem powiedział: »a pania, powiada, marszałek do tury do chce posadzić...« No i doskonale! — zwróciła się do Zykowa. — Niech sobie, jak pan powiada, nie z tego nie będzie, niech ich nagrodzą, a mnie z panem pod sąd...

— Za cóż mnie? niech się pani zlituje!

— A koniecznie i pana!... Lecz czyż można milczeć przy takich wołających o pomstę faktach, jak owa historia z Dziesiętnikiem? Dlatego to my nigdy nie możemy dojść w niczem do końca, że po pierwszej próbie spodziewamy się koniecznie wielkich rezultatów. A jeżeli odrazu nie udało się, odpada nam zaraz ochota do rozpoczętej sprawy, opuszczamy ręce, a właśnie w chwili, kiedy składamy broń, tacy niezmordowani szermierze jak Łupiński, łączą się ściślej i działają z zadziwiającą zgodą... Weźmy np. tę nieszczęśliwą korespondencyę, jeżeli i jest kto dla niej pobłażliwym (nie uniewinniając w każdym razie autora, bo to rzecz nie kobieca) to dlatego jedynie, że interesuje, jak pewnego rodzaju skandal, jak pieprzna nowina, a żeby zajrzeć głębiej w sprawę, nikomu nawet na myśl nie przyjdzie... Przypatrzcie się tej niezgodzie, tej prawie nieprzyjaźni, z jaką patrzymy na siebie wzajemnie — gdy oni tymczasem...

— A wszystko to dlatego — powiedział Jerzy Dymitrowicz — że oni bronią siebie samych, a wy wzięliście się do obrony interesów ogólnych, w które rozumni ludzie już dawno nie wierzą... Teraz za Łupińskim wszyscy, i Gwoździak, i Sosnowicz, i opieka, i policja...

— No tak! i wybiła go, a mnie wystrychną na dutka — powiedział Zyków, zrywając się i biegając po pokoju.

— Wie pan, Aleksandrze Daniłowiczu — powiedziała mu Tatjana Mikołajówna — są wypadki, kiedy nie tylko ucziwiej, ale

i rozumniej nawet, przepraszam za paradoks, zostać dudkiem...
Ja przynajmniej wcale się tego nie boję...

— O, i ja się nie boję — zobaczycie jeszcze czem się to wszystko skończy; słusznie Natan Piotrowicz mówi...

— Natan Piotrowicz, nieoceniony człowiek — odparła Tatiana Mikołajówna — ale ja niezawsze wierzę temu, co on mówi. Zdaje mi się, że on jednego dnia dlatego powiada jedno, żeby na drugi dzień twierdzić coś innego...

W tej chwili weszli Komarow i Kolobow.

— Słyszeliście państwo? — zapytał ostrożnie Komarow, witając Tatianę Mikołajównę.

— A pan nie słyszał? — odpowiedziała, śmiejąc się.

— Mnie pani aptekarzowa zakomunikowała: »panią Orłowę — powiada — na trzy miesiące do tury. To, pytam, pani zadekretowała? « Nie, broń Boże! powtarzam, co ludzie rozpowiadają.

— A Panu, Piotrze Dymitrowiczu, kto powiedział?

— Przepraszynski na całą ulicę krzyczał... oni teraz tak utrzymują.

— A widzi pani! — zawołał Zyków.

— Czyż doprawdy pan nastraszył się aptekarzowej? — zapytała Tatiana Mikołajówna.

— Aptekarzowa nie aptekarzowa, ale jednemu z całym światem wojować trudno! — powiedział Szolc, wbrew zwyczajowi, podtrzymując Zykowa.

— Wie pan, Gustawie Andrzejewiczu, że jednostronne tłumaczenie tego przysłowia przyniosło wiele szkody, a nigdy nikomu nie dało korzyści. Zapewne, iść za większością łatwiej, ale ja — wolę pozostać nawet zupełnie samą... tylko z nim — dodała, wskazując na męża.

— A pan słyszał, Aleksandrze Daniłowiczu — zapytał Komarow — jakim sposobem pan marszałek bierze za każdego uwolnionego od wojska żyda?

— Nie, nie słyszałem — odpowiedział, ożywiając się Zykow.

— Ja sędzę, że on ma różne sposoby — zauważył poważnie Kołobow.

— Ale jeden zasługuje na szczególną pochwałę: w dzień oględzin wyjeżdża »urządzać byt wiejskiego duchowieństwa«, i cały interes robi się bez niego.

— Prawne *alibi* — powiedział Szolc.

— Rozumiecie państwo? cała sztuka w tem, że on zupełnie na stronie!

— Jaka finezyja, co za wykończenie! — zawołał prawie w zachwycie Zyków. Wiele to potrzeba było zużyć pracy, żeby dojść do takiej doskonałości w szalbierstwie?

— Praktykuje od kiedy włożył czapkę z kokardą — powiedział Kołobow.

— W ostatnich czasach jeszcze udoskonalił ten proceder takim sposobem, że nawet nie wyjeżdżał, a tylko udawał nieobecnego — dodał Komarow.

— Zkąd pan o tem wie? — zapytał Szolc.

— Akula rozpowiadał w klubie.

— A to kajdaniarz! — zrobił *a parte* uwagę Kołobow.

— Czyż za to nie można go posadzić na ławie obwinionych? — zapytał Orłow Szolca.

Szolc milczał — coś kombinował.

— Widzicie, już się zamyślił — powiedział z wymówką Zyków. U nich nic nie można! I po co też, Panie odpuść, istnieją prokuratorowie! — zawołał rotmistrz i zaczął się żegnać.

— Więc jakże co do redaktora, Aleksandrze Daniłowiczu? — zatrzymała go Tatiana Mikołajówna. — Czy dasz mi pan kopię z waszych postanowień? potrzeba przecie uwolnić go od odpowiedzialności...

Zykow trochę zmieszał się.

— To jest... jaką kopię? podług naszych praw wojskowych, nie wolno mi...

— Ale pan zgadza się, że zakomunikowane przezemnie cyfry i wiadomości są prawdziwe?

— Najzupełniej.

— Więc w takim razie, ażeby nie zgrzeszyć przeciw waszemu wojskowemu prawu, niech pan potwierdzi to wszystko listem adresowanym do mnie, a ja go przeszlę redaktorowi...

— Z największą przyjemnością — powiedział z przymuszonym trochę uśmiechem Zyków.

— Przynajmniej w razie sądu...

— Już to sądu żadnym sposobem nie unikiecie — stanowczo wyrzekł prokurator.

— A mnie, przeciwnie, zdaje się, że żadnego sądu nie będzie — powiedziała Orłowa — że tak sobie wszystko przejdzie i pokryje się mgłą zapomnienia.

— W żadnym razie! — równie stanowczo powtórzył Szolc. — Prokurator nie ma prawa odmówić przyjęcia skargi z § 1039. Może odmówić obwiniania, ale sądu nie unikiecie...

— Tem lepiej! — zawołała Orłowa. — Tym sposobem przynajmniej podniesie się choć malutki kącik zasłony, pokrywającej ze wszystkich stron sceny Poleskie, gdzie popełnia się tyle bezprawia, i to nawet przed oczyma prokuratora — dodała, żegnając gości.

— Dobrze Tatianie Mikołajównie mówić, nie biorąc w tem wszystkiem udziału — mówił niezadowolonym tonem Zyków, wracając do domu.

— Jak to nie ma udziału, kiedy pierwsza idzie pod sąd? — odparł Kolobow.

— Tak, ale to nie przeszkodzi jej karierze — powiedział Zyków, myśląc w tej chwili o jakimś papierze, otrzymanym »z góry«.

— Zauważyłaś, jak Zyków ostygł? — mówiła Orłowa do męża po wyjściu gości. — Myślę nawet, że listu nie da.

— Napewno da. Dziś był pod wpływem mądrego Natana i dlatego cofał się, a oprócz tego odebrał paperek, w którym zalecają umiarkowanie.

Jerzy Dymitrowicz nie omylił się. Na drugi dzień, przy herbacie, Stefan podał Tatianie Mikołajównie wielką, zapieczetowaną kopertę. Był to list, którym rotmistrz Zyków oficjalnie

potwierdzał prawdę wiadomości podanych w korespondencji do *Tygodniowego Przeglądu*. List ten Tatiana Mikołajówna zaraz wysłała do Petersburga, a wieczorem całe miasto wiedziało, że rotmistrz Zykow »przyjął wszystko na siebie«, usuwając zupełnie od odpowiedzialności Orłową i redaktora. Spełniwszy ten bohaterski czyn, ryzykując, jak mówił, swoją karierę, Zyków chciał, żeby przynajmniej jego postępek miał jak największy rozgłos. Znowu nabrał otuchy i w dzień napisania listu miał siebie za prawdziwego bohatera. Przeciwnie Łupiński, dowiedziawszy się o liście, bardzo się rozgniewał; możebność wypłatania ze sprawy Orłowej wydała mu się nową obrazą ze strony Zykowa.

— O nie! to się nie uda! — zawołał, rzucając niedopałony papieros.

Biedny pan marszałek, który parę godzin temu czuł się takim pokrzepionym i pewnym siebie, pod wpływem tego »głupiego listu«, jak się wyrażał, znowu doznał przypływu zwątpienia i niepokoju, który sprawiał mu zawsze ból pod łyżeczką. Posmutniał, zmienił się na twarzy — i, żeby się rozzerwać, postanowił pojechać do gubernialnego miasta.

XXI.

Pan marszałek wyjechał z żoną. Wiadomość o ich wyjeździe dała powód do rozmaitych komentarzy. Stary Gusiew pod wielkim sekretem powiedział Kołobowowi, że Łupiński wyjął z opiekuńskiego kufra swoje pieniądze, — »mogą się przydać« mrugnął znacząco. Opowiadając to pod sekretem w każdym domu, bardzo prędko rozpowszechnił wiadomość, że pan marszałek pojechał skarżyć się tak wysoko, że zabrał z sobą wszystkie pieniądze.

— Skarżyć się, skarżyć się pojechał! — mówili wszyscy i udzielali sobie wzajemnie rozmaitych kombinacyj. Małe, próżniacze a ciekawe towarzystwo dlatego jeszcze interesowało

się podróżą Łupińskiego, że z naznaczeniem nowego gubernatora wszyscy oczekiwali nowego kierunku. Chodziły wieści, że przysłanie tego nowego dygnitarza miało na celu »desinfekcję powietrza w Bołotyńskiej gubernii.« To allegoryczne wyrażenie było zrozumiałem dla wszystkich. Z czasem, niestety, wszystko to pozostało na stopie allegoryi, ale wówczas z rozczuleniem opowiadano, że nowy gubernator przyjął nawet jakąś babę z najdalszej gminy i na jej skargę, kazał zaraz zrobić najdokładniejsze śledztwo. O ile to było prawdą — a nawet czy było coś podobnego, nikt nie pytał, a poprostu wszyscy wierzyli i wielu straciło sen i apetyt.

Przedstawiwszy się nowemu gubernatorowi, Piotr Iwanowicz zostawił żonę w żydowskim zajeździe, a sam na trzy dni gdzieś zniknął, jak Jonasz we wnętrzościach wieloryba. A przez te trzy dni, według otrzymanej instrukcyi, pani Łupińska robiła przed obiadem wizyty żonom różnych radców, prokuratorów, sekretarzy — a wieczorem, zadawalniając skłonność swego serca ku kościołowi, modliła się przed Matką Boską i św. Jakóben, złożywszy ręce »po polsku«, prosząc o zgubę dla swoich licznych nieprzyjaciół. Te trzy dni wydawały się jej trzema wiekami.

Nakoniec Piotr Iwanowicz powrócił.

— No, i cóż? — zapytała ze drżeniem, poczekawszy jednak, dopóki nie rozwiązał szala.

— A no, teraz zobaczmy — powiedział grożącym komuś głosem i posłał po pocztowe konie.

O zmroku styczniowego dnia Łupińscy powrócili do powiatowego miasta i podjechali do swego mieszkania. Tego samego wieczora zebrała się cała rada, a na drugi dzień doktor Przepaszyński, w roli herolda, ogłosił, że przyjęcie u gubernatora było świetne, że panu marszałkowi dostał się nie tylko zaszczyt uściśnienia ręki, ale i zaprosiny na szklanę gubernatorskiej herbaty. Za doktorem powtarzał to stary Gusiew i wszyscy członkowie opieki. Wkrótce wszyscy wiedzieli, że nie tylko gubernator był zadowolniony z Łupińskiego — ale

i Łupiński z gubernatora. Pani marszałkowa przypisywała to w duszy wstawiennictwu św. Jana i postanowiła przy pierwszej możliwości powrócić na łono katolickiego Kościoła.

XXII.

Po każdej sessyi towarzystwa dobroczynności, weszło w zwyczaj schodzić się u Orłowych. Zyków, pod ciężarem podwójnego obwinienia, bywał w ostatnich czasach prawie zawsze w złym humorze. Sprawa o owies składała się nie dobrze. Straszony tajemniczymi paragrafami 1039 i 1055, nie dopuszczającymi jakoby świadków, słysząc zewsząd przestrogi i złośliwe wzmianki, oszołomiony żartami z jego cywilnej odwagi Natana Piotrowicza, Zyków przebywał co dzień całą gamę wrażeń: to zdawało mu się, że jest rzeczywistym bohaterem, i że powinien wytrwać do końca; to nazywał sobie osłem, i chciał wszystkiego się wyrzec. Niby to schodził, to wchodził po drabinie.

Sprawa z owsem zajmowała wszystkie miejskie i powiatowe mózgi: »panowie« cieszyli się ze skandalu z narzuconym im »panem marszałkiem«; stronnicy Piotra Iwanowicza ze skóry lezli, chcąc mu dowieść swej wierności.

U Orłowych goście skończyli herbatę i przszli do bawialnego pokoju.

— A jednakże może pan odpowiadać — mówił Szole do Zykowa, kończąc rozpoczętą rozmowę.

— No, słuchajcie go państwo! — zwrócił się Zyków do obecnych: — jakież tu może być oszczerstwo, kiedyś pan sam słyszał, co chłopci mówili.

— Podług prawa — powiedział prokurator — wszystko co nie jest dowiedzionem, uważa się za oszczerstwo. Techniczny termin — dodał z powagą uznanego prawnika.

— Prawo ma formalności, których bezkarnie nie wolno naruszać — powiedział sędzia, pomagając prokuratorowi.

Ale Zyków, który był obecnie w peryodzie podnoszenia się, nie mógł zadowolnić się takimi dowodami.

— Prawo! — uśmiechnął się — dziś wszystko zwalacie na prawo, jak dawniej zwalano wszystko na pokusy złego ducha. Ale co tu rozprawiać! ja panom dowiodę przykładem, czyli raczej anegdotą...

— Et, u pana same anegdoty! — z nieukontentowaniem rzekł prokurator.

— A pan sądzi, że u pana inaczej? — zapytał Zyków. — Cała wasza służba jest jedną, bez końca anegdotą, tyle w niej poważnego, co 20-sty każdego miesiąca ¹⁾.

— Nie, to już nadto! — zawołał Szolc, wstając i oddalając się od Zykowa.

— O cóż chodzi, panowie? — zapytała Tatjana Mikołajówna, która dotąd rozmawiała u okna z Kołobowym.

— A o to chodzi — zaczął Zyków, chrząkając i przygotowując się do opowiadania — wszystkim państwu wiadomo, że śród ulicy, w biały dzień złapano Łupińskiego z drwami... to jest z owsem — poprawił. — Przy pięciu świadkach dziesięciu chłopów przed obrazem zeznało, że przywieźli owies w darze za jakąś kopię. Prokurator, oto ten sam, słyszał każde ich słowo i własnoręcznie zanotował i potwierdził. I cóż? pokazuje się, że tego wcale nie było, że nikt nic nie mówił, nikt nie słyszał... Miraż jakiś — i koniec!

— Ja tego nie mówię — powiedział gniewnie Szolc.

— Człowiek złapany na gorącym uczynku, jak mówią, złapany na wyzyskiwaniu, a ja mam być odpowiedzialny za rozpowszechnienie tej wieści, za targanie się na honor znanego szalbierza!... Cóż to za prawo? cóż to za sędziowie, którzy fałszu od prawdy odróżnić nie mogą?

— Ależ pan zrozumiej — zawołał, zapalając się Szolc — że pańscy dziesięciu chłopów wyprą się swoich słów, wyprzyęgną...

¹⁾ Dzień wypłaty miesięcznej pensyi. (P. t.)

— A pan, co? Spodziewam się przecie, że pan nie wyprze się razem z chłopami?

— Co pan mnie ciągle wysuwasz?

— A gdzież ja pana schowam? Pan jesteś prokuratorem, stróżem prawa; czyż możesz pan wyprzeć się tego, coś słyszał na własne uszy? Czy wyprą się żołnierze tego, co widzieli i słyszeli?

— Żołnierze są pańskimi podwładnymi — odparł sędzia — można przypuścić, że powiedzą, co się panu podoba.

— A czemuż, w takim przypadku, nie przypuścić, że włościanie, zależni od Łupińskiego, wypierają się swoich słów ze strachu represyi? — powiedział Jerzy Dymitrowicz.

— Tak, czemu tego nie przypuścić? — kontent z nowego argumentu, zwrócił się do Szolca Zyków. — Dobrze, żołnierze zależą odemnie, włościanie od Łupińskiego — przypuśćmy, że dla nich stanowi to prawną przyczynę kłamania; ale pan, Gustawie Andrzejewicz, nie zależysz chwała Bogu, ani odemnie, ani od niego; dlaczegoż więc pańskie zeznanie miałoby nic nie znaczyć?

— Ależ powiadam panu, że oni mogą wyprzeć się, pod przysięgą powiedzieć, że nic nie mówili, że nic tego nie było.

— Zuaczy, żeśmy to z panem wymyślili?

— Rozumie się.

— W takim razie wie pan co? — powiedział Zyków, uspokajając się nagle — szkoda, że pan wówczas fatygował. Niechbyś pan sobie dalej leżał na kanapie... rezultat byłby ten sam...

— Mówilem panu jeszcze wówczas, że z tego nic nie będzie.

— A kiedyż u was z czego coś będzie? przecież złapali, dowiedli...

— Nie, jeszcze nie dowiedli — powiedział sędzia.

— Złapali, dowiedli — upierał się Zyków — a jednak to wszystko nic nie znaczy... Dziwnie.

— Niema nic dziwnego, gdybyś pan znalazł lepiej sądowe ustawy...

— I szczyć się tem, że nie znam; przynajmniej rozróżniam uczciwego człowieka od złodzieja, a panowie ze swemi ustawami wkrótce dojdziecie do tego...

— Słuchajcie no, panowie — powiedział Jerzy Dymitrowicz — mnie zdaje się, że zupełnie napróżno sprzecacie się: czy wyprą się włościanie swoich słów, czy nie, to wcale nie zmienia tej okoliczności, że Łupiński brał owies w postaci łapowego.

— Jakim sposobem? — zapytali razem sędzia i prokurator.

— Czyż panowie nie pamiętają, co on sam mówi w swojej skardze?

— Weź, przeczytaj! — powiedziała Orłowa, podając mężowi zapisany arkusz.

— Jednakże, macie państwo ważny dokument — powiedział ze swym złośliwym uśmiechem Natan Piotrowicz.

— Dzięki Piotrowi Dymitrowiczowi i wiarołomstwu Gusiewa...

— Oto, panowie, zwróćcie uwagę... — i Jerzy Dymitrowicz przeczytał wyraźnie:

»Włościanie Sielnickiej gminy, czując dla mnie wdzięczność za szczęśliwy dla nich obrót sprawy o wydziale im ziemi, w rozmaitych czasach, wbrew mojej woli przywozili mi owsa, od zapłaty wymawiali się, ale zawsze na końcu przyjmowali ją według własnego ich ocenienia. Tak było i ostatnim razem, kiedy włościanie skutkiem wódki rotmistrza Zykowa, a bardziej jeszcze skutkiem jego głośnego krzyku, zgłupieli i mówili wszystko, co on im kazał.«

— Boże mój, co za zuchwalstwo! — rzekł Zyków, składając ręce.

— I zuchwalstwo i głupota razem — powiedział Jerzy Dymitrowicz. — Zrozumieście tę płataninę sprzecznych twierdzeń: to włościanie wymawiają się od zapłaty, to sami nazna-

czają cenę, a naznaczywszy cenę, nie dostają jednak pieniędzy, bo pieniądze idą na szkołę...

— Ależ zmiłujcie się! ta szkoła nigdy nie istniała i oto Platon Antonowicz... ale gdzież on? — zapytał oglądając się Zyków.

— Platon Antonowicz zawsze wymyka się dyskretnie — zauważył sędzia.

— On wcześniej wstaje i wcześniej idzie spać — tłumaczyła Tatjana Mikołajówna.

— Pan Bóg z nim! Więc powiadam, że owa szkoła nigdy nie istniała — powtórzył Zyków.

— Kto tam będzie tego dochodził — powiedział Szolc — poszły pieniądze na szkołę i basta!

— Koniec najlepszy. Słuchajcie: »Przytem wina jego (Zykowa) podwaja się jeszcze przez tę okoliczność, że wiedząc o mojej nieżyłości dla pruskiego poddanego Szolca, on nie tylko przyjaźni się z nim, ale nawet zaprosił go na świadka przy fałszywych przeciwko mnie zeznaniach włościan...« Jak się wam to podoba? Czy to nie jest najzupełniejsze zaćmienie nie tylko honoru ale i rozsądku.

— Znakomicie! — zaśmiał się Szolc.

— Śmieć się pan, śmieć! — powiedział Zyków, gniewnie patrząc na niego.

— Zmiłuj się, Aleksandrze Daniłowiczu, jakże tu się nie śmiać? Przecież jeżeli to nie skarga waryata, to własnoręczny obwiniający werdykt — powiedział Jerzy Dymitrowicz, oddając papier żonie. — I po cóż tu dochodzenie, kiedy on sam zeznaje, że brał owies za jakieś szczęśliwe zakończenie sprawy?

— Widzi pan, Jerzy Dymitrowiczu, my z panem choć nie juryści, i ich ustaw na pamięć nie umiemy, a jednakże rzecz pojmujemy; jakże ja mogę odpowiadać za oszczerstwo, kiedy sam prokurator świadczy...

— Jakże ja mogę świadczyć, gdy się pokaże, że włościanie łgali?

— Czyż mogli łąć przed lampą, przed Aleksandrem Newskim...

— W srebrnej szacie — pomimowoli pomyślała Orłowa.

— Przysięgali, że prawda. Czyż ich ciągnęliśmy za język? Czy i pan to złoży na mój głośny krzyk? Ludzie zeznali przed lampą...

— Pan ciągle z swoją lampą — powiedział Szolc.

— Jak to z lampą? Widać zaraz, że pan jesteś Niemiec...

— Słuchaj pan, Gustawie Andrzejewicz, przekonany pan jesteś, że Łupięski brał owies bezpłatnie? — zapytała Orłowa, chcąc przerwać sprzeczkę.

— Przekonany, i nietylko owies — odpowiedział stanowczo prokurator.

— Więc za cóż ma odpowiadać Aleksander Daniłowicz? Czy można kogoś obwinić o podpalenie dlatego, że zobaczywszy ogień, pierwszy dał znać o pożarze?

— Tak, zapewne... ale jurydyczna prawda często mija się z faktyczną i, jak sprawiedliwą, zrobił uwagę Natan Piotrowicz, prawo ma formalności, których bezkarnie naruszać nie można.

— Formalności — powiedział Zyków — które dają możliwość człowieka uczciwego posadzić do turmy, a złodzieja postawić na piedestale... Ej, panowie, panowie! — westchnął — i bierzecie się sądzić! Wyście uczeni i faryzeusze — tak! Za literą martwą księgi, żywych ludzi nie chcecie widzieć — krzychał, zapalając się coraz mocniej. — Nie widzicie tego, że mój dusi bezsilnego i jeszcze wymaga, żeby nie krzyczał. Dziękuję Panu Bogu — dodał, żegnając się — żem tylko celnik i nic więcej.

— On zawsze tak — powiedział Szolc — zjedzie na pismo święte i jest przekonany, że ma rację.

— A pan zjedzie na prawo i sądzi, że jak kto nie prokurator i nie sędzia, to już powinien milczeć.

— Przekonajże jego! — powiedział z żalem Szolc. — Więc podług pana, całe nieszczęście w prawie? Gdyby nie było praw, to w tym powiecie wszyscy byłiby szczęśliwi!

— Kto wie, możeby nie było gorzej — powiedział Kolobów.

— Nie prawo, tylko prawnicy — odparł prokuratorowi Zyków; — miuie łaskawco nie obalamucisz. »Święci są prawodawcy, tylko sędziowie oprawcy!« gdzieś jest powiedziano... Kiedyś ja także czegoś uczyłem się... Wiele zapomniałem, rozumie się, ale czasem coś się jeszcze przypomni... Mowa o tych prawnikach — mówił dalej, coraz więcej zapalając się Zyków — którzy, trzymając się oburącz swoich 10 tomów prawa, wolą raczej niewinnego do więzienia rzucić, niżeli na jotę od litery drukowanej odstąpić. A powiadają jeszcze: sędzia pokoju może sądzić podług własnego przekonania. Jakie u diabła, choćby na przykład, u Labiryntowa przekonanie, albo u Mosołowa? Oto parę dni temu wasi nieomylni sędziowie — zwrócił się do Natana Piotrowicza — osadzili jakiegoś chłopka na dwumiesięczne więzienie za obrazę pana Józefa Lipkiewicza z Jeziorek, a tego pana i obrazić nie można, taki już od urodzenia upośledzony od Pana Boga... szachraj, powiadają wszyscy, pierwszej wody...

— Za cóż go mianowicie osadzili? — zapytała Orłowa.

— A za to, że wyraził się o tym panu niezręcznie; a on nie tylko zręcznie wyrażać się, ale po ludzku mówić nie umie. Pojęcia sam nie ma, co to takiego obraza... Jego samego całe życie bili, ograbiali, dusili — i on nie obrażał się. A tu nagle wyrwało się niestósowne słowo... zaraz go pod sąd i do więzienia. Osadzili, uśmiechają się i rączki zacierają: wypełniliśmy, — mówią — swój obowiązek, mamy prawo 20-go wyciągnąć rękę po zapłatę.

— Teraz przypominam sobie tę sprawę — powiedziała Tatjana Mikołajówna — Piotr Dymitrowicz opowiadał mi, tylko nie mogłam dobrze zrozumieć, czem mianowicie zawinił włościanin...

— Bo zrozumieć tego nie można — powiedział Zyków.

— A tem — odpowiedział Orłowej Szolc — że włościanin Kozioł gdzieś w szynku czy na zgromadzeniu, słowem publicznie wyraził się...

— Rozumie się nie w naszym szlachebnym klubie — powiedział ironicznie Zyków.

— Poczekaj pan! — niecierpliwie odparł Szole. — Gdzieś, słowem, powiedział, że pan Lipkiewicz »plan popsul« rozumiejąc, że go zmienił na swoją korzyść...

— I tak było, plan rzeczywiście zmieniony, wiem o tem na pewno — powiedział Kołobow.

— Pan naturalnie podał skargę — mówił dalej Szole — a z zeznań świadków pokazało się...

— Nic się nie pokazało — przerwał Zyków. — Przecie sam byłem na zjeździe... o mało wszystkich nie wylajalem... Siedzę w sądzie, patrzę na tych sprawiedliwych i myślę sobie: Panie, odpuść im, albowiem nie wiedzą, co czynią! Mołosow na przykład, nawet dobry człowiek, tytoniu mi przywiózł z Kijowa od Egiry, a nie mogę nie powiedzieć: siedzi i widać, że nie nie rozumie, tylko oczyma klipie... Patrzę na włościanina Kozła (prawdziwy kozioł ofiarny) kaftanik nędzny, ledwo na plecach się trzyma, kołtun, twarz jakaś zmięta, sam skurczony, a przed nim ten sąd »doraźny i miłosierny...« Doraźny to on, doraźny -- ale czy miłosierny, to jednemu tylko Panu Bogu wiadomo! »Ty — pyta Labiryntow chłop — powiedziałeś te słowa?« — »Powiedziałem, panie sądowy« — odpowiedział Kozioł, z przerażeniem patrząc po ścianach, jak mysz, szukająca jak wyrwać się z pastki... »Na mocy zeznania obwiniętego i takiego to paragrafu prawa — powiada pan »sądowy« z zadowoleniem myśliwego, który złapał zwierzynę — postanawia się...« i t. d. I zaraz do więzienia.

— Przepraszam, protestowałem — powiedział Szole.

— Co tam z pańskiego protestu! — powiedział z odcieniem lekceważenia Zyków. — Zmniejszą może na miesiąc, to całe dobrodziejstwo...

— Przypuśćmy, że zmniejszą nawet do trzech dni, ale tu ważniejsza możebność podobnego obwinienia — powiedział Jerzy Dymitrowicz.

— Tak, żeby obwinić włościanina, dość każdego podchwyczonego słówka...

— A odkrycie łapówek pana marszałka — przerwał Zykowowi Kołobow — uważa się za występpek, przewidziany §-em 1039.

— Popatrzyłem na sędziów z ich łańcuchami i nieruchomemi twarzami, spojrzałem na Kozła, zasądzonego do turmy na dwa miesiące za jedno marne słowo i tak mi się zrobiło jakoś brzydko, że — przepraszam — plunąłem i wybiegłem na świeże powietrze... Schodzę z ganku, a tu z szynku, co pod zjazdem, prowadzą już »gotowego« świadka Dorożkę, a za nim zataczając się dąży pop Iwan, który przyprowadził do przysięgi świadków pana Lipkiewicza... Panie, po cóżeś mnie opuścił — zawołałem i odwróciłem się...

— No, już to tego ojca Iwana, to dla zaokraglenia opowiadania dodałeś pan? — zapytał Szole.

— Tu, łaskawco, dobrzeby coś ująć, a dodawać niema po co...

— Pan prezydował, Natanie Piotrowiczu? — zapytała Tatjana Mikołajówna.

— Nie, my mamy dwa oddziały: ja zasiadam w cywilnym — odpowiedział zmieszany trochę Natan Piotrowicz.

— Unika kryminalnych — powiedział Zyków. — Niechno pani posłucha co dalej było... Chociaż właściwie to do rzeczy nie należy, ale rozpowiem... Tylko chwilę — dodał, widząc niecierpliwy ruch sędziego. — Przychodzę do domu, patrzę: czeka na mnie w przedpokoju Chmielewski...

— Czy nie ten, co za sprawę Podgórnego w więzieniu siedział? — zapytała Orłowa.

— Ten sam — powiedział Kołobow — Gwoździk go prześladował, więc został pocztynionem.

— I doskonale wozi; woził mnie do Jurjewiczów... Czego chcesz? — zapytuje. — »Do pańskiej łaski: sędzia Labiryntow nie chce przyjmować skargi na Gwoździka.« — A cóż ja na to poradzę? — »Niech pan się zmiłuje.« — Dlaczegoż

nie chce przyjmować? — »Ranga, powiada, nie napisana. Nie wiadomo, powiada, na kogo skarga. Ja mówię na komisarza, Michała Iwanowicza Gwoździka: zbił okrutnie, aż trzy razy powtarzał i psem poszczuł... Słyszałem, powiada, że bił, ale bez rangi przyjąć nie mogę. Więc niech pan zmiłuje się, poszuka, jaka tam na nim ranga. Trzeci raz podaję: to jakieś słowo opuszczono, to w święto nie przyjmują — a teraz rangi potrzeba...« Rozumiecie państwo o co tu chodzi?... żeby termin przeszedł. Teraz pokombinujecie, jak wygląda u nas sprawiedliwość — zwracając się do sędziego i prokuratora, mówił Zyków — głupiego chłopca za jeden wyraz na dwa miesiące do więzienia, a komisarz Gwoździk może człowieka zbić na winne jabłko, i na niego nawet skargi nie przyjmą! Czyż nie należy takich sędziów opublikować, z wymienieniem nazwiska i imienia wielkimi literami?

— Im żadne publikacye nie straszne — powiedział Orłow — ani książek, ani gazet nigdy w ręce nie biorą.

— Co ty mówisz? — odparła Orłowa — Mołosow jest przecie członkiem towarzystwa numizmatycznego, pisze artykuły...

— Których nie drukują — wstawił Zyków.

— I niedawno radził mi kupić jakiś słownik rdzennych słów. Jeżeli — powiada — pilnie czytać, to można zawrotu głowy dostać...

— On już, zdaje się, dostał — powiedział Zyków.

Goście zaczęli się żegnać.

XXIII.

Wróciwszy z »gubernii«, Piotr Iwanowicz Łupiński, zajął się swoimi wrogami; był to czas najgorętszej jego podziemnej pracy. Pracował z całych sił i nie mógł usiedzieć na miejscu: rzucił się od cywilnego generała do wojennego, od prokuratora do pułkownika żandarmów, a groźne słowa o ciężkich

robotach i Syberyi ciągle miał na ustach; od ustawy o karach, przechodził do ustawy o prasie, przeczytał mnóstwo artykułów, jeździł trzy razy do Bołotnińska radzić się z tamtejszymi prawnikami i za grube pieniądze kupił u nich prawo uważać siebie za niewinnego. W powiecie, w mieście miał swoją partycję, silną jednomyślnością; wszyscy ci ludzie jednakowego z nim wyznania, wyznawali tę samą religię zarobku *quand même*; on odpowiadał ich instynktom i oni podtrzymując jego, podtrzymywali siebie. Przyciągali się wzajem jak żelazo i magnes, łączyli się, jak się łączą powinowate chemiczne ciała. Byli to wszystko wyborowi w swoim gatunku ludzie. Tu należał Dr Przepraszynski, któremu lichwa hojnie wynagradzała to, czego dać nie mogła jego uboga medycyna; tu był obywatel Ardamowicz, grzeczny i czuły z paniami, dawny rzadca jakiegoś magnata, dziś sam magnat, ale z przyzwyczajenia »cham« w duszy. Cały pogrążony w ciemnych, dwuznacznych interesach, z całej siły podtrzymywał Łupińskiego i szukał u niego podtrzymania we wszystkim co było ciemne, dwuznaczne i pachło zarobkiem. Tu należał stary doradca prawny, posiwiwały w kruczkach i sprawach, znany wszystkim sądowym jurysdykeyom, pan Trankowski, ex-prezes dawnego sądu. Ze spojrzeniem drapieżnego ptaka, z ciekawym krzykliwym głosem, pan Trankowski niskimi ukłonami przebiegał sobie cichutko drogę. O! kląniali się oni wszyscy: wiedzieli, od dzieciństwa uczyli się, że na grzeczności nikt nie traci... Był tu i maleńki obywatel Lipkiewicz, wyrodny potomek znakomitych kiedyś przodków, szuler i szachraj, z odziedziczonymi instynktami darmożjada; ten podupadły pan znał się i z sekwestratorem; znosił przesładowania od swoich i od obcych i gotów był na wszystko, byle odetchnąć i wykreść się. Był tu także Dr Jarocki, potępiający Piotra Iwanowicza zaocznie i kadzący mu w oczy, zdolny do wielkich czynów na słowach, i do brzydkich postępów w rzeczywistości. Półwaryat i poeta, przetłumaczył *Oniegina* na polskie i napisał własny poemat, zawierający całą historię od upadku Adama do ostatniego klubowego skandalu

swego miasteczka. Ale wszystko, i poezję, i medycynę, i nawet duszę własną gotów był zamieniać na partę jerałasza. Tu w sekrecie garnęli się uczony Iwan Iwanowicz i najpokorniejszy z sędziów Iwan Tychonowicz, skromnie spuszcający oczy, gdy mówiono o łapówce, ale sam zawsze gotów wziąć, z zastrzeżeniem, by nie wiedziała prawica, co bierze lewica. Do nich grawitował i protojerej, uważający religię za drabinę, która prowadziła, nie do nieba, ale do mocno naładowanej kieszeni; i dyrektor gimnazjum, kulawy obłudnik o wązkim czole i twardem sercu, niedostępnem dla żadnego ludzkiego uczucia, który płakał w cerkwi w czasie nabożeństwa i z uśmiechem pisywał donosy na nauczycieli.

Potem szli różni drobniejsi panowie, urzędnicy opieki i innych miejsc, ubodzy duchem, ale karmiący się porządnie okruszynami spadającymi ze stołu panów. A cały ten tłum zamykał ksiądz, któremu pani marszałkowa w tajemnicy nosiła swoje grzechy, sama nie wiedząc, do jakiego Boga ma się modlić i jakiemu kościołowi oddawać pierwszeństwo. Zdradziwszy dla mężowskiej karyery Kościół, nie umiała trzymać się cerkwi i przechodząc od protojereja do księdza, popłatała całkowicie swoje wyznanie wiary.

Wszyscy ci uczeni ludzie wiedzieli, że póki Piotr Iwanowicz prezesuje, póki mocno trzyma się na swoim miejscu, rządząc opieką, wojskową powinnością, rozmaitemi dostawami, póki »urządza byt wiejskiego duchowieństwa i »rujnuje byt włościan«, jak dowcipnie wyraził się Natan Piotrowicz, dopóty jest przedstawicielem siły, pod zasłoną której można grzać ręce i pożywić się. Im ta siła więcej ma własnych grzechów, tem lepiej! — myślał każdy — i wszyscy jeszcze mocniej czepiali się Piotra Iwanowicza, jeszcze raźniej go podtrzymywali. Ale partya pana marszałka wzmocniła się znacznie, gdy do niej przyłączył się pomocnik sprawnika Akuła, pożegnawszy nakoniec swoją długoletnią drugorzędność i naznaczony horodniczym na miejsce uwolnionego od obowiązków Słoniajewa. Akuła odrazu stanął na wysokości swego położenia: wzięwszy

nowy mundur z grubemi bulionami, oddał oficjalną wizytę panu marszałkowi, jawnie wyrzekając się dawnej nieprzyjaźni. Piotr Iwanowicz umiał ocenić ten krok do zgody i ujął przyjaźnie wyciągniętą ku sobie rękę, zapominając chętnie przeszłości. Patrząc na siebie wzajemnie rozczulonemi oczami, przebacząc sobie wzajemnie minione obrazy i niedowierzania, dzielili w myśli powiat na dwie części... W owym to czasie zaczęły krążyć w towarzystwie wieści o jakichś tajemniczych donosach.

Pewnego pocztowego dnia, Zyków przybiegł do Szolca z papierem w ręku.

— Patrz, łaskawco, podziwiał o co obwiniają! Toż djabli wiedzą co! Mnie? mnie?!

I szepejąc, zaczął coś opowiadać Szolcowi... Szolc śmiał się.

— Co za głupstwo! — powiedział.

— Ale ja jej bez świadków w oczy nie widziałem, nie tylko...

— Więc zkadże?

— Pokazuje się, że panu marszałkowi skarżyła się, iż nastawałem na jej honor! cha, cha, cha! — śmiał się z przymusem.

— Ależ ona z tego żyje — powiedział Szolc.

— Widzi pan. Ale ktoś tam będzie w to wchodził! Skarży się szlachcianka o obrazę honoru; pan marszałek, jej naturalny opiekun, pisze do wyższej władzy, władza przysyła formalne zapytanie — wskazał na papier — a że to zupełne głupstwo i fałsz, cóż komu do tego?

— Ale nie rozumiem, po co to wszystko?

— I ja, łaskawco, nie rozumiałem, póki dobrzy ludzie nie wytłumaczyli: ta, niechby ją djabli wzięli, ma siostrę zamężną, szwagier ma jakieś tam rozgraniczenie z chłopami, a zatem Łupiński potrzebny. Rozumie pan? A Łupińskiemu potrzeba wygryzać mnie, czem się zdarzy... i urządził się spisek! Ach, podły, podły!

Wkrótce po brudnem bezmyślnem i fałszywem doniesieniu na Zykowa, zjawił się donos na Szolca, obwiniający go o niemieckie pochodzenie i wątpliwość jego małżeństwa; na Kolobowa za rozpowszechnianie jakichś podburzających wiadomości; na Komarowa za sprzeciwienie się i obrazę policyi; na sędziego Natana Piotrowicza za jakiś dowcipny napis na blanku; наконец na Orłowa za niebywanie w świątyni w dni galowe, co, jak było powiedziano w donosie, »oburzało patryotyczne uczucia rysyjskich ludzi.« Chociaż denuncyator zostawał w ukryciu, w zupełnem incognito, nikt jednak nie wątpił, że to był Łupiński, nawet pierwiej, nim Jerzy Dymitrowicz otrzymał konfidencyonalną wiadomość, że to rzeczywiście on.

Było to już nadto podle, nawet dla Łupińskiego.

— Tak upaść, tak upaść! — mówiła Tatjana Mikołajówna, wstydząc się dawnego swego w nim zaufania.

— Zmiluj się, pani! To tylko pani go podnosiła — mówił z gniewem Zyków — a ja zawsze wiedziałem, że on...

Małe towarzystwo było zdziwione tą obfitością denuncyacyi. Wiedziało dobrze, że celem tej podziemnej działalności było tylko: odwrócić uwagę od rzeczywistości, zaćmić, obalamucić, i wskazując zarody szkodliwych pierwiastków, zrodzić niedowierzanie względem pewnych ludzi. I w samej rzeczy, chociaż tu, na miejscu, gdzie wszyscy znali się wzajemnie, delacye te nie miały sensu, jednak z góry zaczęły się zapytania i dośledzania; tam, zkad pytano, nikt nie znał ani pana marszałka, ani jego powodów; widoczna była tylko jego lojalność. Cel zatem, chociaż tylko czasowo, tylko częściowo, był jednak osiągnięty.

XXIV.

Tymczasem sprawa owsiana przeszła w nową niespodziewaną fazę. Ta wyższa wojenna instancya, o którą się oparła po wyprowadzeniu śledztwa, położyła następną, prawdziwie mądrą, rezolucyę: »ponieważ w sprawie nie ma rzeczywistych

cech oszczerstwa, to uważać rotmistrza Zykowa za uniewinnionego.« Rezolucya ta piorunem spadła na stronników Łupińskiego i na jakiś czas zupełnie odebrała im odwagę: proszę kogo! nie ma rzeczywistych cech oszczerstwa! Po cóż oni tak starali się, wzięli tyle i na własne sumienie i kazali innym grzeszyć? Wszyscy ci panowie wściekali się ze złości. Krzyczeli na wszystkich rozstajnych drogach, że tak nie można, że prawo przecie po coś istnieje, że to nie rezolucya a Bóg wie co! Sam pan marszałek zapalając się, zloszcząc i podburzając cichutko innych, w głębi duszy dziękował Bogu, że się tak mianowicie skończyło... Ale dla niego jeszcze lepiej się skończyło: zaraz po rezolucyi rozniosła się wiadomość, że rotmistrz Zyków przeniesiony do D. Było to miasteczko równie żydowskie, ale leżało przy kolei żelaznej i posiadało jakiś historyczny monument. Zyków był zachwycony, radował się: jemu już naprzykrzyła się ta podjazdowa walka, ciągły niepokój, niezgoda z towarzystwem, drobne ukłucia miłości własnej, słowem, daremne narażanie się na ciągle nieprzyjemności za sprawę, która pomimo to, zdawało mu się, nie postępowała ani o krok naprzód. Prędyutko wybrał się w drogę, wyprzedał rzeczy za bezcen, wyprawił naprzód Ignatowicza z siwkim i raniutko marcowym porankiem, bez żadnych pożegnań i wyprowadzań, wyjechał z miasta. Był w najszcześniejszym nastroju i wspańiałomyślnie wyrzekł się wszelkiego sądowego poszukiwania na pana marszałku, które mu doradzał usłużny sędzia Iwan Tychonowicz, proponując się sam na adwokata. Aleksander Daniłowicz czuł się niby solenizantem, a wyrwawszy się na swobodę i dążąc do nowych wrażeń, odrazu zapomniał o wszystkich nieprzyjemnościach. To co zostawało za nim, w dalekim, zapadłym powiecie, już go wcale nie interesowało. Uważał swoją sprawę za skończoną i na granicy dwóch powiatów, stanął na pocztowym wózku, obejrzał się ostatni raz na jednostajny krajobraz uciekający wśród pól, błot i drobnych krzaków. A kiedy wsiadł do wagonu i pociąg ruszył ku północy, rotmistrz westchnął, uczuł ulgę na sercu i podług swego zwy-

czaju przeżegnał się obydwoma rękami. Wszystko wokół niego przyjmowało barwy jego własnego nastroju, z przyjemnością słuchał gwizdania lokomotywy, cieszył się wagonem, rozpoczął rozmowy z pasażerami, jakby próbował, czy nie oduczył się mówić, i nie opuszczał ani jednego bufetu. Nakoniec pociąg stanął na stacyi, która była celem jego podróży; zabrawszy worek podróżny, rotmistrz wmieszał się w tłum ludzi i na zawsze znikł z horyzontu naszego powiatu, i naszego, zbliżającego się do końca, opowiadania.

XXV.

Żeby jakoś pozłocić affront rezolucyi, przyjaciele pana marszałka umyślili podać mu adres, z wyrażeniem swych gorących dla niego uczuć. Adresy wówczas wchodziły w modę... Piotr Iwanowicz pochwalił tę myśl (mówiono nawet, że sam ją podpowiedział, ale, rozumie się, to tylko złośliwość ludzka) i adres wstąpił w pierwszą fazę swego rozwoju. Najważniuszem było zebrać jak można najwięcej podpisów, wszyscy więc, wedle możliwości wzięli się pomagać temu: dyrektor Sosnowicz przyjął na siebie redakcyę i postawienie przecinków i średników, sprawnik Akula obiecał przydusić handlujących, Przepraszyński swoich dłużników. Protojerej miał namówić swe owieczki, Iwan Tychonowicz — procesujących się. Pan Skorlupski, umiejący pisać rozmaitemi charakterami, zobowiązał się przedstawić kilka próbek swej sztuki, stójkowi chodzili po sklepach żądając bez ceremonii rozmaitych *facsimile*, a Piotr Iwanowicz zrobił wizyty kilku obywatelom... Słowem, sprawa była prowadzona praktycznie i forsownie, i gdy po kilku dniach adres był gotów, tryumfujący pan marszałek wyprawił go sztafetą na własny rachunek do gubernatora, prosząc o pozwolenie wydania ogólnego pozwu wszystkim tym, którzy śmieli rzucać błotem oszczerstwa na jego dobre imię. Ten przyszły proces-monstre miał grozić najpierwej wszystkim, kto nie podpisał

adresu; powtórę redaktorom gazet, w których drukowały się lub przedrukowywały artykuły obrażające Piotra Iwanowicza Łupińskiego; a po trzecie, wszystkich bez różnicy płci i wieku, którzy po przeczytaniu tych artykułów nie zanosili należnego protestu.

Chociaż szczególność obwinień zdradzała wyraźnie psychiczny rozstrój obwiniającego, nikomu jednak w powiecie nie przyszło na myśl wątpić o przytomności umysłu Piotra Iwanowicza. Co się tyczy gubernatora, ten zdziwiony ogromem żądań pana marszałka, bojąc się, żeby z łaski jego nie zrodziła się wojna domowa prawie w całej Rosyi, odmówił stanowczo, łagodząc odmowę pretextem, że »ponieważ, jako niesprawiedliwe obwinienie upadło samo przez się — nie ma zatem przyczyny odpierać je i ścigać sądownie.«

Piotr Iwanowicz tego właśnie pragnął; umyślnie żądał tak wiele, żeby było z czego ustąpić. Odebrawszy odpowiedź od gubernatora, pan marszałek poczuł się zupełnie oczyszczonym, jakby się ochrzcił na nowo — i znowu zdolnym do wszelkich przedsięwzięć. Opublikowawszy w miejscowej gazecie wiadomość o »odebranych od wszelkich stanów adresie«, podniósł zaraz głowę i energicznie wziął się do spraw opieki, które w ostatnich czasach był nieco zaniedbał, skutkiem osobistych wzruszeń.

Pozbywszy się Zykowa, Piotr Iwanowicz mówił sobie: jednym wrogiem mniej! i rozwinął skrzydła. Szolc utrzymywał, że mu się »djabelnie« szczęści — i panu marszałkowi rzeczywiście szczęściło się: zaledwie zaczynała się trochę uchylać zasłona i zaczynały się pokazywać zdaleka dowody, kiedy jakaś opiekuńcza ręka zaciągała coprędzej zasłonę i wszystko pokrywała mgłą. Szolc wściekał się, ale niezłomny Kołobow znowu naprowadzał go na »tropy.« Unikając bystrego wzroku Akuly, dobierali się do papierów policyi, wygrzebywali najbardziej kompromitujące dokumenty — dowody rosły; nad Łupińskim gromadziła się ciężka atmosfera kryminału, z góry pozwalano rozpocząć sprawę, Szolc tryumfował, Kołobow krzyczał: »zła-

pany! teraz nie ucieknie!» — a on uciekał z pod rąk, wykrecał się z pod dowodów, odpisywał, płatał innych, a sam nigdy się nie zapłatał, — i Szolc głupiał a Kołobow wpadał w rozpacz... I trudno było prokuratorowi nie zgłupieć: wszystkie nadużycia w wojskowym Komitecie, i w opiece, i w gminach, i w więzieniu były na pozór tak legalne, takie sprytne i zapłatane, tak dalece miały tłumaczenie i źródło w rozmaitych cyrkularzach, instrukcyach i ich dopełnieniach, służących powodem do nowych kwestyj i nieporozumień, że niepodobna było obwiniać o owe nadużycia, nie wdrożywszy się poprzednio w tę legalną gmatwaninę. Był to kłębek, w którym trafić na rzeczywistość nie było nie sposób, łapało się skrawki, zaciągające jeszcze mocniej węzły.

Szolc czuł się zmęczonym, i równie jak Zyków pragnął uciec, odpocząć, wypłatać się z tego wszystkiego. Orłowa była najcierpliwszą, może dlatego, że mogła tylko z boku przypatrywać się; z początku miała wielkie nadzieje na powodzenie swej sprawy, czekała niecierpliwie sądu, jako sposobu rozplątania tej płatany. Przystępowała do tego epizodu swego życia z lekkomyślnością i odwagą, pochodzącą z nieznanomości prawa. Kiedy jej radzono, by wzięła obrońcę, śmiała się i zapewniała, że sama się obroni, a zresztą, że wszystko skończy się »tak«. I nagle rzeczywiście wszystko skończyło się »tak«: jednego pocztowego dnia odebrano w zarządzie policji papier następnej treści: »Mam zaszczyt poruczyć zarządowi policji miasta N., aby oświadczył mieszkającej w mieście N. żonie radcy Dworu, Orłowej, ze skutkiem rezolucyi Petersburskiej Sądowej Izby w sprawie o obrazę w prasie komitetu rekrutacyjnego, oswobodzoną jest od odpowiedzialności i jej zobowiązanie się podpisem do niewyjeżdżania z miejsca pobytu kasuje się.« Prokurator Izby Linc.

Redaktor *Tygodniowego Przeglądu* i rotmistrz Zyków jeszcze wcześniej zostali uwolnieni od odpowiedzialności, ku wielkiemu zgorzeniu pana marszałka, który twierdził, że Izba nie miała żadnego prawa tak postąpić.

— Potem już wszystko, stanowczo wszystko jest możliwe! — mówił, ze zrećznie odegranem oburzeniem, i miał nawet oskarżać Izbę.

— Czyż nie mówiłem, że oszuści, tak jak pijacy, mają osobnego, własnego Boga! — zawołał Szolc, przyszedłszy powinszować Orłowej szczęśliwego zakończenia sprawy.

— Pan znajduje, że to szczęśliwe zakończenie.

— A czyż nie szczęśliwe? Przecież zasłona znowu opadła i teraz już ostatecznie i podjąć nie można! Przecież go, szalbierza, osławionoby na całą Rosyę, pokazywanoby palcami, a teraz, dzięki postanowieniu Izby, znowu dał nura...

— A pamięta pan, jakeś się pan ze mną sprzeczał, gdy utrzymywała, że to wszystko skończy się »tak«. Śmiałeś się pan z mojej nieświadomości, a pokazało się, że domyślniejsza od pana.

Szolc ścisnął ramionami.

— Pierwszy wypadek w całej sądowej praktyce... Jednakże, jaki to policzek dla niego, po wszystkich jego krzykach o Syberyi i turmie! Wszakże on panią prawie już do ciężkich robót wysyłał...

— Wie pan, mnie się zdaje, że on nie wytrzyma: albo zastrzeli się...

— Niech pani będzie spokojna — śmiał się na głos Szolc — uie taki!

— Chyba odegra scenę targnięcia się na własne życie — dodał Jerzy Dymitrowicz.

XXVI.

I tak ciężka atmosfera kryminału, otaczająca Łupińskiego, powoli rozwiała się; złowieszcze widma znikły, jak znikają w ciepły dzień niby roztapiające się obłoki, i na horyzoncie jego życia, oczyszczonym ze wszystkich brudów, została tylko jedna ciemna chmurka, pod postacią jakichś tam klepek. Ale

choć Szolc zaklinał się, że mu to tak łatwo, jak reszta nie ujdzie, jednak sam starał się o przeniesienie się do jakiegoś innego gubernium. Szolc był zmęczony tą napróżną walką, obrażony nie zwracaniem uwagi na jego raporta i kiedy nakoniec przysłała wiadomość o przeniesieniu go gdzieś na członka izby sądowej — Piotr Iwanowicz mógł odetchnąć nakoniec swobodnie. Przeżegnał się nawet i poczuwszy na rzesach łzę wdzięczności i rozczenia, zrobił wysilek, żeby się nie rozrzewnić. Na znak tej radości wydał, podług zwyczaju, wieczór; zabił dla przyjaciół karmne ciele i ścisnął wszystkim ręce z takim uczuciem i z takim wyrazem twarzy, jakby i on, i jego przyjaciele uniknęli wielkiego niebezpieczeństwa. Świątował kilka dni z rzędu przechadzając się po mieście pod rękę z Akulą, głośno gwizdał jakiś tryumfalny marsz, nie obawiając się pod tem przykryciem ani Kołobowa, ani Komarowa, ani kogokolwiek na świecie.

Piotr Iwanowicz zdawał się zupełnie zadowolnionym; ale niestety, była to tylko przybrana brawada; w samej rzeczy i sam przed sobą, uważał się za bardzo nieszczęśliwego, chociaż nie miał już czego obawiać się, chociaż ostre męczące uczucie strachu natychmiastowej kary minęło — ale widział się za to w położeniu człowieka zepchniętego z miejsca, na którym długo i uparcie się trzymał. Mawiał on jeszcze głośno, chwalił lub ganił nieodwołalnie, ale swym nieomylnym instynktem bywalca rozumiał, że schodzi ze sceny, że rola pierwszego człowieka przechodzi do innego. Ten inny jeszcze nie wypłynął, nie objawił się, ale że on tu gdzieś, blisko i że tylko czeka zręczności, by wleźć na kark Piotrowi Iwanowiczowi — to było niewątpliwem.

Był jeszcze pan marszałek głową swego kółka, to jest ludzi, którymi w duszy pogardzał za ich nicość, bezsercowość, chciwość, słowem za wszystkie te przymioty, które czuł w sobie; ale i u nich stracił swój urok od czasu, jak z niego zdjęto maskę uczciwości. Zaczęto stronić od niego i kłaniający mu się Akula (który nagle, pokazało się, był krewnym jakiegoś

archireja) pomału stawał na pierwszym miejscu, wychodząc na-przód i zasłaniając sobą Piotra Iwanowicza. Czy potrzeba było zorganizować jakiś komitet, zrobić składkę, pobudować most, czy poprostu pomalować słupy latarni — wszystko proponowano Akule, a Piotr Iwanowicz zostawał w cieniu, zapominano o nim umyślnie, kiedy dawniej... Na domiar nieszczęścia, tenże Akula kupił z pomocą żydów ów skonfiskowany majątek, który trzymał w posesyi i dawno ukochał pan marszałek. Zdradziła go nawet kancelarya gubernatora, a ze strony Akuly było to wprost nie do darowania! Nakoniec nawet towarzystwo, naśladowując poglądy z góry, odsunęło Łupińskiego na ostatni plan. Kiedy, z powodu wypadków na wschodzie, utworzyło się w mieście słowiańskie kółko z inicjatywy Natana Piotrowicza, to Piotrowi Iwanowiczowi nie tylko nie zaproponowano prezesostwa, lecz nawet nie poproszono go na członka.

Oglądając się na przyszłość, przeraził się zmianami w sobie i wokoło siebie. Mój Boże! jak już daleko był ten czas, kiedy nad głową Piotra Iwanowicza świeciło jasne niebo, kiedy pędził dni w pokoju, a wieczorem, ustawivszy dzieci w »pozycyi« i sam stając w pozycyi, uczył ich, przy dźwiękach starego fortepianu, wynajętego po 5 złotych na miesiąc u gospodarza-żyda, rozmaitych antrsa! A jak on wówczas sypiał! a jak trawił!... Teraz sama nawet twarz zmieniła się... niby pociemniała, włosy zaczynały siwieć, oczy pały jakimś gorączkowym blaskiem, a na czole między brwiami wyryła się niezgładzona zmarszczka. Straciwszy swobodną jasność ducha, zyskał bezsenność, trwożliwe oglądanie się na przyszłość i strach przyszłości; zrobił się podobnym do człowieka, który co chwila obawia się piorunu, choć w rzeczywistości nie było czego się obawiać, bo nawet i »klepki« z wyjazdem Szolca do innej gubernii, mogły zniknąć bez śladu. Tak Piotr Iwanowicz mógł być zupełnie spokojnym, a jednak obawiał się własnego cienia. Bez najmniejszej przyczyny dostawał nerwowego drżenia i coraz częściej uciekał się do tajemniczej czarnej buteleczki, która

miała własność dawać mu na czas jakiś spokój i sen. Doktor radził mu ostrożnie zimne kompresy na głowę i coś jeszcze; ale ani kompresy, ani czarne buteleczki, ani ów znakomity adres, ani nawet to miejsce w kufrze opieki, na które w ciężkich chwilach zwracał oczy — nie nie mogło powrócić jego duszy straconej równowagi. Zaczął chudnąć. Doktor poradził mu gimnastykę: Piotr Iwanowicz popróbowował łązić po ścianach, kołysać się na jednej nodze, robić ewolucye rękami, kiwać głową na prawo i na lewo, wyciągać się, skakać, wywołując raz, dwa, raz, dwa... a po godzinnej pracy rzucił się na fotel. Fizyczne zmęczenie przynosiło pewną ulgę: wołał żony, pieścił dzieci, siadał grać w szachy z Przepaszyńskim — potem nagle mienił się na twarzy, spojrzawszy w okno: z góry naprzeciw jego domu schodził Kolobow, albo Komarow, i tego — tego jednego wystarczało, żeby całe jego szczęśliwe usposobienie, nabyte gimnastyką, nikło odrazu: bladł, wyciągał rękę i ten rozpaczliwy gest tłumaczył wszystko. Żona zrywała się z troskliwością, dzieci mówiły: »papie słabo« i na palcach, bojąc się narobić hałasu, spieszyły do swego pokoju. Tylko doktor Przepaszyński, z sercem zahartowanem długą praktyką, nie wierzył w żadną chorobę i pociechu uśmiechał się, gdy Łupińska biegła po laurowe krople.

Przy ludziach, w gościnie Piotr Iwanowicz jeszcze trzymał się: żartował, grał w karty, mówił o polityce, gromił Anglię, stanowczo nie wierzył niemcom, ale rozmowy o wewnętrznej polityce unikał; wewnętrzna polityka koniecznie doprowadzała do własnych powiatowych spraw, unikał więc tego tematu, jak człowiek, obawiający się urazić w bólace miejsce. Piotr Iwanowicz był chory na swoją drugorzędność. Otaczający doskonale o tem wiedzieli i uprzedzająco starali się prowadzić rozmowę o przedmiotach nie mających nic wspólnego z pytaniami wewnętrznej powiatowej administracyi. Jedni mówili o Turkach, drudzy o spirytach, sędzia Tychonowicz opowiadał swoje sny. Rozumie się, że te sztuczne i niezajmujące rozmowy nie mogły ożywiać towarzystwa i wszyscy nudzili się.

Łupińska chodziła jak struta: nie mogła zrozumieć, czego obawia się jej mąż, kiedy wszystko skończyło się szczęśliwie i kiedy pensyę co miesiąc bierze. Najwięcej ją męczył ten stan chronicznego rozdrażnienia, w który od ostatnich wypadków wpadł Piotr Iwanowicz. Chociaż ograniczona, domyślała się, że mąż jej dostał lekkiego obłędu. Patrząc ze smutkiem na jego zmienioną, chorą twarz, nie wiedząc jak poradzić nie-szczęściu, klękała co wieczora przed Matką Boską i świętym Janem i błagała o cud. Szczególniej straszyły ją noce; w dzień jeszcze Piotr Iwanowicz starał się opanować swoją nieuzasadnioną bojaźń, ale pod noc, symptomata choroby wzmagaly się i stawał się prawdziwie godnym politowania. W jego przerażonym mózgu rozwijała się straszna hallucynacya, marzenia stawały się prawie dotykalnemi... Widywał śledztwo, ławę obwinionych — nie tę samą ławę, na którą skazywał Orłową, na której, wiedział dobrze, że nie było żadnej hańby — a tę prawdziwą ławę obwinionych, z której choćby uniewinniony — przedajny schodzi przedajnym, szalbierz szalbierzem, złodziej złodziejem — nie zważając na wymowę płatnych obrońców upadłej niewinności. Drżał czasem we śnie a nieraz krzyczał głośno, jakby doświadczał fizycznego bólu i zrywał się z takim biciem serca, że budził żonę i straszliwie przewracając oczyma, prosił o światło. Widział siebie we śnie z karowym asem na aresztanckiej sukmanie. Wydawelo mu się to przepowiednią, chociaż w tem nie było nic nadnaturalnego: w wilią tego dnia przeczytał jakiś proces o fałszerstwo i przez assocyacyę idei, zobaczył siebie czynnym w tym dramacie kryminalnym, o którym czytał. Kiedy żona drżącemi rękami zapaliła świecę i Piotr Iwanowicz zobaczył siebie w znanej spokojnej sypialni, przeżegnał się cichutko, ciesząc się, że to był tylko sen, a nie fatalna, straszna rzeczywistość.

Muzyki nie znosił i biedny zapyłony Szreder, ku wielkiemu zmartwieniu pani marszałkowej, stał zamknięty. Czasem Piotr Iwanowicz chwycił się nagle za głowę, mówiąc, »że potrzeba to wszystko skończyć« i chodził z kąta w kąt, oglą-

dając się z przerażeniem i drżąc na najmniejszy odgłos. Nad przyzwroicie urządzonej domem pana marszałka, nad jego kijowskimi meblami i petersburskimi frankami zawisła czarna chmura, przerażająca gości. Z Piotrem Iwanowiczem ludzie zaczęli obchodzić się ostrożnie, jak z chorym lub waryatem, nie zaprzeczano mu, słuchano pobłażliwie wszystkiego, co mówił, i uprzejmie uśmiechając się, nie dawano mu poznać, że czasem mówi od rzeczy.

Ku wiośnie, kiedy wszystko budzi się w naturze a serce każdego człowieka ożywia się i napelnia pomimowolną radością, Piotr Iwanowicz zaczął gorzej zapadać na zdrowiu; tak często bywał rozstrojony i nieprzytomny, że ostrożny lekarz, Iwan Iwanowicz, bojąc się odpowiedzialności, poradził żonie zwołać konsylium. Konsylium zebrało się i uczony areopag eskulapów, złowieszczo kręcąc głowami, mieszając łacinę z polskim językiem, zaczął badanie... Nie zważając na to, że wszyscy czterej byli doskonałymi dyagnostami, że zwykle nie namyślając się wydawali ostateczne zdania o życiu lub śmierci, ręcąc głowami — tu nie wiedzieli co począć; właściwie choroby nie było a przynajmniej nie można było jej sformułować, a jednak z pacjentem było niedobrze. Że z nim było niedobrze, wiedział o tem i Piotr Iwanowicz, i po wyjściu lekarzy, którzy nic nie postanowili, i zapisali coś nieznaczącego, pacjent gorzko uśmiechnął się i rzucił pod stół receptę.

XXVII.

Przeszło dwa lata. Ostatnia wojna skończyła się. W mieście nie było już ani Kołobowa, ani Orłowych, ani Szolca. Powiatem rządził sprawnik Akula. Pierwsze miejsce w mieście zajmował sędzia Natan Piotrowicz. Wszędzie było cicho, spokojnie, dobrze. Zdawało się, że nawet prokurator był tu niepotrzebny...

Pewnego czwartku, oczekiwano osobowego parostatku z Kijowa, więc żydzi ze wszystkich ulic spieszyli do portu.

Zdaleka dał się słyszeć gwizd, pokazał się biały dym; tłum pocisnął się naprzód i kilkoro żydziąt poleciało z wysokiego brzegu. Na górze słyhać było śmiech, na dole pisk i żydowskie »aj wej mir.« Parostatek powoli podpływał szumiąc kołami i gwiżdżąc od czasu do czasu.

Na parostatku powracał Skorłupski. Na twarzy jego była napisana wielka nowina — przeświecała ona przez okulary w oczach, wyrażała się w uśmiechu, którego nie mógł powstrzymać nawet wśród popychań tłumu, przepelniającego parostatek. Jednej rzeczy obawiał się: żeby nie zastrzegnąć w ciasnych drzwiach kajuty z workiem podróżnym. Nakoniec, dzięki Bogu, prześliznął się; rwał się naprzód, ledwo mógł doczekać dopóki przełożą schodki i ryzykując wpaść do wody, rzucił się na wybrzeże.

— Wie pan nowinę? — zawołał, zobaczywszy w tłumie starego Gusiewa.

— Cóż, może znowu wojna? — zawołał Gusiew.

— Ale gdzież tam! Łupiński pod sądem...

— Co pan mówi, niech Bóg broni! — zawołał, błędąc od niespodzianki, starzec. — Przecież on dostawę wziął?...

— Właśnie, dostawa go zgubiła. Odkryło się grube szalbierstwo... Pamięta pan zgniły owies? nawet w gazetach pisali... Otoż to właśnie...

— Zawsze mu z owsem nie udaje się — przemówił zamysłony Gusiew, przypominając starą historię z czasów Zykowa.

— Pan myśli, że on jeden? Jest ich tam cała kompania... Samych pułkowników czterdziestu, majorów dwudziestu ośmiu...

Stary Gusiew słuchał z przerażeniem i podziwem. Podeszli tymczasem Platon Antonowicz, Natan Piotrowicz, Przepaszyński, jeszcze ktoś.

— Słyszeliście, panowie, nowinę? — pytał każdego Skorłupski i każdemu opowiadał, przeciskając się przez tłum ze swoją małą świtą.

Platon Antonowicz westchnął.

— Znacie przysłowie: czem skorupka za młodu...

— Próbował, powiadają, samobójstwa — szepnął Skorłupski.

— Rozstrój psychiczny, dawno to uważałem — powiedział obojętnie Przepraszynski.

— Nie »psychicznego«, uśmiechając się odparł sędzia, i jakby odbierając Łupińskiemu wszelkie łagodzące okoliczności, wesoło dodał:

— I Napoleon, powiadają, po Sedanie próbował, a jednak na własnem łożu, daj mu Panie wieczny odpoczynek, umarł.

— No, to Bóg wie! podobno teraz z temi rzeczami nie żartują — rzekł Gusiew. — Żeby jeszcze dla przykładu nie tego... Pokazał ręką na szyję.

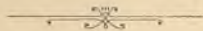
— I jak to mnie Pan Bóg wybawił! — mówił Skorłupski, zatrzymując się przy furtce swego domu. — A tak mnie ciągnął! 50 procent czystego zysku obiecywał... Żonie pakiet po pakiecie przysyłał... I oto, na czem skończył! — zawołał ze smutkiem i pożegnał wszystkich.

— Założę się, że wypłynie — powiedział, tasując karty Akula.

— Zdolny człowiek i dobrej szkoły — odpowiedział sędzia Natan Piotrowicz, zbierając.

Partnerowie, na chwilę roztargnieni, zajęli się znowu jerałaszem, i Piotr Iwanowicz, nie budzący już interesu w swoim powiecie, został wkrótce zupełnie zapomniany.

Sic transit gloria mundi!









Biblioteka Śląska w Katowicach

Id: 0030000794831



II 39836